



***Katherine Stone***

---



***Wyspa Marzeń***

---

*Gdy szukam jakiegoś innego słowa  
na oznaczenie muzyki,  
Zawsze znajduję tylko słowo Wenecja*

F.W. Nietzsche Ecce Homo (tłum. Bogdan Baran)

## *Prolog*

*Denver, Kolorado  
8 czerwca, trzy lata wcześniej*

**M**ówi Gabriel Rourke. Dziękuję, że zechciał pan odebrać telefon. Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Minęło już trzynaście lat...

- Czy pamiętam? - W głosie Edwarda Prescottta zabrzmiało niedowierzanie. - Ani po trzynastu latach, ani po trzydziestu, nigdy nie mógłbym zapomnieć, co dla mnie zrobiłeś.

- Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo.

Ale nikt inny tego nie zrobił. A byli tacy, którzy mogli, którzy też coś podejrzewali. Zareagował tylko trzydziestoletni imigrant z Irlandii.

Gabriel był stolarzem. I właśnie dlatego znalazł się tego majowego wieczoru, we wtorek, dokładnie tam, gdzie trzeba - na parkingu pod Kryształowym Pałacem w Greenwood Village.

Pałac, słynący z wyrobów cukierniczych, przechodził właśnie remont. Rozbudowa była konieczna ze względu na ogromną popularność lokalu; dorośli nie tylko organizowali tu wesołe przyjęcia urodzinowe dla swoich pociech, ale obchodzili też własne okrągłe rocznice, nostalgicznie wspominając różowe lata.

Mimo remontu główne sale Pałacu zawsze były pełne gości. Najbardziej hałaśliwe prace przeprowadzano poza godzinami otwarcia lokalu, a dzięki

ściankom działowym z dykty dźwięki młotków, pił i wiertarek nie zakłócały radosnej atmosfery.

Tego majowego wieczoru, kiedy dzień pracy dobiegł końca, Gabriel Rourke wraz z resztą robotników zebrał swoje narzędzia, wziął klucze i pojemnik na drugie śniadanie. Jak zwykle nie mógł się już doczekać chwili, kiedy wróci do domu, do swojej ukochanej Eileen, która spodziewała się dziecka.

Spieszno mu było do niej, ale jak zawsze metodycznie zbierał swoje rzeczy. Gdyby robił to choć trochę szybciej czy wolniej, pewna dziewczynka mogłaby tego dnia stracić życie.

Miała dziesięć lat i znajdowała się po drugiej stronie ścianki z dykty. Oznajmiła właśnie tonem prawdziwej damy - bo Valerie Elizabeth Prescott była damą - że musi na chwilę opuścić towarzystwo i pójść do toalety. Dalsze wyjaśnienia były zbędne, ale Valerie i tak udzieliła ich zebrany. Powiedziała, że dłonie lepia jej się od lodów, a właściwie od czekoladowej polewy. A ponieważ wkrótce miała nastąpić chwila otwierania prezentów, powinna najpierw dokładnie umyć ręce.

Poszło z nią pięć z jedenastu dziewczynek zaproszonych na przyjęcie, a także dwie z czterech mam. Nie po to, żeby się nimi opiekować. Nawet nie przyszło im to do głowy.

Dziewczynki były już duże, miały dziesięć lat. A wszystko to działo się w Kryształowym Pałacu, w idyllicznym Greenwood Village. Korytarz prowadzący do toalety był dobrze oświetlony, bezpieczny.

I właśnie tam pojawił się ten mężczyzna.

Valerie skończyła myć ręce i wyszła z toalety. Myślała, że powie coś wesołego Marjorie, a potem mocno ją uściska. Marjorie potrzebowała tego. Rozwód rodziców przewrócił jej świat do góry nogami.

Mężczyzna wydawał się miły, jak zapewniała później zdumiona, ale nie przestraszona Valerie. Wyglądał tak zwyczajnie, normalnie, jak ojcowie wielu jej koleżanek.

I był ojcem, tak w każdym razie powiedział. Jego córeczki, bliźniaczki w wieku Valerie, były zachwycone, kiedy kupił im szczeniaka golden retrievera - suczkę Millie.

Millie śpi teraz w jego samochodzie. Chyba nie jest jej tam zbyt ciepło... Nie, bez obawy. Ale im prędzej do niej wróci, tym lepiej.

Jego córki uwielbiają Millie. To najcudowniejszy psiak pod słońcem. Ale obie są uczulone na psią sierść. Millie potrzebuje więc nowego domu. Nie ma innego wyjścia. Jego córki dobrze to rozumieją, choć są niepokieszone. Wiedzą, że trzeba znaleźć Millie nowy dom.

Dlatego właśnie postanowił przywieźć szczeniaka do Kryształowego Pałacu, gdzie rodzice organizują przyjęcia urodzinowe dla swoich dzieci, tak samo jak on i jego żona. Millie byłaby wspaniałym prezentem, prawda?

Valerie, idąc za tym budzącym zaufanie panem do jego samochodu, powiedziała, że Marjorie ucieszyłaby się z takiej niespodzianki.

W tamtych czasach rodzice nie byli jeszcze tak czujni wobec tych, którzy szukają ofiar pośród dzieci. Wtedy nie było jeszcze takiej potrzeby. Choć oczywiście często powtarzano, by wystrzegać się nieznajomych.

A gdyby rodziców dzieci chodzących do czwartej klasy szkoły dla dziewcząt imienia Hazel Traphagen zapytano, którą z uczennic najtrudniej byłoby zwabić do samochodu na przynętę w postaci szczeniaka, wszyscy odparliby zgodnie, że Valerie.

Valerie była bardzo inteligentna, a jako jedyne dziecko kochających rodziców i jedyna wnuczka zachwyconych nią dziadków - nad wiek dojrzała.

Matki Valerie, Lilah Carrington Prescott, nie było tego dnia na przyjęciu, choć nigdy dotąd nie opuszczała takich imprez.

Gdyby tu była, Valerie na pewno nie znalazłaby się sama na korytarzu. Lilah nie poszła z córką do Pałacu tego majowego dnia, ponieważ uznała, że jest zdecydowanie nadopiekuńcza. Valerie nie narzekała na to, ale Lilah doszła do wniosku, że musi zacząć pomału usuwać się na bok, rozluźnić więź ze swoją ukochaną małą dziewczynką. Dla dobra Valerie i swojego własnego. Kiedy nadejdzie czas i Valerie wyfrunie z domu, łatwiej będzie znieść tę stratę.

Tak więc Lilah nie było na przyjęciu i żadna z koleżanek Valerie ani żadna z ich matek nie widziała nikogo na korytarzu i nie zauważyła, kiedy Valerie wyszła w towarzystwie tego mężczyzny. Widziało ich kilkoro innych dorosłych, ale nie wzbudziło to w nich żadnych podejrzeń. Z tego pięknego lokalu w eleganckiej dzielnicy nieraz już wychodzili dobrze ubrani ojcowie i córki.

Inna była reakcja tych, którzy znajdowali się wtedy na parkingu. Kiedy mężczyzna uchylił drzwi od strony pasażera - wszyscy zauważyli wahanie dziewczynki, a ci, którzy stali najbliżej, dostrzegli, że zmarszczyła brwi. I uśmiech, jakim mężczyzna odpowiedział na jej wahanie. To był bardzo przystojny mężczyzna, a jego uśmiech uspokoił wszystkich.

Kiedy przyłożył palec do ust, nagle stało się jasne, dlaczego tylko uchylił drzwi.

Ktoś spał w samochodzie.

Ostrożność, z jaką mężczyzna zamknął drzwiczki, upewniła w tym świadków sceny. W końcu co w tym dziwnego, że w takim pośpiechu, ruszył do drzwiczek po drugiej stronie samochodu.

Gabriel Rourke znajdował się najdalej ze wszystkich, którzy widzieli tę scenę. Jego stara furgonetka stała w kącie po drugiej stronie parkingu, w części przeznaczonej dla tych, którzy przyjeżdżali do tego eleganckiego centrum handlowego, by pracować, a nie robić zakupy.

Gabriel natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo. Ruszył w stronę Valerie, zanim jeszcze wsiadła do samochodu.

Czułość Gabriela być może wynikała z tego, że spędził dzieciństwo w Belfaście. Tam ostrożność była konieczna, a podejrzliwość pozwalała przeżyć. A może po prostu czuł, że ten mężczyzna i ta dziewczynka zupełnie do siebie nie pasują.

Gabriel, zapytany później, co kazało mu zareagować, odpowiedział, że działał instynktownie.

Był to pierwotny instynkt samca, chroniącego młode swojego gatunku.

Gabriel dopadł samochodu w chwili, kiedy mężczyzna otwierał drzwi od strony kierowcy.

- Stój! - rozkazał cicho głosem nie znoszącym sprzeciwu. A kiedy zaskoczony mężczyzna znieruchomiał, dodał: - Chcę porozmawiać z dzieckiem.

Zdumienie mężczyzny zmieniło się w panikę. Ale zanim zdążył rzucić się do ucieczki, Gabriel chwycił go mocno i przytrzymał, aż nadeszła pomoc... A pomoc nadeszła szybko, od innych obecnych na parkingu ludzi, którzy też wszystko widzieli, zastanawiali się i podejrzewali, ale nie zdobyli się na to, by zareagować natychmiast.

Valerie dopiero po latach zrozumiała, jak straszny los mógł stać się jej udziałem. Tamtego wieczora była bardziej zaskoczona niż przestraszona.

Ale jej rodzice wiedzieli. Wszyscy wiedzieli.

Mężczyzna, który chciał uprowadzić Valerie, był już dwukrotnie skazany za pedofilię. Za drugim razem jego ofiara zmarła. Adwokatowi udało się jednak przekonać prokuratora okręgowego, że było to nieumyślne spowodowanie śmierci. Przestępca odbył nieprzyzwoicie krótką karę, po czym wyszedł na wolność.

Edward i Lilah Prescott wiedzieli tamtego wieczora to, co Valerie zrozumiała dopiero po latach - że zostałyby zabite w samochodzie, a Gabriel Rourke uratował jej życie.

A także życie Lilah. I Edwarda.

Gabriel Rourke uratował całą rodzinę.

Już wtedy Edward Prescott miał pieniądze i wpływy, które pozwoliłyby mu spełnić niemal każde życzenie wybawcy jego córki.

Jednak stolarz z Irlandii odmówił z uśmiechem.

Przyznał, że nie jest bogaty, ale ma cudowną, kochającą go Eileen. Wkrótce urodzi się ich pierwsze dziecko - chłopiec, jak mówią lekarze. I ma pracę, która daje mu prawdziwą radość.

Czego jeszcze Gabriel Rourke mógłby pragnąć?

Niczego. Edward dobrze to wiedział. Bo on także miał żonę, którą kochał, córkę, którą uwielbiał, i pracę, dającą satysfakcję.

Edward miał jednak jeszcze pieniądze, odziedziczone i zarobione samodzielnie. Z radością podzieliliby się nimi z człowiekiem, któremu jego córka zawdzięczała życie. A gdyby Gabriel Rourke nadal chciał parać się rzemiosłem, jeden telefon do największego w Denver dewelopera zapewniłby mu wiele zleceń na prace stolarskie po najwyższej stawce.

Gabriel odmówił. Nie chciał niczego. Lubił człowieka, dla którego pracował, i swoich kolegów. Na płacę też nie narzekał, wystarczało na zaspokojenie potrzeb rodziny, a to było dla niego najważniejsze.

Gabriel Rourke nie potrzebował dobroczyńcy. Nie potrzebował też anioła stróża, czekającego na jego najmniejsze potknięcie, by pospieszyć mu z pomocą.

Edward uszanował życzenie Gabriela. Powiedział jednak, że jego propozycja będzie zawsze aktualna. Gabriel musi tylko dać mu znać, że czegoś potrzebuje.

Życie toczyło się dalej. Edward dyskretnie upewnił się, że syn Gabriela szczęśliwie przyszedł na świat i że jego matka także jest zdrowa i ma się dobrze.

Później Edward stracił kontakt z Gabrielem.

Ale czy o nim zapomniał? Nigdy.

I teraz, po trzynastu latach, Gabriel zadzwonił.

Oczyrna duszy Edward zobaczył trzydziestoletniego Irlandczyka, którego kiedyś poznał, męża i ojca żyjącego według tak prostych, czystych, uczciwych zasad.

Tak szczęśliwie.

Jednak teraz w głosie Gabriela nie było już dawnej radości życia.

Czy zostało to spowodowane jakąś nagłą stratą? A może jego duma uległa erozji niczym skała wystawiona latami na pastwę fal?

W życiu Gabriela Rourke'a wydarzyła się straszna tragedia. Edward był tego pewny. Tymczasem jego własne życie stawało się coraz lepsze, z każdym dniem coraz radośniejsze.

Zdjęcia na biurku Edwarda w Prescott Bank wymownie świadczyły o licznych błogosławieństwach, jakimi obdarował go los. Lilah Jego żona, z którą przeżył dwadzieścia pięć lat, uśmiechała się do niego ze ścian, półek, biurka i szafki. Tak jak jego ukochana Valerie, źródło szczęścia i radości. Dwa lata temu ukończyła studia, a w czerwcu wyszła za mąż.

Mąż Valerie, Thomas Evanson, był wtedy studentem medycyny. Teraz otrzymał już dyplom Stanford. Przyszły neurolog kontynuował studia w Denver.

Thomas i Valerie przyjadą jutro i zostaną z Edwardem i Lilah w Holly Hills aż do Bożego Narodzenia - a może jeszcze dłużej.

Valerie była w ciąży. Ileż radości dostarczy jej i Lilah urządzenie pokoju dzieciennego, który przylegał do ich apartamentu we wschodnim skrzydle domu.

Edward Prescott oczekiwał pojawienia się nowego życia, nowej ukochanej istoty, tak jak oczekiwał tego Gabriel Rourke tamtego wieczora, kiedy uratował małą Val.

- Jak się masz, Gabrielu?

- Świetnie. Dziękuję.

- A twoja rodzina? - spytał Edward, choć bał się tego, co mógł usłyszeć w odpowiedzi.



- W porządku. Moja Eileen jest coraz ładniejsza, a nasz Liam ma już trzynaście lat. Staje się mężczyzną. Dzwonię właśnie z jego powodu. Chciałbym, żeby go pan poznał...

- Bardzo chętnie. Jeśli jest coś jeszcze, co mógłbym dla was zrobić, mam nadzieję, że mi o tym powiesz.

- Jest coś takiego, proszę pana. I powiem, co to jest, ale dopiero jak się spotkamy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście.

Gabriel spytał, czy sobotnie popołudnie będzie mu odpowiadało. Edward odparł, że jak najbardziej.

A czy nie zechciałby przyjść do domu Gabriela w zachodnim Denver?

Naturalnie.

Może trochę przed czwartą?

Doskonale. „Trochę przed czwartą” było określeniem tak niesprecyzowanym, odmiennym od dokładności charakterystycznej dla świata finansów, gdzie liczyła się każda sekunda.

Ale to był czas Irlandii. Czas stolarzy.

Bezcenny czas Gabriela. Zgodnie z tym czasem Gabriel składał swoje narzędzia w tempie, które pozwoliło mu znaleźć się na parkingu pod Kryształowym Pałacem dokładnie wtedy, kiedy się tam znalazł, i uratować życie małej Valerie.

Edward miał nadzieję, że Gabriel poprosi go o jakąś znaczącą przysługę.

Miał taką nadzieję, ale w to nie wierzył. Gabriel najwyżej poprosi go o pożyczkę, a najprawdopodobniej tylko o pomoc w znalezieniu lepiej płatnej pracy. Jego syn wkrótce pójdzie do college'u i przyda się więcej pieniędzy.

Edward mógłby ustanowić fundusz na studia Liama Rourke'a. Zrobiłby to z radością. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł ustanowić takie fundusze dla wszystkich potomków Gabriela i Liama.

Ale Gabriel z pewnością by się na to nie zgodził. Edward wiedział, że dumnemu Irlandczykowi trudno było prosić o jakąkolwiek przysługę - choćby dla Edwarda była ona całkiem banalna.

Edward Prescott spędził te kilka dni, które pozostały do soboty, bardzo radośnie, goszcząc wraz z Lilah Valerie i Thomasa.

A jak spędził ten czas Gabriel Rourke?

Spokojnie, z nadzieją na wspólnym śpiewaniu z Liamem.

Ojciec i syn nie śpiewali od trzech lat. Jednak skończywszy rozmowę z Edwardem, Gabriel odszukał syna, który czytał książkę w kuchni ich skromnego domu.

- Zaśpiewajmy coś razem, Liam.

Na poważnej twarzy chłopca, tak podobnej do twarzy jego ojca, pojawiło się zdumienie.

- Zaśpiewać z tobą tato? - Zdumienie zastąpiła nadzieja, kiedy zauważył uśmiech ojca.

- Chciałbym posłuchać, mój chłopcze, jak brzmi twój głos teraz, kiedy staje się niższy... Chcę zobaczyć, czy masz jeszcze ten dar.

Dar muzyki. Dar pieśni. Liam miał piękny głos. Tak jak jego ojciec, Liam Pierce Rourke słyszał muzykę wszędzie, w każdym słowie, w każdym powiewie wiatru, w szumie traw i woni kwiatów, w świetle słońca i księżyca i w srebrzystym blasku gwiazd.

Wszystko na tym świecie umie śpiewać. Gabriel mówił to synowi od dzieciństwa. I wszystko na tym świecie chce śpiewać. Nawet domy.

- Domy, tato?

- Zwłaszcza domy, Liam. Domy, w których żyją ludzie, i gdzie rodzą się marzenia. Również i wielkie budowle mogą śpiewać. Nawet drapacze chmur. Musisz tylko usłyszeć pieśni kamienia, pieśni szkła i stali, które rozbrzmiewały podczas budowy tych gigantów.

Liam odziedziczył po ojcu dar muzyki, tak samo jak odziedziczył po nim czarne włosy i ciemne, zielone oczy.

A po Eileen? Po matce, która ze śmiechem przyznawała, że nie potrafi powtórzyć najprostszej melodii? To jej miłość, jej radość pozwoliła synowi i mężowi słyszeć tę magię.

- Zaśpiewajcie dla mnie, panowie! - rozkazywała. I Gabriel z Liamem śpiewali.

Aż do owego dnia trzy lata temu.

Wtedy śpiew umilkł. Muzyka umarła.

Teraz jednak, tuż przed kolejną rocznicą tego strasznego dnia, ojciec i syn znowu śpiewali. Znowu słyszeli muzykę świata.

Był to już inny świat, inna muzyka niż ta, która rozbrzmiewała przy Eileen. Gabriel nie był już stolarzem. Po prostu nie mógł nim być. Zamiast tego pracował przy oczyszczaniu szamba. Z pomocą Liama. Bo Liam był przy nim, tak samo jak wtedy, kiedy Gabriel budował dla innych domy, które śpiewały.

Liam chciał pomóc ojcu. Musiał mu pomagać. Bo tylko on pamiętał, gdzie przy którym domu zakopano zbiornik na nieczystości i jak głęboko trzeba kopać.

A potem Liam w wysokich butach i gumowym kombinezonie schodził wraz z ojcem do zbiorników.

Ojciec i syn pracowali przy szambie tylko wtedy, kiedy Liam mógł pomagać. W weekendy. W lecie. Po szkole.

Gabriel uparł się, że Liam musi nadal chodzić do szkoły, choć ich wspólne marzenie o tym, że Liam zostanie w przyszłości architektem, straciło swój blask.

W szkole wszyscy śmiali się z Liama, który każdą wolną chwilę spędzał, brodząc w ściekach. Ale dojrzewał szybciej od rówieśników, a im był starszy, tym większe zainteresowanie budził wśród dziewcząt - tym większe, że jego oczy patrzyły w ich rozchichotane twarze prosto i z nieskrywaną wzdargą.

Ani właściciel firmy zajmującej się oczyszczaniem zbiorników, ani właściciele domów nie mieli nic przeciw dziwnym godzinom pracy Gabriela i Liama. Ojciec i syn nie stwarzali żadnych problemów, pracowali szybko i dokładnie, niemal nie odzywając się do siebie.

Aż to tego czerwcowego dnia, kiedy zaczęli śpiewać. Był to cudowny duet, magiczna pieśń, która wzbiła się do nieba nad górami.

Śpiewał Liam. Śpiewał Gabriel. Śpiewały chmury, białe i puszyste jak cukrowa wata, i motyle, i róże, i wywrotka, którą prowadził Gabriel.

Śpiewały nawet zbiorniki. Najpierw tenorem. Potem barytonem i grzmiącym głębokim basem, kiedy już je oczyszczono

Śpiewał cały świat. Wreszcie znowu śpiewało serce Liama.

Gabriel i Liam czyścili zbiorniki aż do drugiej po południu.

- Skończmy już z tym na dzisiaj - zaproponował Gabriel.

- Dobrze - zgodził się Liam. - Tato...

- Tak, Liam?

- Obaj wiemy, jaki to dzień.

- To prawda, Liam. To dzień jej urodzin. Dzień jej śmierci.

- Może umyjemy się teraz, wyszorujemy do czysta, ubierzemy się odświętnie, a potem przygotujemy obiad, który miała dla nas ugotować, i ciasto, które mieliśmy dla niej upiec. Myślę, że chciałaby tego. A ty?

- Ja też.

- Liam...

- Tak?

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Musisz śpiewać, mój synu. Musisz zawsze śpiewać.

- Będę śpiewał. Obaj będziemy śpiewać. I razem zbudujemy śpiewające domy, tato.

Liam pierwszy wziął prysznic w łazience na górze. Potem, wyszorowany do czysta i porządnie ubrany, poszedł do kuchni sporządzić listę zakupów. Znalazło się na niej to wszystko, co tego dnia umieściłaby na niej mama. Wszystko z tego samego sklepu.

Tak, moi panowie! Zielone oczy Eileen lśniły jasno. Upieczecie dla mnie urodzinowy tort! Ale będzie lepiej, jeśli ja kupię wszystko, co potrzeba, nie sądzicie? A kiedy już przyjdzie do pieczenia, będę was miała na oku.

O trzeciej pięćdziesiąt dwie zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Gabriel był na górze. Ubierał się. Liam słyszał prysznic, wesołą deszczową piosenkę, która nagle umilkła, po czym nad jego głową rozległa się nowa muzyka - rytm kroków ojca, jak miarowe uderzenia serca.

Liam otworzył drzwi i jego oczom ukazały się cztery bardzo eleganckie osoby na tle błękitu nieba. Pomyślał, że zabłądzili.

Zdecydowanie nie pasowali do tej dzielnicy. Pewnie wybierali się na ślub i skręcili nie w tę ulicę.

Jedwabny różowy kostium młodszej z kobiet nie ukrywał jej mocno zaokrąglonej figury. Była w ciąży. Uśmiechała się radośnie.

- W czym mogę państwu pomóc? - spytał Liam.

- Możliwe, że przyszliśmy trochę za wcześnie - odparła. - Nikt z nas nie wiedział, co właściwie oznacza „trochę przed czwartą”. Ja jestem Valerie, to jest mój mąż Thomas, a to - dotknęła ręką brzucha - to jest Melissa. Chyba że urodzi się chłopak... Moje dziecko, podobnie jak ja, żyje dzięki twojemu ojcu. Nie mogę się już doczekać, kiedy go naprawdę poznam. Miałam wówczas dziesięć lat i, dzięki Bogu, niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło...

- Ale dlaczego państwo przyszli tutaj?

- Twój ojciec poprosił nas o to - odparł Edward. - To znaczy, poprosił mnie, ale Lilah, Val i Thomas nalegali, żebym ich zabrał ze sobą. Bardzo chcieli cię poznać. I oczywiście twoją matkę.

Ale przecież Eileen Pierce Rourke nie żyła. Została zamordowana. Dokładnie tego samego dnia, trzy lata temu. Trochę przed czwartą.

- Nie!

Liam był w połowie schodów prowadzących na górę, kiedy rozległ się huk wystrzału.

Gabriel Rourke zaplanował samobójstwo w taki sposób, jak robią to ci, którzy naprawdę zamierzają je popełnić - spokojnie, metodycznie, zdecydowanie, zgodnie z logiką, do jakiej zdolny był jego udręczony umysł.

Gabriel czuł, że musi być razem z Eileen. Pragnął tego od dnia jej nagłej śmierci.

Jednak żył dla swojego syna, dbał o niego, obdarzał go miłością i troską tak długo, aż wreszcie uznał, że Liam sam sobie zdoła poradzić, że już go nie potrzebuje.

Chwila ta nadeszła szybciej, niż sądził.

A gwałtowna śmierć, jaką sobie zadał? To także zostało metodycznie zaplanowane, miało być wiernym odbiciem śmierci, jaka stała się udziałem jego ukochanej Eileen.

Koroner stanowczo nalegał, by Gabriel nie oglądał twarzy swojej martwej żony. Obiecał, że dostarczy mu fotografię. I zrobił to.

Na tym lśniącym zdjęciu połowa twarzy żony Gabriela nadal była śliczna, a na jej ustach widniał znajomy uśmiech.

W chwili kiedy zginęła, uśmiechała się, myśląc o urodzinowym obiedzie. Czekala właśnie na zmianę świateł, żeby przejść przez ulicę. Ostrożna jak zawsze pewnie popatrzyła w obie strony, zanim zesła z krawężnika.

Ale rozpędzony samochód z pijanym kierowcą nadjechał z tyłu.

Jajka zakupione do tortu, który jej mężczyźni mieli dla niej upiec, rozbiły się na chodniku, tak nagrzanym przez letnie słońce, że natychmiast się ścięły.

A lewa strona twarzy Eileen przestała istnieć.

Rana, którą Gabriel sam sobie zadał, wyglądała dokładnie tak samo. Ale była po prawej stronie. Kiedy znowu się spotkają, rozumował zrozpaczony Gabriel, a ich twarze się zetkną, on i Eileen staną się jednością. Znowu. Na zawsze.

Gabriel pragnął tego. Zaplanował to sobie.

Nie chciał jednak, żeby Liam zobaczył to, co zostanie z jego ojca - pół twarzy z połową uśmiechu i zerwane struny głosowe, które już nigdy nie zaśpiewają.

Gabriel był pewny, że Edward nie pozwoli, by Liam to zobaczył; że ojciec Valerie zrozumie natychmiast, o jaką przysługę prosi go Gabriel, i spełni jego prośbę, zanim jeszcze ucichnie echo wystrzału.

Edward zrozumiał. Natychmiast.

Uratuj mojego syna. Uratuj jego życie. Tak jak ja uratowałem życie twojej małej córeczki.

Edward nie chciał by Liam zobaczył swego ojca.

Ale Liam był synem Gabriela. Musiał zobaczyć ojca. Tak jak Gabriel musiał zobaczyć Eileen, tulić ją, całować jej twarz.

Liam musiał zrobić to samo. Tulił do siebie zakrwawione ciało ojca, kołysał je, szeptał do niego, całował go, krzyczał... i długo nie pozwalał się od niego odciągnąć... Myślał też o tym, jak oszczędzić widoku swojego ojca obu kobietom.

# Rozdział 1

*Denver, Kolorado*

*Piątek, 13 lutego*

**P**omocy. Pierce uśmiechnął się, słysząc znajomy głos.

- Pomocy? Val! Nie mów, że matka panny młodej wpadła w panikę.

- Sądzę, że to sama panna młoda powinna panikować. Albo pan młody.

Tymczasem żadne z nich nie okazuje cienia zdenerwowania. A ja całkowicie załamie się nerwowo, kiedy Melissa i jej ojciec zaczną swój marsz przez kościół. Jednak chwila ta nastąpi dopiero za, sprawdzimy, trzydzieści siedem godzin, jedenaście minut i dwanaście sekund. Więc na razie jestem zupełnie spokojna, niewzruszona jak skała. Potrzebuję pomocy z całkiem innego powodu.

- Wszystko jasne - powiedział Pierce z rozbawieniem.

Val jak to Val. Kobieta, która spojrzała na zegar i w mgnieniu oka policzyła godziny, minuty i sekundy dzielące ją od chwili, kiedy usłyszy pierwsze nuty *Marsza weselnego*, była jak zawsze opanowana, rzeczowa.

Owszem, czasem, kiedy mówiła, zdarzało jej się coś poplątać. Ale zawsze był w tym jakiś sens. Mimo łatwości wysławiania się Valerie Prescott Evanson wołała słuchać innych. Zachęcała ludzi, żeby zabrali głos, poczuli się dobrze, pewnie w jej towarzystwie.

Ale Valerie potrafiła też być bardzo bezpośrednia. Tak jak tego pierwszego lata, które spędził w Holly Hills.

Każdy pokój w tym domu mógł należeć do niego. Nawet ten świeżo urządzony dla przyszłego wnuka. Ale Liam wolał położony nieco dalej letni domek, który stał pusty od czasów dzieciństwa Edwarda i bardzo przypominał dom rodziny Rourke.



Nowa rodzina Liama bez wątpienia także zauważyła to podobieństwo. Martwili się o niego. To byli dobrzy ludzie, Liam wiedział o tym. Mili, współczujący i delikatni.

Czuł ich bezradność. Ich lęk o niego. Ale nie zwracał na to uwagi.

Chciał być sam. A oni, mimo swoich obaw, pozwolili mu na to. Edward, Lilah i Thomas.

Ale nie Val. Ona stała się jego cieniem. Bliskim i nie zawsze milczącym. Choć on milczał uparcie. Aż do tego słonecznego dnia pięć tygodni po śmierci Gabriela.

Wtedy Liam przemówił. Nagle. Gwałtownie.

Gdyby ona nie trajkotała wtedy na progu o imieniu dla swojego dziecka, nie plotła w kółko o tym samym, na pewno wcześniej zorientowałby się, co planuje jego ojciec, i zdążyłby go powstrzymać.

Te okrutne słowa Liama zraniły Val. Przeraziły ją.

Ale nie uciekła.

Stała przed nim drżąca, ale pełna determinacji, a potem, jak prawdziwa dama, powiedziała to, co musiała powiedzieć.

- Tak bardzo mi przykro.

I on też powiedział to, co musiał powiedzieć.

- To nie twoja wina. Ojciec postanowił, że się zabije tego dnia.

- Gdybyś jednak zdążył...

- Nie. Nikt i nic nie zdołałoby go przed tym powstrzymać.

- Naprawdę w to wierzysz, Liam?

- Tak, Val. Naprawdę. Ale nie nazywaj mnie Liamem, dobrze?

- Dobrze - odparła i po chwili zapytała cicho: - A jak mam cię nazywać?

- Moim drugim imieniem. Pierce. - Liam oznaczało miłość, która należała do przeszłości. - Dobrze?

- Dobrze, Pierce.

- I powiesz innym?

- Powiem.

Od tej chwili był Pierce'em, a ona nadal była jego cieniem, teraz bardziej milczącym, czujnym. Wcale mu to nie przeszkadzało.

Na początku sierpnia Pierce, któremu chyba zaczęło brakować dźwięku jej głosu, odezwał się do niej:

- Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć, Val. A ona natychmiast wypaliła prosto z mostu:

- Nie pozwolę ci się zabić.

- Co?

- Wiem, jak bardzo chciałbyś być znowu z nimi. Z nimi. Wiem, że tęsknisz za rodzicami tak samo, jak twój ojciec tęsknił za twoją matką. Ale oni nie tego dla ciebie pragną.

- Wiem.

- Wiesz?

- Jasne. Mój ojciec mógł bez trudu zabrać mnie ze sobą.

- Nie, nie mógł!

- Oczywiście, że mógł. Po prostu postanowił, że tego nie zrobi. I tyle.

Taka była gorzka prawda.

Jednak Val nie chciała go słuchać.

- Czy ty niczego nie rozumiesz? Kiedy człowiek ratuje kogoś, również jego syn do końca życia jest odpowiedzialny za tę uratowaną osobę. Wiem, że może się to wydawać dziwne. Ale tak właśnie głoszą ludowe porzekadła.

- Val!

- Naprawdę. Te przysłowia zawsze są trochę bez sensu. - Spojrzała mu w oczy. I po raz pierwszy w ich ciemnej, zielonej głębi dostrzegła szmaragdowy błysk, odziedziczony po Eileen tańczący płomień, promień księżycy w zapomnianym lesie. - No dobrze! To nie jest żadne ludowe porzekadło tylko żalсна prawda. Zawsze chciałam mieć młodszego brata. Odkąd dowiedziałam się, że na świecie istnieją takie stworzenia, którymi można rządzić. Nie

zauważyłaś jeszcze, że jestem rozpuszczona jak dziadowski bicz? Zawsze dostaję to, czego chcę.

Nie była wcale rozpuszczona, Pierce dobrze o tym wiedział. Była uparta, samodzielna i odważna. I chciała mieć młodszego brata? Może. W każdym razie na pewno chciała, żeby trzynastoletni sierota przeżył.

Ponieważ jej młodszy braciszek uparcie chciał się zagłodzić, była zmuszona dać mu dobry przykład.

Val przybrała na wadze więcej niż powinna w czasie ostatnich trzech miesięcy ciąży. I musiała się bardzo męczyć, drepcząc za nim wszędzie w letnim upale. Bo on tego lata nie był w stanie usiedzieć w miejscu, jakby ciągle szukał tego, co utracił.

Włóczyli się po terenach należących do Holly Hills, a ich złączony cień stawał się coraz większy. Coraz dziwniejszy.

Pierce bardzo wyrósł tego lata i schudł, bo niewiele jadł. Jego czarne włosy stały się długie, gęste i potargane. A Val tyła, stawała się coraz bardziej okrągła.

Może jednak istnieje takie porzekadło, w myśl którego uratowana córka ratuje syna swego wybawcy i zostaje jego siostrą?

Minęło sporo czasu zanim słowa „moja siostra” przeszły Pierce'owi przez gardło. Uznał już ją za siostrę pod koniec września, kiedy na świat przyszła Melissa, ale nie mógł wtedy jeszcze wypowiedzieć tych słów. Jednak to, co ofiarował młodej matce, było aż nadto wymowne. Dał własną kołyskę, ręcznie wyciosaną przez Gabriela z drewna, które śpiewało.

Mała Melissa spała w tej śpiewającej kołysce, kołysana przez wujka Pierce'a.

Mała Melissa, która za trzydzieści siedem godzin pójdzie przez kościół do ołtarza.

- Val, powiedz, w czym ci pomóc.
- Jesteś bardzo zajęty?

- Wcale nie jestem zajęty.

- Naprawdę? Rzuciłeś okiem na dzisiejszą poranną gazetę? Oczywiście artykuł o tobie na pierwszej stronie nie jest dla ciebie niespodzianką.

- Już go czytałem.

- Właśnie. Jest długi weekend, piękne lato. Nie jest łatwo zmusić obywateli Denver, by w drodze na romantyczne pikniki zatrzymali się i kupili gazetę. Cóż bardziej mogłoby ich zadziwić niż twoje piękne zdjęcie i najnowsze wiadomości o Carillon Square, których im dostarczyłeś? - powiedziała Val żartobliwie. - Naprawdę są jakieś problemy z tym projektem?

- Naprawdę.

- Chodzi o budynki?

- Nie. Budynki są w porządku.

- W porządku? To, co widać od ulicy, wygląda wprost bajecznie.

- Dzięki. Wszystko idzie zgodnie z planem. Czego nie można powiedzieć o parku.

- Ach, więc o to chodzi.

Park, zdaniem wielu, był centralnym punktem projektu. Carillon miało zostać nietknięte, otoczone czteropiętrowym kompleksem handlowym i mieszkalnym.

Denver miało wiele parków. Można by się zastanawiać, czy w związku z tym potrzebuje jeszcze jednego. Urzędnicy miejscy twierdzili zgodnie, że park zaprojektowany przez Pierce'a Rourke'a będzie dziełem mistrza.

- Ale w czym problem? Och, mniejsza z tym. - Val wiedziała, że problemem może być wszystko: pieniądze, czas, zmieniające się koncepcje architekta... - Dzwonili już z rady miasta?

- Jeszcze nie.

- No bo po co mieliby dzwonić? Wiedzą przecież, że dasz sobie z tym radę. Musisz tylko wejść w kontakt ze swoim wewnętrznym feng shui, czy jak to się tam nazywa.

Pierce nie powiedział nikomu, nawet jej, o swoim darze. Przez pewien czas sądził nawet, że ten dar umarł wraz z Gabrielem.

Ale nie umarł, tylko na pewien czas usnął. Na całe lata.

Budynki Carillon Square śpiewały, tak jak powinny, czystą, słodką pieśń. Ale park milczał, a nawet jeszcze gorzej - dusił się, krztusił, umierał w cieniu tęczowej pieśni szkła.

Czy powinien był od razu przewidzieć, że będą z tym problemy? Czy mógł się tego domyślić? Oczywiście. Gdyby jego dar pozwolił mu słyszeć muzykę dokumentacji technicznej.

- Poradzisz sobie - powtórzyła Val. - Potrzebujesz tylko więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć, przetrawić, znaleźć najlepsze rozwiązanie. Jak pamiętam, możesz to robić wszędzie. Mówiłeś kiedyś, że pomaga ci wówczas zmiana otoczenia.

- To prawda. Czy chcesz mi coś zaproponować?

- Owszem, jeśli masz czas między dwunastą czterdzieści pięć a czwartą trzydzieści.

- Jestem do twojej dyspozycji.

- Świetnie. Wielkie dzięki. Bo panna młoda, druhny, matki i babki poddają się zabiegom upiększającym w Chez Jacques i są tym tak zaabsorbowane, że chcą tu zjeść lunch.

- Stąd ten alarm.

- Tak.

- Ale masz przy sobie komórkę?

- Jak zawsze.

- I świetnie się bawisz?

- Jasne. Ale mam pełne ręce roboty. Chodzi o małą. Trzeba ją przywieźć do domu.

Mała. Dziesięcioletnia córka Val, Callie.

- Ma już dość pławienia się w luksusie?

- Na pewno by miała, gdyby tu była. Ale wolą pójść do szkoły.

- Dziwne.

Callie lubiła szkołę, ale uwielbiała swoją starszą siostrę.

- Wszystkie nas to zaskoczyło. Callie nie chciała nikogo urazić, ale w końcu powiedziała, że siedzenie na farmie piękności jest okropnie nudne w jej wieku. Cóż, ja to uwielbiam! Ale dla Callie na pewno ważniejsze jest spotkanie Klubu Książki.

- Klub Książki? To coś nowego.

- Tylko klasa Callie bierze w tym udział. Callie twierdzi, że to pomysł panny Finch.

- Panny Finch?

- Bibliotekarki.

- Także nowa?

- Pracuje od pierwszego grudnia. Pamiętasz, jak na posiedzeniu rady rozważano kwestię przejścia na emeryturę pani Broaddrick?

- Zdaje się, że nie chciała iść na emeryturę, chociaż mówiła o tym od lat.

- Rada nie miała zamiaru naciskać na nią w tej sprawie, bo nikt z nas nie umiał sobie wyobrazić, co pani Broaddrick będzie robić ze swoim wolnym czasem. Ale potem, nagle pojawiła się panna Finch. Nigdy nie pracowała w szkole, ale odkąd zamieszkała w Bostonie, coś ją ciągnęło do tego budynku!

- Więc pewnego dnia postanowiła wejść do środka i tak została nową bibliotekarką?

- Jest bibliotekarką z wykształcenia. I zjawiała się w odpowiedniej chwili. Pani Broaddrick ma mieszkającą w La Jolla siostrę, która owdowiała niedawno i zapraszała ją do siebie na stałe. Jak najszybciej, jeszcze przed rejssem na Hawaje, który zaplanowały sobie na Boże Narodzenie.

- Jak najszybciej? To określenie pasuje raczej do pogotowia ratunkowego - zauważył Pierce. - A w szkole dla dziewcząt Hazel Traphagen nic nie dzieje się szybko. Znam to z autopsji.

- Wiem. Rada szkoły jest zawsze taka sama, niezależnie od tego, kto w niej zasiada. Panna Finch nie została oczywiście zatrudniona natychmiast. Musiała przejść zwykłą procedurę, jak każdy. Ale wszystko odbyło się w rekordowo krótkim czasie. Panna Finch miała doskonale referencje, a poza tym świetnie zna się na komputerze, co jest dużym plusem, biorąc pod uwagę, jak obeznane są z tym obecnie małe dziewczynki. Pani Broaddrick nie miała pojęcia o komputerze.

- A więc panna Finch jest bibliotekarką nowego tysiąclecia.

- Owszem, jednak pod wieloma względami to tradycjonalistka. Uwielbia czytać stare książki drukowane na dobrym papierze. Dziewczynki bardzo ją lubią.

- A ich rodzice?

- Cenimy ją. Nawet bardzo. Ale chyba nie widzimy tego, co dziewczęta.

- To znaczy?

- Skrzyżowania Mary Poppins z Sokratesem.

- A co to właściwie znaczy?

- Zachęca je do myślenia jak Sokrates. Szanuje wszystkie poglądy, jakie wyrażają. To dziewczynki, a nie panna Finch, wybierają książki na spotkania klubu.

- A Mary Poppins?

- Ona roztacza wokół siebie magię, której ulegają wszystkie dziewczęta. Nawet te z szóstych klas, mimo że są okropnymi nastolatkami. Jaka szkoda, że ciągle nie zanoszą się na rozszerzenie szkoły do dwunastej klasy, chociaż wszyscy o tym mówią.

- Callie nigdy nie stanie się okropną nastolatką.

- A kto by pomyślał, że Melissa się nią stanie? Dzięki Bogu miałam wówczas ciebie, Thomasa i tatę.

Pierce dobrze to pamiętał. Serce Val omal nie pękło, kiedy jej ukochana pierworodna córka zaczęła dorastać i szukać własnej tożsamości. Dosłownie z dnia na dzień zmieniła się nie do poznania, urwał się z nią kontakt.

- No dobrze, zbyt długo zawracam ci głowę.

- O której mam odebrać Callie ze szkoły?

- Piętnaście po pierwszej. Po spotkaniu klubu ma jeszcze lunch. Może potem mógłbyś ją zawieźć do domu? Powinnam wrócić najpóźniej o trzeciej.

- Wraz z innymi damami?

- Nie. Sama. Reszta dam najpierw uda się na pole golfowe, żeby dopilnować panów, którzy powinni być gotowi do próby generalnej.

- Chętnie zostanę z Callie dłużej.

- Dziękuję. Niestety mój mąż, nieszczęsny neurolog, pracuje dziś, zamiast grać w golfa.

## Rozdział 2

Założona w 1906 roku szkoła dla dziewcząt Hazel Traphagen mieściła się w budynku, który wcześniej należał do poszukiwacza złota. Powiodło mu się i zgromadził fortunę, ale zgubiła go chciwość. Chcąc zarobić więcej, podjął ryzyko i wszystko stracił. Jednak w okresie prosperity wybudował jedną z najpiękniejszych rezydencji w Denver.

Adaptacja budynku mieszkalnego na szkołę nie pociągnęła za sobą konieczności większej przebudowy. Doprowadzono elektryczność, a w okna wstawiono podwójne szyby. Szkoła Hazel Traphagen była na wskroś nowoczesna.

W zależności od wieku dziewczęta wbiegały lub wchodziły na szerokie schody, umieszczone w samym środku budynku, jakby żywcem wzięte z Przemienię z wiatrem. Na pierwszym podejściu schody rozchodziły się w dwie



strony. Starsze klasy, od czwartej do szóstej, znajdowały się na lewo, a młodsze, od pierwszej do trzeciej, na prawo.

Symbolem szkoły był fiołek. Pierwotnie szkolny mundurki składał się z białej bluzki i fioletowego fartuszka. Dziewczynki ciągle nosiły białe bluzki o uwspółcześnionym kroju, ale fartuszki zastąpiły fioletowe spódniczki i sweterki. Po długiej debacie, prowadzonej przez trzy kolejne rady szkoły, postanowiono w końcu, że dopuszczalne są także różowe lub lilowe podkolanówki.

Od nazwiska Traphagen, prawidłowo wymawianego jako Traapaygun, uczennice nazywano „Peggy”.

Lilah Prescott również była kiedyś „Peggy”. Właściwie ciągle nią pozostawała. Jak wszystkie absolwentki szkoły. Val, Melissa, a teraz Callie...

Val zwerbowała Pierce'a do rady szkoły, kiedy Callie była w pierwszej klasie.

- Będiesz naszym honorowym członkiem, Pierce!

Pierce zasiadał więc w radzie przez cały okres dwuletniej kadencji. W tym roku mógł ubiegać się o reelekcję, ale nie zrobił tego. Nikt też na niego nie naciskał. Wszyscy wiedzieli, jak absorbujące są jego zawodowe plany.

Pomyślał teraz, wjeżdżając na znajomy łukowaty podjazd, że nie powinien był z tego rezygnować. Mógł wszędzie rozwiązywać swoje problemy. Zwłaszcza - czego nie miał odwagi powiedzieć Val - na posiedzeniach rady.

Nawet nie słyszał o panie Finch ani o Klubie Książki.

Może właśnie dlatego Val, jego apodyktyczna starsza siostra, powierzyła mu dziś tę misję - żeby delikatnie przypomnieć, co stracił.

Nieważne, że park Carillon nie chce śpiewać, że może nigdy nie zaśpiewa, a realizacja jego następnego projektu już jest opóźniona. Może pojawi się w szkole, kiedy Callie zechce, żeby opowiedział dziewczynkom o swojej pracy?

Już w maju ubiegłego roku ośmioletnie wówczas drugoklasistki wykazały się sporą dociekliwością.

Spotkanie zostało zorganizowane w dużej, jasnej sali na drugim piętrze, która kiedyś była przestronną sypialnią. Osiemnaście uczennic -za czasów Val klasy liczyły najwyżej dwanaście dziewcząt - siedziało w dużym kręgu. Pierce nie wszedł do środka, tylko usiadł wśród nich. Każde spotkanie rozpoczynało się wstępem, przygotowanym przez dziewczynkę, która przyprowadziła gościa.

Callie sama napisała swój tekst i faksem przesłała go do Pierce'a, chcąc mieć pewność, że go aprobuje. Potem, jak powiedziała mu Val, nauczyła się go na pamięć i powtarzała bez końca.

Kiedy nadeszła wielka chwila, Callie na wszelki wypadek wzięła do rąk kartkę, a kiedy w końcu zaczęła mówić, nie miało to nic wspólnego z tym, co przedtem przygotowała.

- To jest mój wujek Pierce! Jest architektem, jak oczywiście wszystkie wiecie. No, może Janie nie wiedziała, bo mieszka w Denver dopiero od miesiąca. Tylko że ty, Janie, jesteś z Chicago, a tam są Wietrzne Kuranty. Wujek Pierce był kiedyś prawnikiem. Prokuratorem. Występował w imieniu stanu, to znaczy naszym. Wygrał wszystkie sprawy! I robiłby to dalej, tylko że postanowił zostać architektem. Może to nawet lepiej dla nas wszystkich... Mara, mieszkasz w Cherry Hills Ranch, prawda? A wiesz, że to wujek Pierce zaprojektował twój dom? I twój też, Laurel. Jest wspaniały, prawda? I zupełnie inny niż dom Mary. Każdy dom jest inny, chociaż to wujek Pierce zaprojektował je wszystkie. Wszystkie domy, cała dzielnica zdobyła bardzo ważną nagrodę.

Wujek Callie projektował też domy w Canterbury, zaledwie o kilometr stąd, i ten wielki wieżowiec z widokiem na góry, stojący w centrum miasta. A skoro o tym mowa, to wszystkie hotele i wieże Wietrznych Kurantów, z których osiem znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych, a reszta w Paryżu, Londynie, Monte Carlo i Quebecu, też są jego projektu.

Mieszkańcy wież, w których na dole mieściły się biura, a na górze luksusowe apartamenty, korzystali ze wszystkich udogodnień związanych z

bezpośrednim sąsiedztwem pięciogwiazdkowych hoteli. Pierce, również tam mieszkając, dojeżdżał do pracy windą. Albo schodził po schodach.

Planowano także budowę takiego kompleksu w Maui. Tropikalna elegancja na Hawajach. Zaraz po ukończeniu Konserwatorium - jak wyjaśniła Callie, jego budowa przeciągała się, bo nie wszystko było w idealnym porządku - rozpoczną się prace na Carillon Square. Istnieje jeszcze wiele innych budowli projektu Pierce'a Rourke'a, a wszystkie są naprawdę zdumiewające.

- Ale jego *tour de force* to Wyspa - oznajmiła Callie i urwała dla zaczerpnięcia tchu, a jej policzki aż pokraśniały z zadowolenia, że bezbłędnie podała to określenie, usłyszane od Val.

- Tak się właśnie nazywa - Wyspa. Tylko tyle. Ale kiedy w Denver mówi się o Wyspie, Janie, wszyscy wiedzą, o co chodzi. Jeśli wybierasz się na Wyspę, to znaczy, że idziesz na ślub.

Wyspa nigdy nie miała innej nazwy. Nikt nie wiedział o jej istnieniu, aż do dnia, kiedy ktoś przypadkiem koło niej przelatywał, nikt też nie wyobrażał sobie, że można by coś na niej wybudować, dopiero wujek Pierce wpadł na ten pomysł.

- Bo połowę wyspy stanowiły skały. Jak na księżycu. Ale to są białe skały. Białe jak śnieg. A na pozostałej części, gdzie jest mnóstwo kwiatów i zieleni, mieszkają ptaki. Całe rodziny ptaków. Wujek Pierce nigdy nie zniszczyłby ptasich domów.

Postanowił więc budować na szczycie nagiej, księżycowej skały. Na szczycie i pod nią. Z położonych całkowicie po ziemię parkingów wyjeżdża się na powierzchnię windą albo, jeśli gość weselny tego sobie życzy, może iść po schodach.

A jak dostać się na Wyspę? Tunelem, również ukrytym w głębi, pod jeziorem.

Pierce stworzył bujne ogrody wśród białych skał i fontanny szemrzące na stawach, a sama budowla jest biała jak tort weselny, przez cały rok opleciony

gałązkami wisterii, pękami kwiatów lawendy i zielonymi liśćmi winorośli, zrobionymi w całości ze szkła.

Nad licznymi stawami przerzucono śliczne mosty z białego marmuru, a ścieżki ogrodowe są zimą podgrzewane, żeby goście weselni mogli po nich spacerować bez obawy, że poślizgną się na lodzie.

- I wszędzie, wszędzie jest mnóstwo małych białych światełek, które migocą jak gwiazdy. Mogłabym tak opowiadać bez końca - oczy Callie lśniły jak gwiazdy, o których mówiła - a pewnie minęło już więcej niż przepisowe pięć minut.

Ważniejsze od wprowadzenia gościa były następujące później pytania i odpowiedzi.

Wizyta Pierce'a została zaplanowana z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Val uprzedziła go więc, że dziewczynki będą pytały również o to, co interesuje ich rodziców, a zwłaszcza ich matki. Dziewczynki w tym wieku są najlepszymi przyjaciółkami matek, które mają na nie wielki wpływ.

Janie, nowa Peggy, odezwała się pierwsza. Jej pytanie, które najprawdopodobniej wymyśliła sama, jako że jej mama była zajęta urządzeniem nowego domu, nie zaskoczyło Pierce'a.

Janie chciała wiedzieć, co sprawiło, że postanowił zostać prawnikiem.

Pierce pomyślał, ale nie powiedział tego głośno, że jego matka została zabita przez pijanego kierowcę, który wcześniej wielokrotnie był karany za jazdę pod wpływem alkoholu i który na długo przed tym strasznym czerwcowym dniem powinien zostać zamknięty w więzieniu. Z powodu niefrasobliwości sędziego mogła również zginąć matka Callie, gdyby nie interwencja jego ojca.

Powiedział, że chciał studiować prawo, by walczyć o porządek i sprawiedliwość.

Ale dlaczego porzucił te studia?

Dlatego, pomyślał, bo pragnienie zemsty rodzi tylko pustkę i ból - nawet kiedy się osiąga swój cel. A także dlatego, że niektórzy ludzie stali się przestępcami, bo nie zaznali miłości. Co nie znaczy, że nie należy ich karać.

Ale Pierce nie miał satysfakcji z wsadzania do więzienia ludzi, którym nigdy nie dano szansy na inne życie. Przeciwnie. Czuł tylko litość. I dojmujący smutek.

A pragnienie, by uczynić świat bezpiecznym? Świadomość, że wykolejency, choć godni pożałowania, powinni zostać wyeliminowani ze społeczeństwa? Cóż, pragnienie, by uczynić świat pięknym, też nie jest bez znaczenia. Warto tworzyć piękne miejsca, miejsca śpiewu i marzeń.

Pierce odparł, że po prostu nadszedł czas, by pójść dalej. Nikt nie ma obowiązku zajmować się przez całe życie tymi samymi rzeczami.

Liam Pierce Rourke wyznał, że zawsze marzył o tym, by zostać architektem.

Laurel powiedziała, że jest zachwycona swoim domem, który właśnie on zaprojektował. Podobnie jak Mara.

Potem przyszła kolej na dziewczynkę o imieniu Robyn. Powiedziała, że była na ślubie, który odbył się na Wyspie. Jest tam tak pięknie. Czy Pierce rozmawiał ze specjalistami od ślubów, zanim przystąpiono do budowy? Tak, żeby wszystko na Wyspie spełniało oczekiwania nowożeńców i ich gości?

Pierce zapewnił ją, że odbywał spotkania całkiem podobne do dzisiejszego, zadawał pytania księżom, restauratorom, organizatorom przyjęć. A także nowożeńcom oraz ich rodzinom. I wszyscy oni służyli mu nieocenioną radą i pomocą.

Czy Wyspa była bardzo droga? Pytanie to zadała dziewczynka o imieniu Bobbie, rumieniąc się przy tym i niespokojnie spoglądając na nauczycielkę, panią Jones.

Bobbie dobrze wiedziała, że damy nie pytają o pieniądze. Takie pytania są nietaktem, zarówno w życiu, jak i na szkolnych spotkaniach.

Ale Bobbie, niewątpliwie za namową rodziców, nie pytała o dokładną sumę.

Pani Jones w milczeniu skinęła głową. Bobbie balansowała na krawędzi, ale nie przekroczyła cienkiej linii oddzielającej to, co wypada, od tego, czego nie wypada. Poza tym pani Jones sama była ciekawa odpowiedzi.

Pierce odparł, że nie było to bardzo drogo. Zwłaszcza, że cena obejmowała nie tylko samą Wyspę, ale także jezioro i porastający jego brzegi las.

Zapłacił za tę Wyspę, ile zażądano. Nie miał wyboru. Wyspa przyzywała go swoim śpiewem.

Ale budowa na Wyspie musiała chyba dużo kosztować, nalegała Bobbie. Trudno budować na skale i pod skałami, pod jeziorem.

Tak, to było kosztowne przedsięwzięcie.

Ale warte trudu?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Callie i reszta dziewcząt wykrzyknęły chórem gromkie: „Tak!”

Czy na Wyspie naprawdę nie wolno palić?

Naprawdę.

Czy dlatego, że jego zdaniem ludzie nie powinni palić?

Pierce odparł, że palenie powoduje wiele chorób. Jednak na Wyspie nie wolno palić także ze względów bezpieczeństwa.

Żeby nie wybuchł pożar?

Tak. Chociaż, zapewnił Pierce, zainstalowano tam najnowocześniejszy system ochrony przeciwpożarowej i najmniejszy płomyczek zostałby zaraz ugaszony. Pozostaje jednak sprawa dymu. Budynek urządzono jak przytulny dom, wyposażono w miękkie dywany, jasne sofy, haftowane zasłony.

- A poza tym - dodała Callie - wujek Pierce troszczy się o płuca ptaków, zwłaszcza piskląt. Zadbał też o picie. Można pić, jeśli się jest dorosłym, ale nie można potem wsiąść do samochodu.

To jego Wyspa i sam ustala zasady przebywania na niej. Dlatego też każdy ślub jest piękny i wszyscy jego uczestnicy mają zapewnione bezpieczeństwo. Na każdym weselu, na którym podawano alkohol, byli policjanci, którzy nie pełnili w tym dniu służby, ubrani jak inni goście wmieszani w tłum. Ponieważ mieli dbać o trzeźwość kierowców, wszyscy docenili ten pomysł.

- Czy to nie wspaniałe?

W odpowiedzi na pytanie Callie dziewczynki zaczęły entuzjastycznie kiwać głowami. Łącznie z tą, która marszczyła w skupieniu brwi, czekając na swoją kolej, by zadać mu pytanie.

Czy nie czuje się dotknięty, że nigdy nie otrzymał tytułu najatrakcyjniejszego mężczyzny w Denver, najlepszej partii? Tytuł ten przyznawał co roku dwumiesięcznik „Mile High” na przełomie grudnia i stycznia.

Ani trochę. Pierce zapewnił o tym dziewczynki, wyraźnie zatroskane faktem, że wspaniały wujek Callie został tak okropnie skrzywdzony.

Pomyślał, że chyba wcale nie jest taką dobrą partią. Owszem, wierzy w małżeństwo. Nawet bardzo. I ma dla tej instytucji wiele szacunku. Na co dowodem może być choćby Wyspa, stworzona po to, by uświetnić małżeńskie przysięgi.

Nie można też powiedzieć, że Liam Pierce Rourke stroni od kobiet. Całkiem przeciwnie. Również kobiety lubią jego towarzystwo.

Pierce nie potrafił jednak wytrwać w żadnym związku.

A Giselle Trouveau?

To pytanie, którego Val od początku się spodziewała, było logicznym następstwem poprzedniego. Dziewczynki zaczęły zgodnie kiwać głowami - ich matki były bardzo zainteresowane tą kwestią. Pani Jones wstrzymała oddech. Tylko Callie niecierpliwie zamachała rękami, a kartka z przemówieniem zatrzepotała jak gołąb.

- Między wujkiem Pierce'em a panną Trouveau nie ma nic takiego! - zauważyła. Owszem, ona jest bardzo piękna i bardzo utalentowana. I oczywiście

wujek Pierce bardzo ją lubi. Współpracowali ze sobą, kiedy wujek kupił Wyspę. Panna Trouveau jest Amerykanką, choć ma francuskie nazwisko, ale długo mieszkała w Wenecji. Wenecja jest we Włoszech. Wyspa od razu przypomniała jej Wenecję. Na pewno z powodu wody, chociaż w Wenecji są kanały, a tutaj stawy. Wujek Pierce zgodził się wybudować takie mosty jak w Wenecji, postawić takie same latarnie. Nie ma tylko gondoli. Ale są wisterie, tak samo jak w Wenecji. W Wenecji nie ma miejsca na prawdziwe ogrody, ale dzięki wisterii Wenecjanie mają ogrody na ścianach domów. A dzięki pannie Trouveau na wyspie jest wisteria ze szkła. To niesamowite, pąki wyglądają zupełnie jak prawdziwe.

Callie zapewniła, że Wyspa jest *tour de force* panny Trouveau. Ale stosunki łączące pracującą w szkole artystkę ze sławnym architektem są czysto zawodowe.

To prawda. Wiedzieli o sobie nawzajem tylko to, co było konieczne, żeby mogli ze sobą współpracować.

Giselle nie wiedziała, że budowle Pierce'a musiały śpiewać, a on nie miał pojęcia, co obudziło w niej pragnienie tworzenia trwałych kształtów z ulotnego ognia. Pierce podziwiał Giselle, że ma wizję swojej pracy, której oddaje się z taką pasją.

- Poza tym - poinformowała Callie swoją klasę, jakby to ostatecznie rozwiązywało tę kwestię - ona mieszka w Carmel, w Kalifornii, a nie tutaj.

- Więc pan nie ma zamiaru się z nią ożenić? - dopytywała się szczególnie dociekliwa uczennica.

- Nie! - Callie znowu zamachała ramionami. Pierce z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Ani ona nie ma zamiaru wyjść za mnie. Muszę przyznać, że wy wszystkie, drogie panie, mogłybyście być świetnymi prokuratorami.

Spotkanie dobiegło końca. Tydzień później Pierce otrzymał dziewiętnaście liścików z podziękowaniami. Pod jednym z nich podpisała się pani Jones.



A gdyby tak znowu pojawił się na takim spotkaniu i usiadł w kręgu dziewcząt? Czy budowa Carillon Square bardzo by na tym ucierpiała?

Pierce nacisnął dzwonek przy frontowych drzwiach szkoły, mimo że nie miał chwilowo w planach takiego spotkania.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Podczas zajęć wszystkie drzwi szkoły, ze względów bezpieczeństwa, były zaryglowane. Zwyczaj ten wprowadzono trzydzieści lat temu, po próbie porwania Valerie Elizabeth Prescott.

Pierce wiedział, że sześćdziesięcioletnia kobieta, która go powitała, była uzbrojona w najnowocześniejszą technologię. Kamery rejestrowały każdy jego ruch, odkąd wjechał na teren szkoły przez potężną bramę. A gdyby zaistniała taka potrzeba, w każdej chwili można było nacisnąć jeden z guzików alarmu, zainstalowanych w całej szkole.

- Pan Rourke!

- Witam, pani Holt.

Pan Rourke. Pani Holt. Zupełnie jak w powieści Charlotte Bronte. Nienaganne maniery. Tradycja. Etykieta rodem z czasów, które bezpowrotnie minęły. Związani ze szkołą dorośli, również rodzice uczennic, odebrali kiedyś staranne wychowanie *a la* Peggy, jak uczęszczające do tej szkoły dziewczynki.

- Przyjechał pan po siostrzenicę?

- Tak.

- Callie jest taka podekscytowana ślubem i faktem, że Melissa wybrała ją na swoją druhenę!

Pierce uśmiechnął się lekko. Mimo pewnych trudności, jakie sprawiała, będąc nastolatką, Melissa wyrosła na piękną, mądrą kobietę. Oznajmiła swojej młodszej siostrze, że dziewięć lat to wiek zbyt poważny, by sypać kwiatki z innymi dziećmi. Poza tym, Melissa chciała, by Callie stanęła u jej boku trzymając w pogotowiu obrączkę. Obrączkę, którą panna młoda poda swojemu oblubieńcowi.

Pani Holt zmarszczyła brwi, przeglądając dokumenty Callie.

- Och, mój Boże!

- Czyżby pani Evanson nie uprzedziła pani?

- Zadzwoiła przedwczoraj. Powiedziała, że odbierze Callie piętnaście po pierwszej.

- Jestem trochę wcześniej, ale mogę poczekać.

- Chodzi o to, że nie ma pana na liście osób upoważnionych do odbierania Callie ze szkoły. Oczywiście wszyscy wiemy, że jest ona pana siostrzenicą, i nawet gdyby przyjechał pan po inną z naszych uczennic wiedzielibyśmy, że jest z panem bezpieczna. Nie wolno jednak robić mi wyjątków. Nawet w tak oczywistych sprawach. Chociaż przypuszczam, że...

- Nie ma powodu łamać zasad. Na pewno jednak jest jakieś wyjście w takiej sytuacji.

- Potrzebna jest zgoda pani Fairchild. Niestety w tej chwili nie ma jej w szkole.

- A jej zastępczyni?

Pani Fairchild, która sama była absolwentką tej szkoły, od czterdziestu siedmiu lat pełniła funkcję dyrektora i aż do tej chwili nie opuściła ani jednego dnia pracy.

Pierce postanowił, że nie będzie się denerwował.

- Może jest jakaś nauczycielka, która mogłaby wyrazić zgodę?

- Tak, oczywiście - rozpromieniła się pani Holt. - Panna Finch.

Pierce z trudem ukrył zaskoczenie. Fakt, że w tej szkole, gdzie wszystko opierało się na tradycji, pani Holt wybrała nową nauczycielkę, wydawał się zdumiewający. Ale Pierce nie miał zamiaru dyskutować o tym z panią Holt. Cieszył się, że kryzys został tak szybko zażegnany. Pomyślał też, że spotkanie z Sokratesem i Mary Poppins w jednej osobie będzie bardzo interesujące.

- Świetnie - powiedział. - Zapewne znajdę ją w jadalni?

- Nie - odparła pani Holt, prowadząc go przez wyłożony marmurem hol do biblioteki. - Po spotkaniach Klubu Książki odpoczywa w swoim pokoju.

Panna Finch coraz bardziej go intrygowwała. Pewnie jest bardzo młoda, bo jak inaczej mogłaby być wzorem dla dziewcząt w trudnym wieku dojrzewania? Chyba że to typ ponadczasowej Peggy. Stara panna, rodem z innej epoki, w grubych pończochach i wygodnych butach, popija jakiś napar z rumianku z eleganckiej porcelanowej filiżanki.

- Dziwne - mruknęła pani Holt, kiedy weszli do biblioteki. - Dziewczynki nie ustawiły krzeseł z powrotem przy komputerach, zanim poszły na lunch. I skończyły spotkanie Klubu Książki wcześniej niż zawsze.

- Chętnie ustawię krzesła, jak należy.

- Nie - odparła pani Holt. - Jeśli krzesła stoją tutaj, to znaczy, że panna Finch chciała, żeby tu zostały.

## Rozdział 3

A więc panna Finch była w dodatku bardzo skrupulatna. W stylu Charlotte Bronte. Na pewno raz zakupioną książkę przechowuje przez całe życie i jest w stanie usłyszeć najcichszy szept z odległości stu kroków.

Pani Holt zapukała delikatnie do drzwi gabinetu bibliotekarki.

Panna Finch miała najwyżej trzydzieści lat. Była wysoka i smukła. Stała pewnie w pantofelkach na obcasach, które z pewnością nie zaliczały się do najwygodniejszych. Miała na sobie granatowy wełniany kostium, a pod nim ciepły kremowy golf. Strój odpowiedni raczej na trzaskające mrozy niż na ten wyjątkowo ciepły, jak na środek lutego, dzień.

Pierce nie widział jej twarzy. Otwierając drzwi, patrzyła w dół, spodziewając się najwyraźniej, że jej gościem będzie mała dziewczynka.

Panna Finch była znacznie wyższa od panny Holt, więc nie podniosła głowy. Pierce widział tylko jej włosy, wspaniałe, bujne, kruczoczarne, ściągnięte z tyłu głowy w węzeł.

Skromna. Sztywna. Zimna.

Bardzo.

Ale Pierce był pewny, że gdyby gościem istotnie okazała się mała dziewczynka, panna Finch natychmiast przyklełaby przed nią, mimo wąskiej spódnicy, by spojrzeć w zmartwioną czymś buzię.

Kiedy panna Finch odezwała się, jej głos brzmiał jak muzyka.

- Słucham, pani Holt?

- Przepraszam, że panią niepokoję, ale pani Fairchild poszła do lekarza.

- Tak, wiem. Czy mogę w czymś pomóc?

- Chodzi o to, że pan Rourke przyjechał po Callie, zgodnie z tym, co mówiła pani Evanson. Problem w tym, że nazwiska pana Rourke'a nie ma na liście osób upoważnionych do odbierania jej ze szkoły. Może zechciałaby się pani tym zająć?

- Tak, oczywiście. - Bibliotekarka wyciągnęła białą jak śnieg dłoń i wzięła dokumenty Callie z rąk pani Holt.

- Dziękuję, pani Holt. Zajmę się tym.

Pani Holt, odprawiona w ten uprzejmy sposób, zniknęła, a panna Finch po raz pierwszy spojrzała na Pierce'a.

A Pierce po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Jej jasne, błękitne oczy i cerę białą jak śnieg.

Była to twarz arystokratki. Poważna, inteligentna. Nie pojawił się na niej nawet cień uśmiechu.

- Pan Rourke? Proszę wejść. Otworzyła drzwi szerzej.

Pierce wszedł do jej gabinetu, który był tak czysty i porządkny, jak jego właścicielka. Jednak w przeciwieństwie do przemarzniętej kobiety o śnieżnobiałej cerze, okutanej miękkimi wełnianymi tkaninami, pomieszczenie było ciepłe. Gorące.

Blat biurka także mienił się gorącymi barwami. Wszystkimi odcieniami czerwieni. Leżały na nim kartki walentynkowe, również wykonane niezwykle starannie.

I bardzo przemyślanie ułożone.

Niezależnie od rozmiaru były widoczne w całości, nie zachodziły jedna na drugą. Wszystkie były jednakowo ważne, tak samo jak ich ofiarodawczynie.

Pierce uśmiechnął się do bladej kobiety, która usiadła naprzeciw niego po drugiej stronie zavalonego kartkami biurka.

Wskazała mu fotel i zapytała:

- Mogę poznać pana imię, panie Rourke?

- Liam Pierce Rourke.

- Rourke. Jeśli ma pan przy sobie prawo jazdy, mogłabym spisać z niego wszystkie niezbędne informacje.

- Naturalnie. - Pierce wyciągnął portfel, wyjął z niego prawo jazdy i wręczył je bibliotekarce i specjalistce od komputerów, rozmiłowanej w starych dobrych książkach.

Jak bardzo jednak można tkwić w epoce Charlotte Bronte? Panna Finch musiała również czasem podejść do półek z prasą, gdzie leżały

„Rocky Mountain News” albo „Denver Post”. I grudniowo-styczeniowe wydanie magazynu „Mile High” z jego twarzą i nazwiskiem na pierwszej stronie.

Panna Finch nie mogła tego przeoczyć.

Chyba że nie chodziła na zakupy.

Chyba że nie jadła.

Czy ta bibliotekarka naigrawa się z niego? Może nie tylko widziała okładkę, ale nawet czytała zamieszczony w środku artykuł? Kronikę jego sukcesów jako architekta, tak świetnych, że obywatele Denver przymykali oko na opóźnienia i niedociągnięcia, niewidoczne dla nich, choć aż nadto widoczne dla niego?

Niewidoczne jak nowe szaty cesarza.

Panna Finch mogłaby dojść do wniosku, że stwarza on sztuczne problemy, byle tylko zwrócić na siebie uwagę, której tak łaknie.

W dodatku te komentarze różnych kobiet, które Pierce znał. Z którymi się spotykał. Z którymi sypiał.

Był wymagający nie tylko jeśli chodzi o jakość projektowanych przez siebie budynków. Był również bezkompromisowy wobec siebie w życiu prywatnym. Jednak jego kochanki dowiadywały się już na samym wstępie, że związek z nim nie będzie trwał długo. Pierce postanowił, że chce pozostać wolny.

Niezaangażowany emocjonalnie.

Panna Finch, jako kobieta bardzo odczytana, mogła postanowić, że w przeciwieństwie do reszty mieszkańców Denver, nie da się nabrać na jego piękne słówka. Ujawni jego arogancję, udając, że nie wie, z kim ma do czynienia. Że nie wie nic o jego sławie.

A gdyby arogancki architekt zareagował oburzeniem i złością? Elegancko i uprzejmie odparłaby jego atak.

Pierce byłby szczerze zadowolony, gdyby arystokratka z Bostonu naprawdę nie miała pojęcia, kim on jest.

Pewnie zbyt źle się czuła, żeby tak się zabawiać. Pierce pomyślał o tym, patrząc, jak starannie przepisowała jego dane z prawa jazdy.

Bolała ją głowa. Okropnie. Bolała ją tak przez całą noc, sądząc z sinawych kręgów pod oczami.

Nie spała tej nocy. Było jej zimno.

A jednak zajęła się powierzoną jej przez panią Holt sprawą. Dokładnie i pracowicie. Tak jak z uwagą przyklekłaby przed małą dziewczynką, choćby sprawiało jej to niewysłowiony ból.

Pachniała czymś delikatnym, nieuchwytnym jak nić babiego lata. Pierce uświadomił sobie, że jest to zapach fiołków.

- Panno Finch...

Podniosła głowę. Powoli. Jakby nawet najlżejszy ruch powodował nieznośny ból.

- Słucham.

- Jestem wujem Callie. Bratem Valerie Evanson. Może pani wie, że mamy ślub w rodzinie. - Dostrzegł, że jej oczy pojaśniały, a na twarzy ukazał się cień uśmiechu. - Callie wspominała o tym?

- Owszem. - Uśmiech jeszcze przez chwilę jaśniał na jej pobladłej twarzy, a potem zgasł.

- Val, która ma teraz mnóstwo pracy, poprosiła mnie, żebym odebrał Callie ze szkoły. Ponieważ jednak nie ma mnie na liście osób do tego upoważnionych, myślę, że powinna pani zadzwonić do niej. Podałbym pani numer jej telefonu komórkowego, ale chyba będzie lepiej, jeśli sama znajdzie go pani w dokumentach.

- Rozmawiając z panią Holt, odniosłam wrażenie, że powinnam znać pana i potwierdzenie pana tożsamości nie będzie konieczne. Ale ja nie znam pana.

- Jestem architektem i w związku z tym od czasu do czasu piszą o mnie w gazetach. Ale oczywiście może to nie wystarczyć dla potwierdzenia mojej tożsamości. Bezpieczeństwo Callie jest dla nas wszystkich najważniejsze.

Panna Finch poszła za jego radą, znalazła numer Val w dokumentach i sięgnęła do stojącego na biurku telefonu. Val odebrała natychmiast.

- Pani Evanson? Mówi... Tak, zgadza się. Tak, jest tu. Nie, jego nazwiska nie ma w... To żaden problem. To ja przepraszam, że panią niepokoję, ale te szkolne zasady... Nigdy za dużo ostrożności. Dziękuję. Do widzenia. Pana siostra powiedziała, że możemy dołączyć pańskie nazwisko do listy. Jeśli pan chce.

- Tak, chcę. Ale w tej chwili chciałbym przede wszystkim wiedzieć, od jak dawna boli panią głowa?

- Głowa?

- Boli panią, prawda?
- Tak.
- I jest pani zimno? Czuje się pani przemarznięta.
- Tak, ale...
- Odnoszę też wrażenie, że z trudem porusza pani szyję.
- Owszem. Ale...
- To może być zapalenie opon mózgowych - powiedział Pierce łagodnie.

Nie chciał jej przerazić. Ale ona nie wydawała się przestraszona, tylko zdumiona. Jego zdecydowaniem? Jego troską?

- Nie, nie jestem lekarzem. Lekarzem jest mąż mojej siostry, co oznacza, że w pewnym sensie także ona zna się na medycynie. I wraz z nim ciągle się uczy. Val śledzi pilnie wszystko, co dotyczy zwłaszcza chorób dziecięcych - i informuje o tym całą rodzinę. Wiele z tych chorób atakuje także dorosłych. Zapalenie opon mózgowych jest klasycznym przykładem.

- To nie jest zapalenie opon mózgowych.

Pierce zauważył, że powiedziała to ze smutkiem. Z żalem. Jakby zapalenie opon mózgowych było jednak lepsze od tego, na co cierpi. Zapalenie opon mózgowych jest prawie zawsze uleczalne, jeśli zostanie odpowiednio wcześniej rozpoznane.

A jaką chorobę rozpoznano u niej? U tej pięknej kobiety pachnącej fiołkami, która tak bardzo cierpiała, tak bardzo marzła? I była taka blada.

Wspaniałe czarne włosy, związane z tyłu, gęste i lśniące, były nietknięte chemioterapią. Jakby nawet to nie mogło już pomóc.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie powinienem wtykać nosa w nieswoje sprawy.
- Nic nie szkodzi.
- Na pewno?



- Tak. Naprawdę nic mi nie jest. To tylko zmęczenie. Rozdrażnienie. Rozdrażnienie powodujące dojmujące uczucie zimna, bezsenność, nieznośne bóle głowy? Pierce nie mógł się z tym zgodzić.

- To diagnoza lekarza?

W jej oczach znowu pojawiło się zdumienie. Zdumiała ją jego delikatność i uparta troska.

- Tak.

- Postawiona przez dobrego lekarza? Brat siostry, o którym wcześniej wspomniałem, jest neurologiem. Jednym z najlepszych.

- Tak, wiem. Byłam u doktora Evansona. Są pewne... kwestie, o których dyrekcja szkoły musiała wiedzieć, zanim zdecydowała się mnie zatrudnić.

Oznaczało to wizytę u neurologa? Najwyraźniej tak.

- Ale dlaczego?

Pierce kontynuowałby swoją delikatną indagację, gdyby w uchylonych drzwiach nie pojawił się nagle uśmiechnięty piegowaty promień słońca.

- Cześć! Mogę wejść?

- Oczywiście, Callie - powitała ją ciepło bibliotekarka. Pierce wstał.

- Cześć, mała.

- Cześć!

- Twoja mama poprosiła mnie, żebym cię odebrał ze szkoły.

- Nie byłeś zbyt zajęty?

- Dla ciebie mam zawsze czas.

Przy każdym spotkaniu, choćby nie widział jej tylko kilka dni, wydawała mu się starsza. Tego dnia miała też wyjątkowo dorosłą fryzurę. Jej jasne kręcone włosy zostały splecione w ciasny kok z tyłu głowy.

Jak u Mary Poppins.

Jak u intrygującej panny Finch.

- I poznałeś pannę Finch! Pani Holt powiedziała mi, że nie ma cię na liście, chociaż powinieneś być.

- Teraz już jestem.
- To dobrze! Jak się pani czuje, panno Finch?
- Dużo lepiej, Callie. Dziękuję.
- To ja pani dziękuję, panno Finch - odparł miękko Pierce - za opiekę nad moją siostrzenicą. A więc, panno Callie, jest pani gotowa do drogi?
- Całkiem gotowa. Miłych Walentynek, panno Finch!
- Dziękuję ci, Callie. Nawzajem. I miłego ślubu - po czym dodała szeptem: - uważaj na siebie.

## Rozdział 4

Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła Callie, kiedy przechodzili przez hol.

A Pierce zastanawiał się, przed czym ostrzegła Callie panna Finch. Przed nim?

Czy ta bibliotekarka uważała, że jest takim potworem?

A jak on na to zareagował? Gniewem. Tak nagłym i gwałtownym, że jego samego to zaskoczyło. Bo bardzo rzadko zdarzało mu się doświadczać takich emocji.

Czuł, że to nieracjonalne. Bezsensowne. Prawie nigdy tak nie reagował.

Cóż, taka jest rzeczywistość. Nie trzeba być prokuratorem, żeby wiedzieć, iż psychopaci mogą czaić się wszędzie. Są wśród biednych i wśród bogatych, zdarzają się wśród braci, wujów i architektów. Trudno ich rozpoznać w trakcie krótkiej pogawędki nad kartkami walentynkowymi. A jednak ciągle był wściekły.

- W co nie możesz uwierzyć, Callie?

- Że zostawiłam plecak w jadalni! Jak można być tak roztargnionym? To chyba to zdenerwowanie przedślubne, które tylko ja odczuwam. Mogę po niego polecieć? Masz dość czasu?

- Mam cały dzień, Callie. I wiesz co? Chciałbym jeszcze o czymś porozmawiać z panną Finch. To może trochę potrwać, więc nie spiesz się. A potem spotkamy się tutaj.

Pierce nie miał zamiaru pukać delikatnie do drzwi jej biura.

Kiedy chwycił za klamkę, drzwi otworzyły się nagle. Wpadli na siebie.

Panna Finch przewróciłaby się, gdyby Pierce jej nie podtrzymał. Przez rękawy wełnianego kostiumu wyczuł, jak szczupłe i kruche są jej ramiona, wyczuł ich chłód.

Odzyskała równowagę i wysunęła się z jego objęć. Ale nadal stała bardzo blisko. Nie cofnęła się nawet, kiedy już dostrzegła nieskrywaną wściekłość w jego oczach.

- Bardzo pana przepraszam. To, co powiedziałam, było niewybaczalne. Absolutnie niewybaczalne. To miało związek ze mną, z czymś, co mnie się zdarzyło. Nie miało nic wspólnego z Callie. Ani z panem. Czy ona bardzo się tym zdenerwowała?

- Ani trochę. Callie jest przyzwyczajona do słuchania takich upomnień ze strony dorosłych.

- Ale pan jest zdenerwowany. Nic dziwnego, po tym, jak okazał mi pan tyle troski... Po tym, jak mi pan pomógł...

- Sądzi pani, że moja troska pani pomogła?

- Tak. A ja odpłaciłam panu za pańską dobroć w taki...

- Ależ nie zrobiła pani nic złego. Rzeczywiście, byłem trochę zdenerwowany. - Pierce ochłonął znacznie szybciej, niż się tego spodziewał. - Ale już nie jestem. Jednak nadal niepokoję się stanem pani zdrowia. Ból głowy minął, ale jest pani bardzo zimno?

- Bardzo zimno - powtórzyła. - I chyba tracę panowanie nad sobą.

- Dlatego ostrzegła pani Callie?

- Tak.

- To tylko troska, panno... do diabła, jak pani ma na imię?

- Ana, Anastasia.

Anastasia. Zaginiona księżniczka.

- Opowiedz mi o tym, Anastasio.

- O czym?

O czymkolwiek. O wszystkim. O sobie.

- Dlaczego masz bóle głowy, dlaczego jest ci tak zimno. Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

- To jest również twoja sprawa. Ze względu na Callie. Pani Fairchild miała przekazać diagnozę doktora Evansona rodzicom wszystkich uczennic. Mam nadzieję, że to zrobiła. Chciałam tego.

- Rodzicom, ale nie wujom. Ja wiem tylko, że moja siostra wyraża się o tobie w samych superlatywach. Zakładam więc, że Thomas nie miał żadnych obaw. Prawda?

- Tak.

A jednak ona się boi, i to bardzo, pomyślał Pierce.

- Ja bym wierzył Thomasowi, Anastasio. On naprawdę zna się na tym, co robi.

- Jest też bardzo dobrym człowiekiem.

- Nie ukrywałby prawdy.

Prawda. Jaka jest prawda? Nie jest tajemnicą, to pewne. Anastasia sama zwróciła się do lekarza. Powiedziała, że są pewne rzeczy, o których szkoła powinna wiedzieć. A potem upoważniła Thomasa i panią Fairchild do ujawnienia wyników badań.

- Czy Thomas znalazł przyczynę bólu głowy i uczucia zimna?

- Tak.

- Jeśli nie masz ochoty, nie musisz mi o tym mówić.
- Chcę ci powiedzieć.
- Ale zawahałaś się.
- Bo chyba Callie na ciebie czeka.
- Wybrała się właśnie na poszukiwania swojego plecaka.
- Rozumiem. Chyba będzie lepiej, jeśli zamkniemy drzwi. Chociaż jest tu

zbyt gorąco dla ciebie, prawda?

Za gorąco dla niego. Za zimno dla niej.

- Jest w sam raz - zapewnił ją Pierce, zamykając drzwi.

Usiedli po przeciwległych stronach mahoniowego biurka, tak jak poprzednio, i Anastasia zaczęła swoją opowieść.

- W lipcu ubiegłego roku na przyjęciu weselnym w Bostonie wypiałam przypadkiem lemoniadę, w której były narkotyki.

- Narkotyki? Kilka naraz?

- Tak. Rophynol i GHB.

Nie trzeba być prokuratorem, żeby wiedzieć, czym jest rophynol i gammahydroksybutyran. GHB.

- Narkotyki, po których dochodzi do gwałtów na randkach - powiedział łagodnym głosem.

Przez chwilę Ana wydawała się tak zagubiona i śliczna, jak jej imię.

- Anastasio?

- Tak. Ale nic takiego nie przydarzyło mi się. Ani nikomu innemu.

Winowajcami byli dwaj siedmioletni chłopcy, którzy podsłuchali, jak starszy brat opowiadał swojemu koledze o rophynolu. Jak podasz to dziewczynie, chwalił się, zrobi wszystko, co będziesz chciał, a potem nie będzie nic pamiętać. Chłopcom wydało się to czarodziejską sztuczką. Uznali, że może to być świetna zabawa. Wesele kuzyna wydawało się znakomitą okazją do wypróbowania narkotyku. Więc podkradli trochę bratu.

- I dodali rophynolu i GHB do twojej lemoniady.

- Tak. Chociaż nie wiedzieli, że to moja szklanka. W ogóle mnie nie znali. Sama wybrałam tę szklankę. Była to, jak się potem okazało, jedyna szklanka z lemoniadą, do której dodali narkotyków. Ich głównym celem był poncz, do którego dolali tylko GHB. Pierwsi goście, którzy napili się ponczu, natychmiast strasznie się rozchorowali. Zanim jeszcze pogotowie zabrało ich do najbliższego szpitala, chłopcy przyznali się do wszystkiego.

- A co się z tobą działo?

- Poszłam z lemoniadą do ogrodu. Tam nagle zakręciło mi się w głowie, upadłam na kolana, nie byłam w stanie utrzymać się na nogach. Udało mi się wczłógać pod krzew rododendronu. Zasnęłam tam, a właściwie zemdlałam. Dopiero rano odzyskałam przytomność. Czułam potworny ból głowy i drżałam z zimna, choć noc była gorąca. Od tego czasu ciągle powraca ból głowy i uczucie zimna.

- A czy Thomasa nie niepokoi, że te bóle głowy trwają tak długo?

- Podobnie jak lekarze, u których byłam w Bostonie, sądzi, że uczucie zimna można wytłumaczyć rozregulowaniem gospodarki cieplnej organizmu, spowodowanej przez mieszankę narkotyków.

- Znaleziono ślady jeszcze jakichś innych narkotyków?

- Nie. Badanie krwi, któremu się poddałam, zostało zrobione zbyt późno, by można było to wykryć. Jednak w mieszkaniu chemika wytwarzającego GHB znaleziono także LSD domowej roboty.

- Pamiętasz coś z tamtej nocy?

- Nie - zawahała się. - Miewam jednak wizje dotyczące przyszłości. Widzę jak przez sen to miasto, chociaż nigdy wcześniej nie byłam w Denver.

- Miły sen, coś w rodzaju *deja vu*.

- To prawda. I nie przejmuję się tym specjalnie, choć takie wizje nigdy mi się wcześniej nie zdarzały. Bardziej niepokojące są inne następstwa tego wypadku. To właśnie dlatego nie wiedziałam, kim jesteś.

Wiedziałyby, gdyby czytała gazety albo oglądała wiadomości.

- W ogóle nie oglądam telewizji. Przed wyjazdem z Bostonu pozbyłam się telewizora. Nie czytam gazet. Odciełam się od świata. Od realnego świata. Odciełam się od niego w ubiegłym roku. Rozumiesz?

Pierce dobrze ją rozumiał. Jej niepokój. Jej rozpacz. I przypomniał sobie z bolesną ostrością to, co sam przeżywał w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy Gabriel Rourke zrealizował swój straszny, przemyślny plan.

- Dlaczego? - zapytał.

I czekał. Cierpliwie. Niespokojnie.

- Potrzebowałam spokoju. Ciszy. Absolutnej ciszy.

- Dlaczego? - spytał znowu.

- By móc Się skoncentrować na słuchaniu. Sama nie wiem czego.

- Słyszysz głosy?

- W tej chwili tylko twój. - Uśmiechnęła się słabo. - Mam dziwne wrażenie, że jeśli będę słuchać wystarczająco długo i uważnie, usłyszę coś, co powinnam wiedzieć. Prawdziwy obłąd, prawda?

Obłąd. A więc o to chodzi. Obawia się, że narkotyki, które nieświadomie zażyła, zwłaszcza jeśli było wśród nich LSD, mogą wywołać u niej psychozę.

- To normalne, Anastasio. I wymaga odwagi. - Znacznie większej odwagi niż ta, którą wykazał się on sam, rozpaczający po śmierci Gabriela, kiedy wolał nie słuchać ciszy, zamknął przed nią uszy, choć wiedział, jak cudowne dźwięki mógłby usłyszeć. Cisza, w którą wsłuchiwała się Anastasia była tajemnicą, wielką, białą plamą na mapie jej umysłu, stworzoną przez tę samą alchemię, która przyniosła ze sobą jej piękną wizję, bóle głowy i dojmujące uczucie zimna. A jednak Anastasia słuchała tej ciszy. Szukała w niej odpowiedzi na swoje pytania. - Założę się, że Thomas nie uważa cię za obłąkaną.

- I pewnie wygrałbyś ten zakład. Na razie.

- Anastasio?

- Tak?

- Czy jest coś jeszcze?

- Nie. To wszystko. - W tej chwili czuła się przy nim tak bezpiecznie. Czy to normalne? - Dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać.

- Dziękuję, że zechciałaś mi o tym opowiedzieć.

Pierce czuł, że jej opowieść dobiegła końca. Czy jednak wszystko powiedziała? Chyba nie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Czy to dlatego skończyła swą opowieść, że była w stanie usłyszeć najcichszy szept, najlżejszy krok z dużej odległości?

- To pewnie Callie - powiedział Pierce.

- Nie. Ona puka inaczej. To jest Helen z pierwszej klasy. - Anastasia spojrzała na zegarek. - Przyszła bardzo punktualnie. Ma problemy z komputerem. Umówiliśmy się, że poćwiczymy trochę, zanim zjawi się tu reszta klasy. - Podniosła wzrok znad biurka. - Mógłbyś uchylić drzwi i powiedzieć jej, że przyjdę za chwilę?

- Oczywiście.

Pierce wstał, odwrócił się i otworzył drzwi. Zanim jeszcze cokolwiek powiedział, dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

- Pan jest wujkiem Callie!

- Zgadza się, to ja. Cześć. A ty jesteś...

- Helen. Moja siostra Laurel chodzi z Callie do tej samej klasy.

Mieszkamy w domu, który pan zaprojektował. Jest piękny!

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Wietrzne Kuranty też nam się podobają! I Carillon Square, chociaż nie jest jeszcze skończony! Idziemy na ślub Melissy, na Wyspę! To pan ją zaprojektował? Wyspa naprawdę należy do pana?

- Tak. Ale korzystałem z rady i pomocy wielu ludzi.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ją zobaczę!

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. Helen, panna Finch prosiła mnie, żebym ci powiedział, że nie zapomniała o waszym spotkaniu. Poczekaj chwilę.



- Dobrze. Mogę tymczasem poustawiać krzesła.

Kiedy Helen oddaliła się w podskokach, Pierce odwrócił się do Anastasii. Patrzyła na niego zaskoczona.

- Powinnam była wiedzieć, kim jesteś. Znam twoje budynki. Podziwiam je. Ale nie wiedziałam, że należą do ciebie.

- Należą do wszystkich, którym się podobają.

Również do ciebie, Anastasio. Jeśli potrafisz usłyszeć ich śpiew.

Ona również mogłaby zostać dobrym architektem. Tak misternie potrafiła ułożyć na stole walentynkowe kartki. Tylko że teraz na biurku było pusto.

Nowe purpurowe cegielki leżały w schludnej kupce na brzegu biurka.

- To są walentynki od klasy Helen, prawda? A poprzednie dostałaś od klasy Callie?

- Dostałam po osiemnaście kartek od każdej klasy. Każda z dziewczynek dała mi jedną. Chciałabym wyeksponować je wszystkie na raz, ale nie mam dość miejsca.

- Tak jest lepiej. Mogą się czuć bardziej wyróżnione. Anastasia musiała wrócić do swoich obowiązków, Helen czekała, a Callie zdążyła już pewnie znaleźć plecak.

Nadszedł czas pożegnania, chociaż Pierce nie chciał się z nią rozstawać.

A ona?

- Może miałabyś ochotę pójść na ślub, a potem na przyjęcie weselne, na którym na pewno nikt nie doda niczego do lemoniady? Pójdiesz ze mną na ślub Melissy, Anastasio? - Pierce dostrzegł w jej oczach radosne zaskoczenie. - Przyjechałbym po ciebie, powiedzmy o...

- Nie.

- Nie?

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę.

Powiedziała to ze smutkiem. Z zalem. Tak jak wtedy, kiedy powiedziała mu, że nie ma zapalenia opon mózgowych.

Dlaczego, Anastasio? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- W porządku - uśmiechnął się - miłych Walentynek. Anastasio.
- Miłych Walentynek... Liam.

## Rozdział 5

**T**ak się cieszę, że poznałeś pannę Finch! - wykrzyknęła Callie, kiedy wyruszyli już do Holly Hills. - Czyż nie jest miła?

- Bardzo miła.
- Ciszę się, że poczuła się lepiej.
- Ja też.
- Mam nadzieję, że jej ślub będzie tak cudowny jak Melissy.

Liam Pierce Rourke nie zjechał z drogi. Człowiek, którego matka zginęła przez pijanego kierowcę, nigdy nie tracił panowania nad sobą, kiedy siedział za kierownicą. Prowadził samochód pewnie, chociaż zakręciło mu się w głowie, a jego plany nagle legły w gruzach. Właśnie się zastanawiał, kiedy do niej zadzwoni.

- Panna Finch wychodzi za mąż?
- Kiedyś na pewno wyjdzie, prawda?
- Na pewno.
- To chyba nic złego, że poszłam dzisiaj do szkoły zamiast do Chez

Jacques?

Pierce z trudem oderwał się od myśli o ślubie Anastasii, który odbędzie się w bliżej nieokreślonej przyszłości.

- Zdaniem twojej mamy był to bardzo dobry pomysł. Zwłaszcza że, o ile wiem, nigdy nie przepadałaś za wodorostami.
- Za wodorostami?

- Twoja mama była cała w nie pozawijana i hermetycznie zapieczętowana. Poza telefonem. - Pierce uśmiechnął się, a Callie zachichotała. - Na pewno lepiej dla ciebie, że poszłaś do szkoły.

Pierce nie odrywał wzroku od drogi, ale kątem oka widział, że dziewczynka intensywnie nad czymś rozmyśla. Niemal słyszał chrzęst trybików w jej głowie.

- Gdybym nie poszła do szkoły - powiedziała Callie - mama nie musiałaby cię prosić, żebyś po mnie przyjechał.

- To prawda.

- I nie poznałbyś panny Finch.

- Też prawda.

- Więc dobrze się stało, że poszłam do szkoły. O, tak!

- Poza tym, gdybym nie była dzisiaj na spotkaniu Klubu Książki, nie dowiedziałabym się o Grace. Wujku Pierce?

- Słucham cię, Callie.

- Kiedy mama wróci do domu?

- Koło trzeciej.

- Och!

- Ale ja będę, jeśli czegoś potrzebujesz.

- Teraz, kiedy jesteś już „upoważniony”, mógłbyś pierwszy przeczytać ten artykuł, a ja w tym czasie przebiorę się na próbę. A potem, jeśli mi pozwolisz, również ja go przeczytam.

- Artykuł?

- Tak, artykuł z magazynu „People” z tego tygodnia. - Callie dotknęła leżącego u jej stóp plecaka - Mam go tutaj. Erin, która miała wybrać tekst na następne spotkanie, dała nam wszystkim po jednym egzemplarzu.

- Potrzebujesz pozwolenia, żeby przeczytać ten artykuł?

- Musiałyśmy to obiecać pannie Finch.

- Zawsze tak jest?

- Nie. Chyba dlatego, że artykuł jest smutny. O przemocy. A poza tym to jest prawdziwa historia.

- Przemoc, smutek i do tego to wszystko zdarzyło się naprawdę. Doskonale rozumiem pannę Finch.

- Ale, wujku, my już wszystkie wiemy, o czym jest ten artykuł. Zawsze robimy tak, że osoba, która przygotowuje jakiś tekst na spotkanie, najpierw nam o tym opowiada. Mimo że jest to prawdziwa historia, Erin opowiedziała nam o tym tak, jakby to była bajka. W baśniach też jest przemoc. Dużo przemocy. I smutku. Panna Finch też nie miała pojęcia, że to prawdziwa historia, dopóki Erin nie zaczęła wyciągać gazet z teczki. To nie jej wina. Ona jest z Bostonu, nie z Denver. Nie mogła wiedzieć, że w Kolorado naprawdę jest miasteczko, które nazywa się Loganville.

Miasteczko w Kolorado. Loganville. Dziewczynka o imieniu Grace. Smutek i przemoc... Pierce, który pochodził z Denver, wiedział o tym aż nadto dobrze.

- Czy to artykuł o Grace Alisii Quinn?

- Tak. Słyszałeś o niej, wujku? O tym, co się wydarzyło w tamtą okropną Wigilię?

- Tak, Callie, słyszałem.

Tak jak słyszało o tym całe Denver, całe Kolorado, a zapewne także przerażeni mieszkańcy sąsiednich stanów.

Od dnia, w którym w Loganville rozpętało się piekło, minęły już dwadzieścia trzy lata. Jednak Pierce pamiętał to wszystko bardzo wyraźnie. Tragedia rozegrała się podczas jego pierwszych świąt Bożego Narodzenia w Holly Hills, zaledwie sześć miesięcy po śmierci Gabriela. I znowu zmieniła jego życie. Nieodwracalnie.

Na lepsze.

To Grace je zmieniła. Grace Alisia Quinn. Pięcioletnia dziewczynka, która zginęła w pożarze wraz ze swoją matką, Mary Beth.

Dobra, szczodra, radosna, pełna miłości. Słowa te dobrze pasują zarówno do matki, jak i do córki. Mary Beth i Grace przyjęły obcego nastolatka do swojego domu i zapłaciły za to życiem. Obie.

Dopiero o świcie zgłiszcza domu przy Bluebird Lane ostygły na tyle, by szef policji Loganville mógł wejść do środka i stwierdzić, że popełniono morderstwo. Do tego czasu nieletni zabójca zdążył się już dostać autostopem do Denver, a może jeszcze dalej.

Jednak Pierce doszedł do wniosku, że należy go szukać w Denver. Postanowił znaleźć go i pomścić tę straszną zbrodnię.

Pierce włóczył się po ulicach ogarnięty obsesyjnym gniewem, który tlił się w jego duszy od śmierci Gabriela. Może nawet od śmierci Eileen.

Ubiegłego lata gniew ten znalazł ujście w wybuchu skierowanym przeciw Val, który zdumiał ich oboje. Jednak była to tylko iskierka w porównaniu z żarem, który zapłonął w nim, kiedy szukał mordercy z Loganville.

Czy rodzina, która tak ciepło przyjęła go do swojego domu w Holly Hills, wiedziała, co kryje się w jego sercu? Czy nie bali się, co może zrobić udęrczony nastolatek, którego przygarnęli pod swój dach?

Czy koszmar Loganville nie był dla nich dowodem na to, czego od dawna się obawiali - że Liam Pierce Rourke, którego ojciec targnął się w tak okropny sposób na własne życie, może pewnego dnia zamordować ich wszystkich - może roztrzaskać czaszkę Valerie, tak jak nastolatek z Loganville roztrzaskał czaszkę Mary Beth, a potem skazać wszystkich, łącznie z malutką Melissą na śmierć w płomieniach.

Zgroza.

Pierce wiedział, co to zgroza, poznał znaczenie tego słowa gdy dotarło do niego, co zamierza uczynić ojciec, zanim rozległ się huk wystrzału.

Ułamki sekund. Nieodwracalna strata.

Pierce miał wtedy już trzynaście lat i był bardzo dojrzały jak na swój wiek. Wiedział, co to śmierć, wiedział, co to strata, poznał je już przedtem.

Czworo ludzi, dobrych, cudownych ludzi chciało mu pomóc, ulżyć w bólu, pocieszyć.

Ale co musiała przeżywać pięcioletnia dziewczynka, niewinne dziecko o imieniu Grace? Zamknięta w swoim pokoju z mordercą, jak w pułapce, wiedząc, że jej matka kona piętro niżej?

Widział ją w tym pokoiku, w tej dziewczęcej sypialni pełnej falbanek i koronek, i słyszał trzask płomieni, czuł palący ogień, wdychał odór spalenizny.

Zgroza, jakiej doświadczyła Grace, trwała całą wieczność, wypełniona czekaniem na śmierć. Płaczem i wzywaniem pomocy. Błaganiem o litość.

Jednak pomoc nie nadeszła. Nie było litości. Nad tą małą dziewczynką nie czuwali żadni dobrzy ludzie.

Włócząc się po pustych ulicach, Pierce czuł, że mógłby udusić mordercę z Loganville gołymi rękami. Całą siłą swojej ogromnej wściekłości. Mógłby to zrobić. I zrobiłby to. Tak bardzo był żądny zemsty, żądny krwi.

Krążąc samotnie po mieście, zaczął się modlić. Za Grace. I modlitwa go odmieniła...

Wrócił do Holly Hills z pustymi rękami i otwartym sercem. Czy dojrzał choć cień rozczarowania na twarzach tych dobrych ludzi, którzy przez cały czas tak skrzętnie skrywali swoje obawy? Żał, że jednak na dobre nie zniknął z ich życia? Nie. Pierce dojrzał tylko wielką ulgę. Podziękował im wszystkim. Uspokoił ich, że nie ma w sobie zbrodniczych skłonności. Nie muszą się niczego obawiać z jego strony. Ale ci dobrzy ludzie nie sprawiali wrażenia, jakby kiedykolwiek się go bali. Obawiali się jednak o jego życie. Zapewnił ich więc, że nie ma również skłonności samobójczych.

Wtedy naprawdę odczuli ulgę.

Ulga.

Dom.

Po tych świętach Pierce wyznaczył sobie życiowy cel. Postanowił, że zostanie prokuratorem. Sprawí, że świat stanie się bezpieczny.

Był to szlachetny cel, ale jemu samemu przyniósł tylko smutek i ból.

A jednak cel ten trzymał go przy życiu, pomógł mu dotrzeć do chwili, kiedy był wreszcie gotów zostać architektem. Bo Pierce urodził się po to, żeby nim zostać.

Grace Alisia Quinn umierając, ofiarowała mu życie. Cel. Pasję.

Umierając dwadzieścia trzy lata temu.

Pierce nie miał wątpliwości, że łaska tej małej dziewczynki sięga poza grób. Nadal.

Czy jednak Callie i jej koleżanki nie mają dość takich tragedii? Mrozących krew w żyłach koszmarów?

Jon Benet.

Littleton.

Odbywający się w Denver proces Timothy'ego McVeigha, oskarżonego o zamach bombowy w Oklahoma City.

Magazyn „People” z tego tygodnia. Przecież to bez sensu. Jeśli w tej sprawie zaszło coś nowego, wydarzyło się to pół roku temu. W sierpniu. Kiedy ujawniono, kim naprawdę był morderca z Loganville.

Nie był to, jak się okazało, nastoletni uciekinier. Owszem, nastolatek zbiegł. Zbiegł, bo czuł się winny. Ale prawdziwym mordercą, tym potworem był...

- Troy Logan - powiedziała Callie, jakby czytając w myślach Pierce'a. - Kochał się w matce Grace, ale ona go nie chciała. Tak to go rozwścieczyło, że ją zabił. Czy to nie straszne, wujku?

- Tak, Callie. Straszne. Nie rozumiem jednak, i panna Finch zapewne też nie rozumie, jaki jest sens w czytaniu takiej smutnej strasznej historii?

- Bo ona nie jest wcale taka smutna!

Cóż, to prawda. Troy Logan nie żyje. Zginął, szykując kolejną zbrodnię, kilka chwil po tym, jak wyznał wszystko, pochwalił się tym, co zrobił swojej niedoszłej ofierze.

Troy nie żyje. Grace może spoczywać w pokoju. Wreszcie. A jednak...  
- Smutna.  
- Nie! Ta historia ma szczęśliwe zakończenie. A w każdym razie może mieć. Będzie miała! Ona żyje, wujku! Grace Alisia Quinn żyje!

## Rozdział 6

Callie pokazała Pierce'owi okładkę magazynu „People”, kiedy dotarli do Holly Hills.

Mogła to zrobić - było to dozwolone - ponieważ dziewczęta oglądały już okładkę na spotkaniu Klubu Książki. Callie przyznała, że wraz z koleżankami oglądała ją też później, w czasie lunchu.

- Nie otwierałyśmy jednak magazynu, bo obiecałyśmy pannie Finch, że tego nie zrobimy. A Erin powiedziała nam, że chodziło o to, jak teraz odnaleźć Grace, a nie o to, co stało się tamtej nocy. Erin wie o tym dużo, bo jej ciotka Dinah była najlepszą przyjaciółką Grace.

To Dinah, wyjaśniła Callie, dostarczyła gazecie fotografię Grace, zrobioną polaroidem zaledwie trzy dni przed ową fatalną Wigilią. Bardzo szczęśliwie się złożyło, że Grace i jej przyjaciółka postanowiły zrobić sobie tego dnia zdjęcia, bo wszystkie fotografie, które Mary Beth zrobiła córce, spłonęły w pożarze.

- Czyż ona nie jest ładna, wujku?

- Bardzo ładna.

Zdjęcie Grace, obraz czystej niewinności i radości życia, otaczały podobizny innych postaci, które miały swoje miejsce w tej historii. Były to stare fotografie, sprzed dwudziestu trzech lat. Przedstawione na nich osoby wyglądały dokładnie tak, jak wtedy, kiedy Grace widziała je po raz ostatni.



- To jest ciocia Erin, Dinah, kiedy miała pięć lat - wyjaśniła Callie. - O, tu widać nawet włosy Grace. A to jest mama Grace, Mary Beth. Ona też jest bardzo ładna. A to jest mama Dinah i pani Bearce, która pracowała w bibliotece miejskiej...

I był jeszcze kilkunastoletni pasterz, na zdjęciu zrobionym w lecie, nad jeziorem, i przedszkolanka, która zajmowała się Grace, i najbliżsi sąsiedzi Quinów z Bluebird Lane, i ich pies, którego Grace lubiła odwiedzać, głaskać, karmić.

Na zdjęciach widnieli też szef policji z Loganville, który ciągle zajmował to stanowisko, i doktor Kline, neurolog z Denver. Pierce znał doktora Kline'a. Callie też. Howard Kline był najpierw promotorem Thomasa, a potem jego kolegą. Mimo że przekroczył już osiemdziesiątkę, ciągle wykładał, szanowany jak zawsze, inspirując swoich studentów.

- Doktor Kline miał jakiś związek z tą sprawą?

- Tak - odparła Callie - ale nie wiem jaki. Erin nie powiedziała nam tego na lunchu.

- Może powinienem przeczytać ten artykuł.

- A chcesz?

- Tak. Zadowolona?

- O tak. Pójdę teraz na górę, żeby się przebrać. Wujku, mogę poczekać, aż mama wróci do domu. Jeśli mi pozwoli, przeczytam wówczas ten artykuł.

I już jej nie było. Pobieгла na piętro, a jej jasne włosy na karku podskakiwały wesoło. Najpierw jednak Callie złożyła obietnicę, uroczystą i pełną nadziei.

- Odnajdziemy cię, Grace. Nie martw się, na pewno cię odnajdziemy.

Chwilę później do salonu, gdzie Pierce siedział z magazynem w dłoni, weszła radośnie uśmiechnięta Valerie.

- Każdego roku przeżywam udreki, zastanawiając się, co sprezentować na Boże Narodzenie bratu, który niczego nie chce. Odtąd będę ci zawsze dawać

roczną prenumeratę magazynu „People”. - Urwała, kiedy podniósł głowę. - Co się stało?

- Zabierałem się właśnie do artykułu, który ma być głównym tematem następnego spotkania Klubu Książki. Jest to artykuł o Grace Alisii Quinn.

- O tej dziewczynce zamordowanej w Loganville? - spytała Val, kładąc na stoliku do kawy torebkę, kluczyki do samochodu i odebraną właśnie pocztę. - Nie chcę, żeby Callie wiedziała cokolwiek na ten temat. Nie mogę uwierzyć, że panna Finch...

- Nie zdawała sobie sprawy, że to zdarzyło się naprawdę.

- Jak mogła nie zdawać sobie z tego sprawy? No dobrze, może ten pożar nie był istotną informacją dla Bostonu, może dwadzieścia trzy lata temu w ogóle nie zainteresowała się tym telewizja. A panna Finch była wtedy dzieckiem. Ale cała ta historia wypłynęła znowu w sierpniu ubiegłego roku i aż huczało o niej w ogólnokrajowych mediach. Nie co dzień zdarza się, żeby człowiek w rodzaju Troya Logana okazywał się maniackalnym zabójcą.

Jednak w lipcu, jak już wiedział Pierce, Anastasia odcięła się od świata, by słuchać ciszy w nadziei, że usłyszy coś ważnego.

- Tak czy inaczej, pojawiły się nowe okoliczności. Grace żyje.

- Co? Jak to możliwe?

- Jeszcze nie wiem. Właśnie miałem zacząć czytać. Według Callie o tym właśnie jest ten artykuł. - Pierce podał magazyn Val - Proszę. Ja mogę zaczekać.

- Nie ma takiej potrzeby, Pierce. - Valerie wyciągnęła egzemplarz z torby.

- Już go zaprenumerowałam.

Czytali w ciszy, pomijając to, co już wiedzieli, i koncentrując się na tym, co było dla nich nowe.

Grace wyskoczyła z okna swojego pokoju na drugim piętrze, gdzie było już pełno dymu. Leżała nieprzytomna pod ciepłą warstwą popiołu, który pozwolił jej przeżyć. To Troy dostrzegł pasmo jasnych włosów wśród sadzy.

Zabiłby Grace natychmiast, gdyby nie jego narzeczona Carolyn, która była wtedy z nim.

Zabrali ranną dziewczynkę do domu Troya, który nazywał się Mountain Splendour. O cudownym ocaleniu Grace powiadomili tylko właściciela domu pogrzebowego, który oświadczył później, że wraz ze szczątkami matki dostarczono mu zwęglone zwłoki Grace. Troy złożył także wizytę doktorowi Howardowi Kline w jego domu w Denver w dniu Bożego Narodzenia. Troy wiele razy spotykał przedtem znanego neurologa na imprezach charytatywnych i hojnie wspierał różne centra medyczne.

Troy wyjaśnił swoim nieświadomym niczego współnikom, że dochowanie tajemnicy to podstawowa kwestia. Grace będzie bezpieczna tylko wtedy, kiedy morderca nabierze przeświadczenia, że ją także zabił.

Poza tym, dodał Troy ponuro, nie ma pewności, że zabójcą jest istotnie zbiegły nastolatek. W Loganville byli też inni, którzy mogli chcieć wyrządzić krzywdę Mary Beth. A właściwie jest jeden taki człowiek, poprawił się Troy, nie wymieniając jednak jego nazwiska.

Nie musiał zdradzać go Carolyn. Znała człowieka, którego Mary Beth odrzuciła dwa razy i który za pierwszym razem zareagował bardzo gwałtownie. Był to Rawley Ramsey. Szef policji Loganville. Właściciel domu pogrzebowego także wiedział, o kim myśli Troy, choć znał Ramseya i wątpił, czy mógłby zrobić coś takiego.

Doktor Kline nie wiedział, o kogo chodzi, i nie pytał o to. Interesowała go tylko jego pięcioletnia pacjentka.

Jej stan, kiedy odzyskała przytomność, był dość dobry i stabilny. Nie wymagała żadnych specjalistycznych badań ani zabiegów neurochirurgicznych. Potrzebowała tylko czasu, żeby powrócić do normalnego życia.

Grace nie mogła wprawdzie mówić, ale to nic dziwnego po takich tragicznych doświadczeniach. Mowa wróci jej z czasem. Teraz odpowiadała na wszystkie pytania słabymi ruchami główki.

Czy słyszy? Tak. Czy rozumie, co się do niej mówi? Tak.

Czy wie, jak ma na imię? Gdzie mieszka? Ile ma lat?

Nie.

Doktor Kline był pewny, że amnezja nigdy nie minie. I będzie obejmować zarówno całe życie Grace sprzed pożaru, jak i dni, tygodnie, a może nawet miesiące, które po nim nastąpią.

Doktor Kline podał Troyowi nazwiska psychiatrów dziecięcych, którzy polecili mu najlepsze placówki lecznicze.

Do jednej z nich postanowiono wysłać córkę Mary Beth. Troy powiedział Carolyn, że sam ją tam zawiezie, nigdy jednak nie zdradził jej adresu. A kiedy dziewczynka znowu przemówi? Najlepiej będzie, przekonywał Troy, żeby adoptowała ją wówczas jakaś kochająca rodzina, nie mająca żadnych powiązań z Loganville.

W ten sposób będzie bezpieczna, żyjąc daleko od miasta, w którym mogłyby ją nawiedzać upiorne wizje i wspomnienia.

Troy i Grace wyjechali z Denver w nocy dwunastego stycznia. Troy wrócił do domu tydzień później. Sam.

Dwadzieścia trzy lata później przechwalał się, że się jej pozbył. I to bardzo sprytnie. Tak sprytnie, że osoba, której ją powierzył, nie miała pojęcia, jaka jest prawdziwa tożsamość dziewczynki.

Chwilę przed śmiercią Troy z przekonaniem twierdził, że Grace żyje. A w każdym razie żyła, kiedy ją ostatnio widział.

Słowa Troya zostały przyjęte z nadzieją i radością przez wszystkich, którzy znali i kochali małą Grace. Grace nie miała krewnych, ale jej los bardzo obchodził całe miasteczko i kilkunastoletniego zbiega, który został chirurgiem urazowym.

Poszukiwania Grace były sprawą trudną i żmudną. Przeglądano archiwa Loganville, pamiętniki i albumy z fotografiami. Przetrzęsnięto rezydencję Troya, jego samolot, biuro i samochód. Przejrzano jego papiery, zarówno

prywatne, jak i firmowe. Sprawdzono wszystko, co zostało po jednym z najbogatszych ludzi Kolorado.

I co? Nic. Żadnego śladu. A jednak miesiące tych poszukiwań nie poszły na marne. Sprawa Grace stała się sprawą publiczną, w którą po publikacji artykułu w „People” zaangażował się cały kraj.

Grace Alisia Quinn miałyby teraz dwadzieścia dziewięć lat. Dwa tygodnie po swojej domniemanej śmierci w płomieniach skończyła lat sześć. Wdowa po Troyu, Carolyn, przyznała, że nie były to hucznie obchodzone urodziny.

Jak wygląda teraz kobieta, którą stała się Grace?

Specjaliści zgodnie orzekli, że nie można tego stwierdzić. Trudno określić strukturę kostną dorosłej osoby na podstawie kilku fotografii z dzieciństwa. Nie przedstawiono żadnych przypuszczalnych portretów dorosłej Grace.

Wiadomo jednak, że ma niebieskie oczy i prawdopodobnie jasne włosy. Takie, jakie mieli oboje jej rodzice. W magazynie opublikowano zdjęcie trzydziestoletniej matki Grace, pielęgniarki na oddziale intensywnej terapii. Szpital w Loganville odnalazł także w swoich archiwach fotografię doktora Samuela Quinna, kardiologa, ojca Grace, który zginął w wypadku samochodowym - bez wątplenia był to wypadek - na tydzień przed narodzinami córki.

Grace w wieku dwudziestu dziewięciu lat może być podobna do rodziców.

A może ktoś przypomni sobie złotowłosą dziewczynkę, podróżującą razem z Troyem wiele lat temu? Zakładając, że psychopata nie użył przebrania.

- Czy to nie beznadziejne? - odezwała się Val. - Przypomina to szukanie igły w stogu siana.

- Zapewne pojawi się wiele igieł, które będą bardzo chciały, żeby je znaleźć.

- Wiele?

- Obawiam się, że tak. A wśród nich będzie mnóstwo błękitnookich blondynek, szczerze wierzących, że są poszukiwaną Grace. Kiedy pracowałem jeszcze jako prawnik, miałem okazję się przekonać, jak dużo jest porzuconych dziewczynek, którym odebrano dzieciństwo.

- Nigdy o tym nie wspominałeś.

- A po co? Tak czy inaczej nie będziemy narzekali na brak kandydatek do roli Grace.

- I oszustek.

- Tak, oszustek też.

W artykule nie wspomniano, że na Grace czeka ogromna fortuna.

Nawet gdyby wdowa i nieświadoma współniczka Troya sama nie ofiarowała Grace wielkiego majątku, znaczna jego część i tak by jej przypadła w wyniku procesu sądowego.

Pojawi się wiele oszustek polujących na fortunę, bardzo wiele.

- Przydałoby się DNA rodziców Grace, prawda? - zauważyła Val.

- Owszem.

Jednak zarówno zwęglone ciało Mary Beth, jak i zmiażdżone w wypadku ciało jej męża już dawno rozsypało się w proch i pył. Tak jak ciała rodziców Pierce'a.

- Więc wracamy do punktu wyjścia - powiedziała Val cicho. - To beznadziejne. Grace nie ma pojęcia, kim jest, nawet jeśli jeszcze żyje. Nawet gdyby się jakimś cudem odnalazła, nie ma sposobu udowodnić, że to naprawdę ona. Jednak przyjaciele Grace powinni jej szukać. Jak mogliby tego zaniechać?

- Myślę, że robią to.

- Tak, na pewno.

Okazało się, że walentynkowe wydanie magazynu „People” było tylko wstępem, po którym pojawi się wiele innych publikacji i programów telewizyjnych, również w czasie największej oglądalności. Pod adresem internetowym [www.szukamygrace.com](http://www.szukamygrace.com) znajdowało się wiele informacji, zdjęć i

odsyłaczy do wszystkich artykułów, jakie kiedykolwiek zostały napisane na temat pożaru w Loganville, a także skrzynka kontaktowa dla tych, którzy coś wiedzieli i chcieli się tym podzielić.

Poszukiwania koordynował prokurator z Chicago, Garek McIntyre, który wraz z grupą śledczych sprawdzał każdą informację. Pod artykułem podano numer 888, numery do Chicago, numery faksów i e-maili.

- Dobrze się do tego zabrali, nie sądzisz? - spytała Val. - Masz doświadczenie w takich poszukiwaniach, przecież pracowałeś jako prokurator.

- Bardzo dobrze, Val. Zwłaszcza przeniesienie centrum operacyjnego poszukiwań do Chicago jest świetnym posunięciem. Niewątpliwie Rawley Ramsey chciał umieścić je w Loganville i osobiście prowadzić to śledztwo. Biorąc pod uwagę opinię, jaką się cieszy, zapewne świetnie dałby sobie z tym radę. Ale powierzenie tej sprawy komuś, kto nie jest w nią emocjonalnie zaangażowany i znajduje się z dala od tego miejsca, jest bardzo rozsądne.

- Słyszałeś kiedyś o Gareku McIntyre?

- Nie.

- Z pewnością ma dobry gust, jeśli chodzi o miejsce, gdzie pracuje i gdzie mieszka. Myślisz, że naprawdę chciał, żeby ujawniono gdzie znajduje się jego biuro i dom? Że to w Wietrznym Mieście, w Wieżach Wietrznych Kurantów?

- Biorąc pod uwagę to, z jaką dokładnością prowadzone jest śledztwo, sądzę, że Garek McIntyre nie pozostawia nic przypadkowi. W artykule zaznaczono, że informacje można przekazywać przez całą dobę, nawet dzwoniąc do jego domu, co oznacza, że każda najdrobniejsza nawet wskazówka jest mile widziana.

- O ile dobrze zrozumiałam, ci, którzy zadzwonią między jedenastą wieczorem a siódmą rano, będą mogli tylko nagrać się na automatyczną sekretarkę.

- Tak, to jeszcze jeden dowód na to, że pan McIntyre zna się na rzeczy. Między północą a świtem dzwonią zazwyczaj ludzie niezrównoważeni

psychicznie. Jednak wśród osób, które chciałyby przekazać cenne informacje, mogą znajdować się również tacy, którzy będą woleli zrobić to pod osłoną nocy i pozostać anonimowymi. Garek McIntyre wie, co robi.

- Mógłbyś mu pomóc. Jako były prokurator. - Val zerknęła na niego z ukosa, a w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Ty już zdecydowałeś się mu pomóc!

- Tak, postanowiłem przynajmniej zaoferować mu swoją pomoc. Najwięcej informacji i kandydatek będzie z pewnością z okolic Denver. Z wieloma osobami, które zadzwonią, trzeba się będzie spotkać osobiście.

- Co chętnie zrobisz.

- Bardzo chętnie.

Czy jednak zdoła zachować obiektywizm, poszukując dziewczynki, która odmieniła jego życie?

- Jeśli ty się do tego weźmiesz, może jest jakaś nadzieja. Tak czy inaczej wolałabym, żeby Callie nic o tym nie wiedziała.

- Ale ona już wie. Zastanawiam się, czy nie trzeba jakoś pomóc Anastasii. Val spojrzała na niego pytająco.

- Mówisz o Anie Finch?

- Owszem, Val. Czasem mężczyźni i kobiety szybko zaczynają mówić sobie po imieniu. - Imiona. Nadane przez rodziców. Dary miłości, które zmieniają się czasem. Z powodu tragicznych przeżyć. Z powodu utraty marzeń. Ale on znowu ma na imię Liam. Dla niej. A ona ma na imię Anastasia, nie Ana. Dla niego. - Zdumiewające, ale to prawda.

- Co masz na myśli, mówiąc, że może ona potrzebować pomocy? Miał na myśli, że chyba powinien zaoferować jej swoją pomoc. Zaraz. Natychmiast. Zrobiłby to chętnie.

Ale czy Anastasia oczekuje jego pomocy?

Raczej nie. Pierce wiedział, co powiedziała dziewczynkom z Klubu Książki, tym delikatnym, wrażliwym dzieciom, które ofiarowały jej wa-



lentynkowe kartki. Dziewczynki bały się, co się stanie z Grace, jeśli nie zostanie odnaleziona. Bibliotekarka ze szkoły Hazel Traphagen powtórzyła słowa bibliotekarki z Loganville, pani Bearce, która powiedziała, że nigdy nie mogła zapomnieć Grace Alisii Quinn.

- Pierce?

- Tak sobie tylko powiedziałem, Val. Jednak po głębszym namyśle doszedłem do wniosku, że chyba się myliłem.

## Rozdział 7

*Wyspa Sobota,*

*14 lutego*

**M**amy problem. Pierce, który wpatrywał się w migocącą w świetle księżycy fontannę, odwrócił się do Frances Donahue, organizatorki ślubu i przyjęcia. Frances należała do specjalistów, których rady zasięgał przy budowie kompleksu na wyspie. Była tak kompetentna, że później często zwracał się do niej z różnymi sprawami.

Frances chlubiła się tym, że organizowała uroczystości, które zawsze odbywały się zgodnie z planem.

Teraz Frances nie wyglądała na zbyt przejętą, jakby problem nie zaliczał się do nierozwiązywalnych, choć do rozpoczęcia ślubu zostało zaledwie czterdzieści pięć minut.

- O co chodzi, Frances?

- Straciliśmy naszą śpiewaczkę. To znaczy nasza śpiewaczka, przyjaciółka matki pana młodego, straciła głos. Zapalenie krtani. Na razie podzieliła się tą wiadomością tylko ze mną. Szłam właśnie porozmawiać o tym z Val, kiedy zobaczyłam ciebie. Należysz wprowadzić do najbliższej rodziny panny

młodej, ale uważam, że nawet w takiej sytuacji potrafisz podjąć słuszną decyzję. Poza tym wolałabym nie zaprzętać matki panny młodej dodatkowymi sprawami.

- W porządku, Frances. Mamy jakieś rozwiązania alternatywne?

- Owszem, trzy. Pierwsze - znaleźć natychmiast zastępstwo. Rozwiązanie drugie - opóźnić ceremonię do czasu znalezienia zastępstwa. I trzecie - wykonać planowane utwory w wersji instrumentalnej. Zwłaszcza że wystąpi dziś jeden z najlepszych pianistów tego miasta. To tyle. Takie są moje propozycje. Ale jestem gotowa wysłuchać również innych.

- Ja nie mam żadnego pomysłu. - Pierce nie śpiewał ani razu od śmierci Gabriela. Na początku nie był w stanie, jego gardło zdawało się płonąć, brakowało mu tchu. A później znowu zaczął słyszeć pieśni kamienia, drewna, stali i szkła. Słuchał tych pieśni. Prowadzony przez muzykę tworzył budowle, które śpiewały. Jednak w jego sercu nie było muzyki. Nie było pragnienia, by śpiewać. Kto wie, może w ogóle nie potrafiłby już śpiewać? Tak czy inaczej ślub Melissy nie był najlepszą okazją, żeby to sprawdzić. - Sądzę jednak, że należy wykluczyć rozwiązanie numer dwa.

- Zgadza się. A więc rozwiązanie pierwsze? Albo ewentualnie trzecie?

- Czy nie sądzisz, Frances, że szanse na znalezienie kogoś, kto nam zaśpiewa o tej porze w Walentynki, są tak małe, że nawet nie warto próbować? Zwłaszcza że mamy najlepszego pianistę.

- Mimo to mam zamiar zadzwonić do pewnej osoby - odparła Frances, szukając numeru w swoim telefonie komórkowym. Znalazła go i wcisnęła przycisk. - Mam przeczucie, że będzie w domu. Jesteś. Mówi Frances. Mam dla ciebie zlecenie. Tam, gdzie najbardziej lubisz śpiewać, w tę najbardziej romantyczną ze wszystkich nocy... Tak. Zgadza się. Na Wyspie. Dziś wieczorem. Panna młoda rusza do ołtarza o ósmej, jest gotowa i wszystko zacznie się punktualnie. Musiałabyś więc wyjść natychmiast z domu. Nie, ubranie nie ma najmniejszego znaczenia. Będziesz stała we wnęce, nikt cię nie zobaczy. Ze Stephenem. Więc jak? Zgadzasz się? Halo? Jesteś tam jeszcze?

Tak? Przyjedziesz? Cudownie! Jesteś wspaniała. Dzięki. Co? Och, no wiesz, *Moonlight Dance with Me One Heart*. Dobrze? Super! Jedź ostrożnie, ale ruszaj natychmiast. Frances się rozłączyła i uśmiechnęła do Pierce'a.

- Rozwiązanie pierwsze.

- Świetnie.

- To ona jest świetna. Ma głos, który mógłby położyć kres twoim starokawalerskim dniom. Słyszeć ten głos na ślubie... Stephen i ja myślimy o odnowieniu naszej przysięgi małżeńskiej.

- Ale jeśli Stephen wystąpi w roli pana młodego, kto będzie jej akompaniować?

- Nikt. Dziś Stephen także nie będzie grał.

- Ona upiera się, żeby śpiewać *a capella*?

- Nie. Przy niczym się nie upiera. Jednak Stephen nie będzie jej akompaniował. Nigdy tego nie robi. Kiedy ona śpiewa, woli słuchać. Sam zobaczysz, Pierce. A raczej usłyszysz.

Pierce potrafił słyszeć muzykę wiatru, piosenki kwiatów, melodie nieba, ognia, świtu i morza.

Tego wieczoru usłyszał tęskną pieśń ludzkiego serca. Pieśń, która go poruszyła do żywego, która obudziła w nim dziwny niepokój i pragnienie.

Pragnienie czego?

Żeby ją ujrzeć? Dotknąć? Kochać się z nią? A może, co byłoby jeszcze większym zbliżeniem, śpiewać z nią?

Pierce chciał ją widzieć, dotykać, kochać. Bez końca. A także, co było zdumiewające, pragnął bliskości, intymności, zaangażowania.

Pragnął Anastasii.

Anastasia!

To ona obudziła w nim pragnienie, to ona sprawiła, że w głosie śpiewaczki usłyszał tak dużo uczucia. To jego serce śpiewało tak tęsknie. Dla Anastasii. Tęskna pieśń, którą usłyszał, była jego własną pieśnią.

Pierce wiedział już, kiedy zadzwoni do Anastasii, kiedy ponownie się z nią przywita. Miał nadzieję, że potem dojdzie do kolejnych spotkań.

W poniedziałek zadzwoni do szkoły. Nie naruszy niezwyklej ciszy jej domu.

A śpiewaczka, której nie mógł zobaczyć? Kobieta, która udzieliła głosu jego tęsknocie?

Pierce spotka się z nią dziś. Jako wuj panny młodej podziękuje jej za to, że tak chętnie spełniła prośbę Frances i uświetniła ślub jego siostrzenicy swym niezwykle głośnie.

Już wkrótce będzie mógł to zrobić. Pastor właśnie ogłosił Melissę i Dougha mężem i żoną.

Zazwyczaj, jak wyjaśniła mu Val, to młoda para pierwsza wychodzi z kościoła. Potem wychodzą drużny i drużbowie, następnie rodzice i dziadkowie, a na końcu reszta gości.

Melissa i Dough postanowili jednak odstąpić od tego zwyczaju. Była to ich wspólna decyzja, zaznaczyła Val, jak wszystkie ich decyzje. Jeśli pana młodego nie interesują szczegóły własnego ślubu, jaki będzie jego stosunek do samego małżeństwa?

Nowożeńcy wyjdą ostatni. Niczym pan i pani domu będą patrzeć jak ich goście, na czele z ukochanymi rodzicami i dziadkami, opuszczają kaplicę.

I tak też się stało. Na czele szła Val, z twarzą zalaną łzami szczęścia, wzruszony Thomas, Lilah i Edward. A potem rodzina Dougha, wszyscy uśmiechnięci, ale ze łzami w oczach.

Potem wyszły drużny i drużbowie. W oczach Callie nie było łez, tylko promienna, niczym nie zmącona radość. I przesłanie dla niego, które Pierce natychmiast odczytał.

Jakie to cudowne, wuju Pierce, że wybudowałeś to magiczne miejsce, w którym Melissa wzięła ślub! Jest wspaniałe!

Po nich z kaplicy zaczęli wychodzić goście, kierując się powoli w stronę sali balowej.

Pierce wybrał inną drogę, oszklonym korytarzem łączącym hol z wnęką w kaplicy. Stamtąd zobaczył, że śpiewaczka już jest na zewnątrz. To musiała być ona, młoda kobieta w bawełnianej bluzie, džinsach i tenisówkach. W talii miała zawiązaną kurtkę, niepotrzebnie, bo noc była ciepła. Zresztą nawet w razie zimnej nocy kurtka nie byłaby jej potrzebna, gdyż okrywał ją płaszcz wspaniałych, złocistych, oświetlonych księżycem włosów.

Zbierała się do odejścia. Nie przyjęła zaproszenia na przyjęcie, na którym byłaby tak mile widziana bez względu na swój strój. Spieszyła się wyraźnie, choć Frances wspomniała, że jest to miejsce, w którym najbardziej lubiła śpiewać.

Zdawała się nie dostrzegać tej czarownej Wenecji stworzonej w Denver, jej błyszczących szkieł, migocących fontann, białych, marmurowych mostów nad podgrzewanymi stawami i połyskującymi taflami lodu.

Nie miała czasu, żeby to wszystko podziwiać. Spieszyła się. A teraz, przechodząc przez ostatni most w drodze na parking, otuliła się ciepłą kurtką.

A jednak wcale nie szła na parking. Nie spieszyła też do lasu, gdzie ptaki budowały swe śpiewające domy.

Zdecydowanym krokiem weszła na ścieżkę nieznaną większości gości. Nieoznaczoną, oświetloną jedynie światłem księżyca i gwiazd.

Ścieżka wiła się w cieniu wysokich sosen, zasadzonych przez Pierce'a po to, by zniechęcić odwiedzających do przechodzenia tędy.

Ta droga wiodła do jego prywatnego miejsca.

Kobieta jednak nie dała się zniechęcić. Szła szybko, jakby dobrze wiedziała, dokąd zmierza. Jakby znała swoje miejsce przeznaczenia.

Pachnąca sosnami ścieżka kończyła się nad jeziorem, nad którym stał niewielki, nieoświetlony dom. Jak zawsze samotny, pusty, zamknięty na cztery spusty.

Tylko jezioro lśniło, migotało, połyskiwało lodem w świetle gwiazd. A po drugiej stronie zamarznętej tafli jeziora rozciągało się ośnieżone zbocze, wielka łąka, jedyna nad tym jeziorem, otoczonym ze wszystkich stron przez strome klify.

Śnieg, który spadł tej nocy, był jak jedwabna suknia niebiańskiej panny młodej, a białe góry rysowały się łagodnie na tle ciemnego aksamitu nieba jak jej dumni rodzice.

Pierce wiedział, że jezioro było całkowicie zamarznęte. Słońce, które świeciło tego dnia, zdołało stopić tylko lśniąca powierzchnię grubej lodowej pokrywy.

Zdawało się jednak, że śpiewaczka też o tym wiedziała. Albo nie знаła strachu.

Weszła bez wahania na to lśniące zwierciadło. Piętnaście kroków, potem dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści. W końcu się zatrzymała, jakby dotarła wreszcie tam, dokąd zmierzała.

Najwyraźniej właśnie z tego miejsca chciała podziwiać pokryte śniegiem zbocze. Patrzyła teraz z zachwytem na rozciągający się przed jej oczami widok - tak jak Pierce z zachwytem patrzył na nią.

Ale czy ta utalentowana śpiewaczka słyszała tak jak on muzykę gór i światła księżyca? Śniegu i gwiazd?

Tak, słyszała. Pierce był tego pewny.

Był pewny, że się uśmiechnęła. I miał nadzieję, że usłyszy jej śpiew.

Ona jednak milczała.

I była taka krucha. Taka samotna.

Zszedł ze skalistego brzegu na lśniący, śliski lód. Szybko się przekonał, że nie był w stanie poruszać się na nim tak pewnie jak ona.

Szedł zdumiewająco cicho, niemal bezszelestnie. Zostawił za sobą zapach sosen, by wkrótce potem poczuć inny zapach. Zapach fiołków. A wspaniałe włosy były czarne jak krucze skrzydła, nie złote. To światło księżyca tak je rozjaśniło, odbijając się od ich gładkiej powierzchni.

- Anastasia!

Nie odwróciła się. Nie poruszyła.

- Liam... - wyszeptała do śniegu i gwiazd, na które patrzyła. - Pierce...

Najwyraźniej zdążyła się już trochę o nim dowiedzieć. Nie tego, co powinna. Architekt Pierce nie znał kompromisu, jeśli chodziło o jego projekty, a także o jego postanowienie, by się nie angażować. Nie wiązać.

Taki był Pierce Rourke. Ale...

- Dla ciebie jestem Liam, Anastasio. Odwróciła się na dźwięk jego czułego głosu.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak. - Otarła oczy. - Tylko że w tym miejscu...

- Chce ci się płakać?

- Ale to dobry płacz. Tu jest tak pięknie. To mój sen, Liam.

- Twój sen?

- Moje cudowne *deja vu*. To tutaj. Dokładnie w tym miejscu. I jest dokładnie tak, jak wtedy, kiedy śnię.

- Kiedy w nocy wydaje ci się, że to dzień?

- Wówczas to miejsce pełne jest życia, śmiechu, głosów łyżwiarzy.

- To dla ciebie miłe dźwięki?

- O tak, bardzo miłe. Pełne szczęścia i radości. Jednak samych łyżwiarzy nigdy nie widzę.

- A ty jeździsz na łyżwach?

- Tylko nocą w moich snach. - Uśmiechnęła się. - Wtedy jestem prawdziwą mistrzynią, wspaniałą tancerką na lodzie pod gwiazdami. Mknę

przed siebie, robię piruety, sięgam księżycy. - Jej uśmiech przygasł. - To chyba objawy szaleństwa?

- Myślę, że to szczęście, Anastasio. Nie szaleństwo.

- Szczęście - powtórzyła i zadrżała.

- Jest ci zimno?

- Nie. - Czuję się bezpieczna, szczęśliwa. - Zdążyłam tu przyjść w samą porę.

- To znaczy?

- To miejsce jest najlepszym antidotum na zimno.

Jednak nie tak niezawodnym, nie tak silnym, jak ty, Liamie Rourke.

Przekonała się o tym od razu, gdy go tylko spotkała.

- Kiedy śpiewasz, zaczynasz odczuwać zimno?

- Tak, zawsze. I zaczyna mnie boleć głowa.

- A jednak śpiewasz.

- Muszę śpiewać.

- Twój śpiew jest wspaniały.

- Tak jak twoja Wyspa. Uśmiechnęli się do siebie jednocześnie.

- Moglibyśmy się przejść po jeziorze - powiedział Pierce.

- Teraz?

- Tak. Ale możemy to zrobić innym razem. Kiedy tylko zechcesz.

Moglibyśmy też pojeździć na łyżwach, jeśli masz ochotę.

Pierce znowu dostrzegł w jej oczach wahanie.

- Ciekawe, co stanie się ze snem, jeśli spojrzę na niego z bliska.

- Może okaże się jeszcze lepszy.

Przysunęli się bliżej siebie. Pierce rozpoczął tę podróż, dotykając jej delikatnie, ale ona sunęła wraz z nim po śliskiej tafli. Była przecież radosną tancerką na lodzie, nieustraszoną łyżwiarką, która sięgała księżycy.



Jej policzki tajały pod dotykiem jego dłoni; jej oczy lśniły z nadzieją, z tęsknotą, z zachwytem; jej usta wyszły na spotkanie jego ustom, jakby mówiły „tak”.

Tak.

A potem „nie”.

Nie.

- Nie mogę. To szaleństwo, Liam.

- To szczęście, Anastasio.

- Nie!

- Powiedz mi, o co chodzi, Anastasio. Proszę.

- Ja... tracę rozum.

- Więc ja także tracę rozum. Jeśli to jest szaleństwo, chętnie poddam mu się razem z tobą.

- Nie, Liam. Nie rozumiesz. Ja naprawdę stracę rozum. Oszaleję. Tak jak inne kobiety w mojej rodzinie, od wielu pokoleń. Wszystkie kobiety. Zawsze. Wkrótce po trzydziestce. Te, które miały więcej szczęścia, zaczynały chorować koło trzydziestego piątego roku życia.

- Tobie się to nie zdarzy. - Jego oczy były surowe i czułe jak lód i ogień. Ciemne, stanowcze.

On nie pozwoli, żeby jej się to przytrafiło. Koniec zmartwień. Początek nowego pięknego snu.

Przez jedną cudowną chwilę zagubiona księżniczka zatraciła się w tej obietnicy. Na jeden wspaniały moment dała się przekonać. Przecież Liam potrafił ulżyć jej, gdy tak bolała ją głowa, rozgrzać ją, kiedy konała z zimna. Więc czemu nie mógłby zmienić też jej przeznaczenia?

Pragnął tego. Widziała, jak bardzo. I zrobiłby to, gdyby mógł. Jednak nawet ten zielonooki czarnoksiężnik, nawet jego moc, jego wola, nie zmienią jej nieuchronnego losu.

- Niestety, Liam. I mnie to czeka. Już wkrótce. Mam trzydzieści jeden lat. Zacznie się od demencji, podobnej do choroby Alzheimera. Później przejdzie to w obłąd.

- Musi być jakiś sposób...

- Nie - szepnęła Anastasia. Wiedziała, że nawet on nie zdoła tego powstrzymać.

Pierce spojrział w jej błękitne, smutne, zrezygnowane oczy.

- Od jak dawna o tym wiesz?

- Odkąd skończyłam piętnaście lat. W tym samym roku - dodała cicho - odkryłam, że potrafię śpiewać. Zawsze podejrzewałam, że te dwie rzeczy są ze sobą sprzężone, że obdarowana zostałam darem śpiewania w zamian za coś innego, czego nigdy nie będę miała. Czego mieć nie mogę.

Anastasia może zaakceptowała swój los, poddała się, ale on, Pierce, tego nie zrobi.

- Byłaś badana przez neurologów w ciągu ostatnich szesnastu lat?

- Tak. Bardzo dokładnie.

- Zrobili też wszystkie testy genetyczne?

- Jeszcze nie ma żadnych testów genetycznych. Jest jakiś gen, jakaś dziedziczna bomba z opóźnionym zapłonem w naszym rodzinnym DNA. Nikt nie badał mapy chromosomów. Podobnie jak w przypadku dziedzicznych demencji w wielu innych rodzinach. Historia rodziny jest wystarczającym dowodem.

- Mnie to nie przekonuje.

- Twierdzą tak najlepsi neurologi z Bostonu i Denver.

- To dlatego chciałaś, żeby Thomas cię zbadał. Nie chodziło tylko o wypadek z narkotykami.

- Tak. Chociaż tamta sprawa także mnie niepokoiła. Nigdy wcześniej nie pracowałam z dziećmi i chciałam mieć pewność, że będą ze mną bezpieczne. Uznałam, że szkoła i rodzice powinni mieć się na baczności.

- Na baczności? Przed tobą?

- Przed moim szaleństwem. Na wypadek, gdyby pojawiło się nagle, tak jak to prawdopodobnie było w przypadku mojej matki.

- Prawdopodobnie...

- Miałam osiem lat, kiedy zmarła. Pamiętam poczucie straty, a nie jej chorobę. Powiedziano mi, że psychoza pojawiła się u niej nagle, dosłownie z dnia na dzień. Jednak wszyscy specjaliści, z którymi o tym rozmawiałam, łącznie z mężem twojej siostry, twierdzą, że to mało prawdopodobne. Proces demencji musiał się rozpocząć dużo wcześniej. Trwać miesiące albo i lata. Może sama odkryłaby u siebie jakieś jej objawy, tak, jak się to czasem zdarza u osób cierpiących na chorobę Alzheimera, gdyby wiedziała na ten temat więcej, dokładniej się sobie przyglądała.

- Ty przyglądasz się sobie, odkąd ukończyłaś piętnaście lat.

- Tak. I aż do dnia, kiedy wypłam tę nieszczęsną lemoniadę, sądziłam, że wszystko jest w porządku. Że jestem zupełnie zdrowa. Nie zaobserwowałam żadnych zmian. Żyłam w realnym świecie, słuchałam jego dźwięków, oglądałam wiadomości, a jeśli bolała mnie głowa, zazwyczaj wiedziałam, dlaczego tak jest. Jeśli tylko ubrałam się stosownie do panującej na dworze temperatury, nigdy nie było mi zimno. Ale od lipca ubiegłego roku...

- Mówiłaś, że obłęd poprzedzają objawy demencji.

- Tak jest. Neurologi, którzy mnie badali, są też zgodni co do tego, że gdyby nawet wśród narkotyków, które zażyłam nieświadomie, było LSD, nie miałyoby to żadnego wpływu na mój stan. Ta rodzinna choroba jest uwarunkowana genetycznie i żadne środki nie mają wpływu na jej rozwój. LSD może jednak przyspieszyć wystąpienie objawów psychoz innego rodzaju, więc jeśli mam jakieś skłonności...

- Nie masz.

- Nie mam? Co więc skłoniło mnie do zejścia w świat ciszy i wyęźniania słuchu w idiotycznej nadziei, że usłyszę coś, co powinnam usłyszeć? Co, jeśli nie obłąd?

- Szczęście.

- Szczęście?

- Słyszysz w tej ciszy muzykę?

- Tak - wyszeptała. - Czasami. Właśnie tutaj słyszę muzykę. A ty?

- Tak.

- Śpiewasz?

- Nie śpiewałem od lat. Od wielu lat. Ale chcę śpiewać, Anastasio. Teraz. Z tobą. Powiedz „tak”, Anastasio. Zgódź się na tę bliskość.

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę. To nie jest możliwe.

- Ależ jest. Mój głos zapewne nie może się równać z twoim, nigdy nie był tak piękny, a nieużywany od dawna zapewne zdążył zardzewieć. A może chodzi ci o to, że nie powinniśmy się angażować? Że to byłoby niemądre? Jeśli tak, to już jest za późno. Już się zaangażowałem. I myślę, że ty też.

- Nie słuchałeś mnie.

- Słuchałem. Słyszałem każde słowo. - Każde słowo. A wszystkie były bezlitosne i zimne jak ostrze noża. Nic dziwnego, że jest jej zimno. Nic dziwnego, że tak drży. -Zaangażowałem się, Anastasio. Chcę, żeby tak było.

- Ale ja tego nie chcę!

- Będzie, jak zechcesz, jeśli mi powiesz, że czułabyś to samo, gdyby role się odwróciły.

Gdybyś ty, moja piękna śpiewaczko, odziedziczyła dar słyszenia muzyki świata, a w moim DNA tykała nieubłagana bomba zegarowa.

Anastasia nie mogła tego powiedzieć. Nie mogła.

Jednak role się nie odwróciły, a cudowne *deja vu* wydawało się jedynie następstwem zatrutej lemoniady. Tutaj, na tej bajecznej wyspie, przyśnił się jej najpiękniejszy sen. On, Liam, mężczyzna, który jej pragnął.

- Muszę już iść, Liam. Pozwól mi odejść.

Nie zatrzymywał swej smutnej księżniczki, która wyrwała się z sieci jego pragnień. Jego miłości.

Sunęła po lodzie jak zręczna łyżwiarka, którą była w snach. Dalej. Coraz dalej.

## Rozdział 8

*Carmel, Kalifornia*

*Czwartek, 19 lutego*

**P**racownię Giselle Trouveau w Carmel Valley dzielił od jej domu tylko krótki spacer przez łąkę. Pracownia była w większym z budynków. Dużo większym. Nie tylko dlatego, że artystka potrzebowała przestrzeni, by nadawać kształt płynnemu szkłu, gdy wylaniało się z płomieni. Giselle większą część swojego życia spędzała w pracowni. To był jej wybór. Uwielbiała tak żyć.

Jej wielki piec sprawiał takie wrażenie, jakby przybył do Kalifornii wprost z Murano, gdzie od tysiąca lat wytwarzano szkło. Podobnie jak jej narzędzia i receptury, dzięki którym uzyskiwała barwy czyste i naturalne. I tak jak włoscy rzemieślnicy Giselle zawsze miała pod ręką garnek z gotującą się wodą.

W pracowni nie było okna, zegara, komputera, telefonu ani faksu - nie sposób tam było odróżnić świt od zmroku, dzień od nocy, zimę od wiosny.

Giselle spała czasem w swojej pracowni i tam też po ciężkim dniu pracy brała kąpiel. A kiedy rozlegał się jej wewnętrzny dzwonek, sygnał, że już czas wyjść ze swego wulkanicznego kokonu, wówczas, zaciekawiona, wychodziła na świat. Zaciekawiona, ale bez pośpiechu. Nie spieszyła się do niczego. Giselle wiedziała, jak cierpią na świecie inni ludzie. Współczuła im szczerze.

Jej nie czekała żadna niespodzianka. Nie miała rodziny. Nie miała kochanków. Nie miała przyjaciół. Nie miała nikogo.

Zdaniem Giselle w sprzedaży dzieł sztuki wszelki pośpiech był niewskazany. Ilekroć miała coś do sprzedania, dzwoniła po prostu do jednej z miejscowych galerii, Ocean Crest Gallery, gdzie jej prace chętnie przyjęto już za pierwszym razem, kiedy była jeszcze zupełnie nieznaną.

Giselle sprzedawała swoje prace tylko za pośrednictwem tej jednej galerii, skąd rozchodziły się po całym świecie. A prace wykonywane na zamówienie do rezydencji, oper, pałaców, hoteli? Takie rzeczy Giselle robiła tylko dla Pierce'a Rourke'a.

Pierce zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, co odkryła, kiedy w końcu opuściła pracownię tego lutowego dnia. Pracowała cały tydzień. Było właśnie południe, o czym poinformowało ją radio. Czwartek. Dziewiętnasty.

Dziewiętnasty. Ten dzień, ta data, budziła cudowne wspomnienie miłości, przeznaczenia.

Wiadomość od Pierce'a, jedyna, jaka na nią czekała, została nagrana w sobotę, w walentynkową noc, o dwunastej dwadzieścia dwie.

A więc o pierwszej dwadzieścia dwie jego czasu.

Giselle powiedziała mu wiele lat temu, że może do niej dzwonić o każdej porze.

Często znajdowała na automatycznej sekretarce wiadomości od Pierce'a sprzed kilku dni albo tygodni. Nigdy jednak dotąd nie dzwonił w środku nocy.

Powiedział, że realizacja projektu Carillon Square weszła w końcową fazę. Jednak nie będzie tam parku, jak początkowo planował. Zamiast parku powstanie jezioro, zamrożone. Ma być wielkim całorocznym lodowiskiem. Na jego najdalej wysuniętym na zachód krańcu zachowany zostanie mały staw, gdzie na wysepce Pierce ustawi wykonaną przez Giselle fontannę.

Chciał, żeby pojawił się w niej motyw fiołków, takich jak te, które kwitły na żyrandolu, który ofiarowała szkole. A pośród nich ma wirować, tańczyć postać na łyżwach.

I fontanna, i ta postać będą się obracać. Razem i osobno.

Giselle wysłuchiwała wiadomość od Pierce'a dwa razy. Nie tylko bardzo precyzyjnie wyjaśnił, czego chce, ale wydawał się też nieugięty.

Pierce nieraz proponował Giselle wykonanie szklanych rzeźb, które miały uzupełnić jego projekty. Jednak od początku ich współpracy kwestie związane z architekturą należały do niego, a to, co wiązało się ze szkłem, do niej.

Pierce, sławny architekt, ni stąd, ni zowąd zadzwonił pewnego dnia do Giselle. Budowa jego Wietrznych Kurantów w Denver zbliżała się do końca i potrzebował kuranta do holu.

Nawet nie myślał o szkle. Ale kiedy jego wyszukiwarka Altavista w odpowiedzi na hasło „wiatr + dzwonek” pokazała dzwonki ze szklanych kwiatów wiśni na stronie Ocean Crest Gallery...

Patrząc na fotografie, postanowił, że zainstaluje dwa takie dzwonki. Jeden, o długości czterdziestu stóp, zawisnie w hotelu; drugi, o połowę krótszy, w Wieżach. Kwiaty oczywiście trzeba będzie znacznie powiększyć. Muszą być masywne. Ciężkie. Wielkie.

Giselle nie zgodziła się na to. W swoim prywatnym świecie ognia i szkła sama decyduje o tym, co robi.

Kwiaty mają być naturalnej wielkości. Tysiące kwiatów wiśni we wszystkich perłowych odcieniach różu i bieli.

Była nieugięta. Nie dała mu wyboru i znany z niechęci do kompromisów architekt zgodził się na wszystko.

W ciągu ich współpracy Pierce wymógł na niej wykonanie dzieł, jakich, jak sądziła, nigdy nie potrafiłaby stworzyć. Chciał mieć fontanny, posągi, freski, lampy od podłogi do sufitu.

Giselle tworzyła to wszystko - te masywne, ciężkie, potężne formy - tak, jak się układa puzzle, cierpliwie, bez śladu spajając ze sobą małe kawałeczki szkła.

Pierce zazwyczaj mówił jej, czego potrzebuje, ale czasem, kiedy jego rola architekta dobiegała końca, dawał Giselle wolną rękę.

Projekt Carillon dobiegał końca i najwyraźniej wszystko szło zgodnie z planem, zostało tylko jezioro. Wizja Pierce'a dotycząca jej udziału w wykończeniu tego jeziora była zachwycająca. A jednak...

Pierce odebrał telefon dopiero po szóstym sygnale.

- Postać na łyżwach to kobieta? - spytała Giselle zamiast powitania. A ponieważ w słuchawce panowała cisza, dodała: - Pierce? Mówi Giselle.

- Wiem. Przepraszam. Chyba jestem trochę roztargniony. Tak, to kobieta.

- I jest sama?

Tak, jest sama i taka samotna. Jak ona. Jego śliczna łyżwiarka, wirująca z wdziękiem w swoim własnym śnie, błądząca w swoim własnym piekle, sięgająca księżycy, póki jej sił starczy.

- Tak, jest sama.

Giselle szybko się zorientowała, że nie doda: „Tak sobie tylko pomyślałem oczywiście, jeśli się zgodzisz”. Nie miał zamiaru z nią dyskutować.

- Pierce?

- Tak?

- Czy coś się stało?

- Słucham?

- Jesteś taki nie swój.

- Owszem, Giselle - odparł z westchnieniem. - Coś się stało. Giselle pomyślała, że dotyczy to jego prywatnego życia. Nie podzieli się z nią tym, bo poza pracą niewiele ich łączyło.

Ale dziewiętnasty lutego był dla niej datą szczególną. Rocznicą miłości, wdzięczności.



- Chciałabym - powiedziała miękko - w końcu ci podziękować, Pierce.

Tak naprawdę nigdy tego nie zrobiłam.

- Zrobiłaś to tysiąc razy.

- Ty też.

- I postanowiliśmy wspólnie darować sobie na przyszłość te podziękowania, czyż nie?

- Owszem. Ale to osobiste podziękowanie jestem ci winna od bardzo dawna. Przyjmij więc, proszę, spóźnione podziękowanie za to, że ze mną wytrzymałeś. Wiem, że nie było to łatwe. Sama ze sobą nie mogę wytrzymać. Wiem, że byłam opryskliwa, nieufna, spięta.

- Nieszczęśliwa - powiedział Pierce cicho.

- Ładnie to ująłeś.

- Zawsze tak to widziałem, Giselle. Wiedziałem, że byłaś nieszczęśliwa. Ale to już czas przeszły. Tak jak twoja sentymentalna podróż do Wenecji. Prawda?

- Prawda. Kiedy na nowo odkryłam, że mogę być szczęśliwa musiałeś odczuć wielką ulgę.

- Mam nadzieję, że i ty ją odczułaś.

- O tak, zdecydowanie. Pierce, czy jest coś, co mogłabym zrobić? W związku z tym, co się stało w twoim życiu? Cokolwiek to jest?

- Zrób mi łyżwiarkę, Giselle. I spraw, żeby tańczyła z radości.

Giselle obiecała, że spełni jego prośbę. A Pierce, kiedy rozmowa dobiegła już końca, przysiągł sobie w duchu, że stworzy dom dla Anastasii.

W tym niewielkim domku z widokiem na jej sny, będzie mogła mieszkać, jak długo zechce.

Śpiewać.

Oszaleć.

Umrzeć.

Będzie mogła być sama. Tak, jak tego chciała. Dopóki jego obecność nie stanie się konieczna. Wtedy nie będzie nawet wiedziała, że on jest przy niej. Ale on jej nie opuści.

I może zaśpiewają razem.

Zadba o to, żeby było jej ciepło, żeby nie była głodna, żeby się nie bała, nie czuła bólu. Nie pozwoli upaść swojej samotnej łyżwiarce, nie pozwoli jej utonąć, kiedy wiosenne słońce zacznie topić warstwę zimowego lodu na jeziorze.

Anastasia już mieszkała w domu zaprojektowanym przez Pierce'a. W Canterbury, kilometr od szkoły. Bez trudu zdobył jej domowy adres. I numer telefonu.

Nie były zastrzeżone. Pewnie na wypadek, gdyby jakaś zapłakana mała dziewczynka chciała z nią porozmawiać.

Anastasia Finch nie ukrywała się przed uczennicami. A przed nim? Też nie. Ufała mu, wierzyła, że nie naruszy ciszy jej domu.

Pierce zadzwonił więc do szkoły, gdzie telefon odebrała pani Holt.

- Niestety, nie ma jej w szkole - powiedziała.

- A kiedy będzie?

- Wysłałyśmy ją do domu, bo złapała grypcę, która się teraz szerzy.

Wszyscy na nią chorują. Poza mną. No i oczywiście poza Callie, która nigdy nie choruje. Jednak nasza droga pani bibliotekarka jest naprawdę w złym stanie. A poza tym potrzebuje odpoczynku przez tę historię z Grace.

- Jaką historię? Ma pani na myśli ten artykuł?

- No widzi pan! Wszyscy już o tym słyszeli.

- Nikt nie wini Anastasii za to, że ten artykuł został wybrany na spotkanie Klubu Książki - powiedział kategorycznie.

- Anastasii... - powtórzyła pani Holt. - Nie, nikt jej nie obwinia. W każdym razie już nie. I tak cała szkoła dowiedziała się o tym w mgnieniu oka. Erin ma siostry w drugiej i piątej klasie.

- Więc o co chodzi?

- W ramach Klubu odbędzie się spotkanie całej szkoły. To już postanowione. Od jutra za tydzień. Ma je poprowadzić panna... Ana. Co oznacza, że mimo tego okropnego przeziębienia i zmęczenia spędzała ostatnio każdą wolną chwilę, serfując po sieci, czy po czym tam się serfuje... Musiała, bo dziewczynki cały czas wchodzą na strony poświęcone Grace, czytają wszystko, oglądają zdjęcia. To już aż nadto męczące zajęcie. A do tego trzeba jeszcze dodać wszystkie te spotkania, w których bierze udział.

- Spotkania związane z Grace?

- Tak. Pojawiają się coraz to nowe pomysły: od wycieczki do Loganville i zorganizowania spotkania Klubu Książki w tamtejszej bibliotece, do zaproszenia osób związanych z tą sprawą tutaj.

- Co takiego?

- Wiem, że to wysoce niestosowne, ale Dinah i jej siostra, matka Erin, Lisy i Jenny prowadzą już taki lokalny talk-show. Kiedy ostatni raz rozmawiałam o tym z pana siostrą, wyraziła dość zdecydowany sprzeciw. Uważa pokazywanie zatroskanych buzi naszych uczennic w telewizji za niesmaczny pomysł. W każdym razie sam pan widzi, jaki to był tydzień dla Any. Powiedziałam jej, żeby wyłączyła telefon i porządnie się wyspała, a jeśli będzie nam potrzebna, to po nią przyjedziemy.

- Więc jednak spodziewa się jej pani tutaj?

- Spodziewam się, ale wołałabym, żeby odpoczęła. Powiedziałam to jej samej, a także pani Fairchild. Chcemy, żeby zrobiła sobie długi weekend. Zgodziła się zadzwonić, zanim tu przyjedzie. Czy przekazać jej wiadomość od pana?

- Tak, proszę. - Pierce miał nadzieję, że Anastasia śpi dobrze, ma piękne sny i nie jest jej tak okropnie zimno. - Proszę przekazać, że dzwoniłem i chciałbym, żeby się ze mną skontaktowała w dogodnym dla niej czasie. To nic pilnego. Chodzi o Wyspę, nie o Grace.

## Rozdział 9

*Carmel, Kalifornia*

*Czwartek, 19 lutego*

Giselle do wieczora rozmyślała nad projektem szklanej rzeźby, którą obiecała wykonać dla Pierce'a.

Próbowała ją sobie wyobrazić.

Jednak zamiast samotnej kobiecej postaci ciągle widziała parę łyżwiarzy. Radosna łyżwiarka Pierce'a nie była sama. Jej partner stał daleko, po drugiej stronie zlodowaciałej tafli jeziora, patrząc na nią z miłością i dumą.

Tak jak jej to obiecał. Tak jak ON obiecał to Giselle.

Jak więc dotrzymać obietnicy danej Pierce'owi? Jak pogodzić ich rozbieżne wizje? Ten drugi tancerz, musi pozostać niewidzialny... tak jak ON. Giselle będzie wiedziała, że tam jest, podobnie jak jej łyżwiarka, którą jego obecność wypełni, rozgrzeje, uszczęśliwi. Ją też.

Zanim Giselle uporała się z pocztą, której wiele się nagromadziło w ciągu tygodnia, zapadła noc. Rachunek za prąd z terminem zapłaty upływającym za dziesięć dni był najbardziej osobistą wiadomością, jaką otrzymała. Zapłaci go, zanim znowu zanurzy się w ogniu, na wypadek gdyby została w pracowni dłużej.

Dostała też kilka katalogów, biuletyn lokalnego konsorcjum handlowego i dwa magazyny, które prenumerowała.

„Przegląd Architektoniczny” i „People”.

Giselle nie rozpoznała dziewczynki na okładce „People”, ale uśmiechnęła się bezwiednie na widok jej ślicznej buzi.

A potem zmarszczyła brwi, czytając o strasznym losie, który stał się udziałem tej niewinnej istoty.

Wreszcie dotarła do zdjęć zrobionych polaroidem. Dwóch z czterech zdjęć, które najlepsza przyjaciółka Grace, Dinah, przechowała przez tyle lat.

Giselle też miała dwa zdjęcia z polaroidu. I ona przechowywała je od wielu lat. Od tamtego stycznia w Nowym Orleanie.

Tamtego stycznia, który widniał w magazynie pod postacią kartki z kalendarza. Jeden tydzień był obramowany na różowo, a na dole widniało pytanie, skierowane do czytelników: gdzie byliście wówczas, gdzie byli oni?

Oni. Troy i Grace. Potwór i ofiara. Mężczyzna i mała dziewczynka.

Dziewczynka, którą wówczas Giselle знаła, której los bardzo ją obchodził do dziś.

Dłonie Giselle, tak pewne, kiedy tworzyła swoje szklane dzieła, drżały, gdy przewracała kartki magazynu, zgodnie z zapowiedzią znaleźć na końcu numery telefonów, pod którymi można było zostawić informacje na temat Grace.

Giselle miała takie informacje i chciała się nimi podzielić z... Garekiem McIntyre'em. Jej niewidzialnym łyżwiarzem. Człowiekiem, którego błękitne oczy czujnie ją obserwowały. Z miłością i dumą. Obserwowały z daleka. Jej łyżwiarz miał swoje własne życie.

Jej łyżwiarz. Jej Garek.

Kiedyś należał do niej, przez kilka czarownych godzin tamtego dnia, trzy lata temu, w Wenecji...

W Wenecji trwał wtedy karnawał.

*Carnivale*. Wielka uczta dla zmysłów przed ascezą Wielkiego Postu.

Według historyków pierwszy karnawał wenecki odbył się w 1094 roku. Podczas tej trwającej dwa tygodnie pierwszej maskarady, tak jak później co roku przez siedem stuleci aż do czasów Napoleona, zamaskowane weneckie szlachcianki znajdowały miłość w ramionach nisko urodzonych gondolierów,

przebrane wieśniaczki uwodziły wyniosłych dożów, a kurtyzany, jak to kurtyzany, zażywały rozkoszy z kim im się tylko podobało.

Karnawał ciągle dodawał blasku Wenecji, choć przez niemal dwieście lat, z rozkazu francuskiego zdobywcy, jego nowym poddanym zabroniono występować w jakimkolwiek przebraniu.

Teraz w Wenecji znowu wszyscy się przebierali. Na ulicach królowały maski i kostiumy. Zagadki i tajemnice. Uwodzicielskie gry i szarady.

I przede wszystkim bawiono się.

Giselle obiecała sobie, że będzie to nareszcie początek jej nowego życia.

Sądziła, że rozpoczęła nowe życie, kiedy dziewięć lat wcześniej opuściła Wenecję. I Armande'a. W pewnym sensie była to prawda. Bo odnalazła wtedy, czy raczej osiągnęła, sukces i samotność, które bardzo sobie ceniła.

Sukces i samotność. Ale nie spokój. Jeszcze nie.

Zrozumiała, że spokój nie przyjdzie do niej sam. Będzie musiała go szukać, pracować na niego, z trudem go zdobywać.

Szukając go w sobie, zbadala dokładnie cały bagaż emocjonalny, który zabrała ze sobą, opuszczając Wenecję. Był to potężny ładunek. Dość ciężki, by zatopić największy okręt w weneckim porcie.

A kiedy zajrzała do waliz, kufrów i paczek, zobaczyła gniew, odrazę, nienawiść. Do niego i do siebie samej. Tak więc, mimo że odejście od tego człowieka przyniosło jej wielką ulgę, ciągle nie czuła się naprawdę wolna, naprawdę spokojna.

Prawdę mówiąc, w głębi jej serca dominowały zupełnie inne uczucia: gorycz, wrogość, złość i żal.

Giselle musiała zabrać to wszystko z powrotem do Wenecji, tam, gdzie zostało to tak pieczołowicie zapakowane, i wyrzucić do błękitnych morskich wód.

Tego roku Giselle została zaproszona na karnawał wenecki jako gość. Chciała tego i postarała się, żeby tak się stało. Jednak najpierw, bez żadnych

starań, otrzymała zaproszenie, które było dla niej miłą niespodzianką. Nieoczekiwanym zaszczytem. Poproszono ją o wzięcie udziału w międzynarodowej wystawie sztuki w Giardini di Castello.

Sławna wystawa miała się odbyć w lecie. Jak zwykle. Pokrywano wszelkie koszty, łącznie z dojazdem, a potem odtransportowaniem Giselle i jej szklanych cudów do domu.

Na letniej wystawie w Giardini di Castello artyści zwyczajowo pojawiali się przy swoich pracach, choćby na godzinę, by wymieniać uśmiechy i adresy z nabywcami, przybywającymi do Wenecji z całego świata.

Giselle, która nie pozwalała się nawet fotografować, z żalem odmówiła przyjazdu na letnie biennale, tłumacząc to wcześniejszymi zobowiązaniami. Obiecała jednak, że przyjedzie do Wenecji w lutym, podczas karnawału. Dodała też, że przygotuje na tę okazję kolekcję masek.

Będzie potrzebowała jakiegoś miejsca, żeby je wystawić, no i odrobiny reklamy. Chętnie spotka się z publicznością w wybranym przez organizatorów terminie.

Rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Bo w ten właśnie sposób narodził się Festiwal Masek. Dzięki niej. Dzięki jej sztuce. A ponieważ Giselle nie miała nic przeciw temu, pokazano na nim też maski wykonane przez innych artystów, choć nie ze szkła, ale z piór i cekinów, jedwabiu *papier-mache*.

Dla potrzeb wystawy tymczasowy pawilon zostanie postawiony na Piazza San Marco. Tak, właśnie tam. A ta odrobina reklamy, na którą Giselle miała nadzieję? Zaproszenia zostaną wysłane do wszystkich liczących się pośredników w handlu sztuką. Organizatorzy biennale mają obszerną listę. Galeria Ocean Crest także dostarczy nazwisk przyszłych kolekcjonerów dzieł Giselle.

Tak więc Giselle była tego dnia, ostatniego dnia karnawału i ostatniego dnia Festiwalu Masek, w Wenecji, zwanej *La Serenissima* - Najspokojniejsza.

Giselle obiecała sobie, że będzie równie spokojna, kiedy w końcu spotka się z Armande'em.

*Bonjour, Armande. Adieu, Armande.*

Witaj, żegnaj. A między powitaniem i pożegnaniem znajdują się starannie dobrane słowa. Słowa, które Giselle wyćwiczyła do perfekcji.

Spokojnie wypowiedane, pogardliwe słowa. Proste, miażdżące przesłanie.

A jednak znajdują się w nim i błagalne zwroty. Giselle chciała, żeby Armande zrozumiał, co jej zrobił, żeby uznał swoją winę, tak jak ona uznała swoją. I żeby ją przeprosił. Żeby ją błagał o wybaczenie.

Po powrocie do Wenecji Giselle odkryła, że Armande był jej właściwie zbędny.

Potrafi sama rzucić swój niechciany bagaż do laguny.

Tak, w końcu to jej bagaż. A ona jest taka silna. Tyle potrafi. To, co wydawało się ciężarem ponad siły, okazało się lekkie jak piórko.

Tak jak ona sama. Czowała się lekka. Unosiła się niemal w powietrzu. Zdawało jej się, że nic nie waży, w tym mieście, które niegdyś kochała, wśród tych spływających wodą ulic i ściennych ogrodów.

Giselle ponownie pokochała Wenecję. Jeszcze zanim spotkała się z Armande'em. Właściwie nie musiała się z nim spotykać. Niczego od niego nie potrzebowała. Żadnych przeprosin, żadnej pomocy, nic.

Ani błagań o wybaczenie. Giselle sama sobie przebaczyła. Wenecja jej przebaczyła. Kanały, wisterie, czyste zimowe światło.

A jednak postanowiła, że spotka się z Armande'em. Paryski przedsiębiorca i mecenas sztuki otrzymał eleganckie zaproszenie zgodnie z jej planem.

Armande pojawi się lada chwila. Za kwadrans drzwi pawilonu zostaną zamknięte. O trzeciej. Armande wejdzie tu jakby od niechcienia, niby przypadkiem, jakby w ciągu tego kwadransa nie miał nic innego do roboty.



Oto i on. Giselle była bardzo spokojna. Znała go tak dobrze. Wiedziała, kim jest. Czym jest.

Wiedziała nawet dokładnie, co jej powie, nie po francusku, który jest jego ojczystym językiem, ale nieskazitelną angielszczyzną.

Podczas spędzonych wspólnie jedenastu lat zawsze rozmawiali po francusku. Armande raczył dzielić się z nią swoim pięknym językiem, jakby był to intymny dar dla niej, choć znała ten język równie dobrze jak on.

Ale teraz do tej Amerykanki, do tej kobiety, która śmiała go opuścić, będzie mówił po angielsku.

- Nieźle sobie radzisz, Gigi. Masz trochę zdolności. Jak szczęśliwie się złożyło, że przywiozłem cię do Wenecji.

Giselle spodziewała się, że poczyta sobie jej sukces za własną zasługę. Milczała, czekając na kolejną, dobrze przemyślaną złośliwość.

- Chodziłaś z nimi do łóżka, mała?

- Z kim, Armande? - odparowała Giselle z niezmaconym spokojem po francusku. - Z mistrzami z Murano? Oczywiście. Jak inaczej mogłabym poznać ich tajemnice?

Jak inaczej? Właśnie tak, jak je poznała - obserwując ich przy pracy w fabrykach szkła w Murano.

Maestros i ich synowie. Szkło należało wyłącznie do mężczyzn. A co robiły matki i córki znad Weneckiej Laguny? Koronki.

- Kłamiesz - rzucił Armande, kiedy potwierdziła, że sekretów wytwarzania szkła nauczyła się w łóżku. Była to niegdyś sztuka tak bardzo pilnie strzeżona, że za wyjawienie jej sekretów można było zapłacić nawet życiem.

Giselle lekko wzruszyła ramionami.

- Wierz w co chcesz, Armande. Armande chciał wierzyć w coś innego.

- Spójrz na siebie - powiedział z niesmakiem. - Co za strój! Co za włosy! Stałaś się mężczyzną, Giselle.

Pogardliwym wzrokiem obrzucił jej krótko przystryżone, miedziane loki, czarną tunikę, spodnie i długi, czarny zimowy płaszcz.

Dawniej styl Giselle był bardzo wenecki - nosiła się z wyszukaną elegancją, zawsze na czarno, w kolorze nocy i czarów.

Nowa Giselle, ta, która należała do siebie samej, a nie do Armande'a, nosiła tylko ubrania, które jej się podobały. I choć nie potrzebowała ozdób poza swymi miedzianymi lokami, orzechowymi oczami i jasną skórą, czasem rozjaśniała czerń stroju złotem lub srebrem, ametystami lub rubinami, koralami i perłami.

- Jaka szkoda - powiedział Armande do kobiety, która nawet tę zniewagę przyjęła ze spokojną obojętnością, co zaczynało go już wyprowadzać z równowagi. - Chciałem cię zaprosić dziś wieczorem na przyjęcie u mnie. Jedna noc mogłaby ci przynieść zysk większy niż te szklane bibeloty w ciągu wielu lat.

- Daruj sobie to zaproszenie, Armande. I tak bym nie przyszła.

- Ale może powinnaś? Może nie jest za późno? Nie wyobrażałem sobie, żebyśmy mogli być jeszcze kiedyś razem, po tym, jak zostawiłaś mnie w taki sposób. Przypomniałbym ci jednak, co to znaczy być kobietą. Mógłbym cię znowu tego nauczyć. Zrobiłbym to dla ciebie.

Armande władczo owinał sobie jeden z jej loków wokół palca, a potem przesunął nim od jej skroni, przez policzek, aż do ust. Giselle nie poruszyła się, nie drgnęła nawet.

- Chodź ze mną, Gigi. Chodź zaraz.

To był właściwy moment na gniewne słowa, które tak dokładnie zaplanowała. Mogła mu powiedzieć, jaką odrazą ją napawa. Ale teraz...

- *Adieu*, Armande.

Patrzył na nią ze złym, krzywym uśmiechem.

- *Adieu?*

- *Oui.*

Armande zacisnął palce na jej brodzie.

Giselle i tym razem nie poruszyła się. Nie drgnęła.

W końcu ten żelazny uścisk zelżał, dłoń Armanda opadła.

Koniec.

- Giselle. - Ten nowy głos był spokojny, rozkazujący. A oczy, takie niebieskie, patrzyły na nią tak, jakby Armande nie istniał. Jakby go nigdy nie było. - Czekałem na ciebie, kochanie. Bardzo cierpliwie. Twoi liczni wielbiciiele nie chcą ci dać spokoju. Wcale się im nie dziwię. Jednak teraz nadszedł mój czas. Nasz czas. Prawda?

- Tak - szepnęła Giselle. - To twój czas. Nasz czas. *Adieu Armande.*

*Vraiment. Adieu.*

Giselle nawet nie spojrzała na Armande'a, kiedy odchodził.

- Dziękuję - powiedziała, gdy kroki ucichły. - Dziękuję za to, że mnie pan uratował.

- Sama się pani uratowała. I zrobiła to już pani dawno.

- Tak, to prawda. Słyszał pan naszą rozmowę?

- Nie. Widziałem jednak, że on pani pragnie.

- Tak.

- A pani chce, żeby trzymał się od pani z daleka. Czy to możliwe?

- Żeby trzymał się z daleka? Oczywiście. Od czasu, kiedy rozstaliśmy się dziewięć lat temu, ani razu nie próbował się ze mną skontaktować.

Jednak Armande sądzi, że może mieć wszystko, czego zapragnie. Dziś przekonał się, że nie zawsze jest to możliwe.

- Chciała mu pani o tym przypomnieć. Niebieskie oczy widziały tak wiele.

- Kim pan jest?

- Garek McIntyre. Jeden z tych licznych wielbicieli, o których wcześniej wspomniałem. Obiecałem sobie, że nie wyjadę z Wenecji, zanim pani nie poznam.

- Wyjeżdża pan?
- O dziesiątej wieczorem mam samolot z lotniska Marco Polo. Moglibyśmy pójść na spacer, jeśli ma pani ochotę.

## Rozdział 10

*Wenecja*

*Trzy lata wcześniej*

Wiele godzin spacerowali po tym nastrojowym mieście miłości. Wiele godzin rozmawiali. Ale Giselle i Garek nie dotknęli się tego dnia ani razu. Nie spotkały się ich dłonie ani ich usta.

Garek powiedział jej, że ma czterdzieści lat. Giselle miała trzydzieści siedem. Był prawnikiem, mieszkał w Chicago i miał żonę.

Ich spacer zaczął się na Piazza San Marco, wśród tłumu ludzi w maskach. Słynny plac, sławny salon Europy, tego zimowego popołudnia zmienił się w karnawałową salę balową.

Wszyscy, którzy chcieli pożegnać karnawał, przybyli na plac. Zaludniły go postaci w czarnych pelerynach, wystrzępionych trójgraniastych kapeluszach i trupiobiałych maskach. Wśród nich krążył niejeden smutny Arlekin, niejeden II Dottore i Punchinello, niejeden Pierrot. Obok nich tłoczyli się współcześni hulacy w strojach z brokatu i szyfonu, jedni ciepło opatuleni, inni niemal nadzy - poza maskami, które zasłaniały ich twarze. Maski, ten symbol karnawału, które pozwalają widzieć wszystko, będąc niewidzialnymi.

Garek i Giselle przeszli przez Piazza San Marco i poszli dalej, szukając w labiryncie uliczek i mostów miejsc, które w tę szaloną noc pozostały ciche i puste.

Perłowy księżyc świecił na niebie, kiedy Giselle opowiadała Garekowi o Armandzie.

- Byłam jego kochanką.
- Zakochałaś się w żonatym mężczyźnie. To się zdarza.
- Owszem. Ale nasz romans nie miał nic wspólnego z miłością. Był zaaranżowany.
- Zaaranżowany?
- Tak. I bardzo francuski.

To Monique Jabot nadała Giselle jej imię zaraz po jej narodzinach. I Monique zaczęła ją nazywać Gigi.

Monique nadała także nowe imię matce Gigi, Amy Louise Trent, która na kilka miesięcy przed narodzinami swej córki została Aimee Trouveau.

Monique była Francuzką. Paryżanką. Miała czterdzieści dwa lata. Przez ćwierć wieku pełniła rolę rozpieszczanej utrzymanki jednego z najbogatszych ludzi we Francji. Aż do jego śmierci.

Żona jej kochanka wiedziała o tym. Znała Monique. Aprobowała ją, podobnie jak jej synowie, córki i przyjaciele.

Tak kręci się ten świat. Czystość krwi zostaje zachowana, unika się rozwodów i podziału majątków.

Żony były usatysfakcjonowane. One też miały kochanków. Mężowie byli dobrymi ojcami. Nic nie naruszało spokoju rodziny.

Kochanek Monique obsypywał ją prezentami przez cały czas trwania ich związku. Na mocy testamentu po jego śmierci otrzymała sumę, która, choć bardzo pokaźna, nie uszczupliła fortuny pozostawionej jego żonie i dzieciom.

Monique dostała też rezydencję w Nowym Orleanie. Podczas podróży służbowej do Stanów razem oglądali dom w Dzielnicy Francuskiej. Monique, Francuzka z krwi i kości, zachwycała się miastem.

Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby kiedykolwiek zamieszkać w Ameryce. Aż do śmierci swojego kochanka. Bez niego Paryż nie był już taki sam. Europa utraciła swój powab.

Monique chciała podzielić się z młodymi kobietami nowego kraju tajemnicą swojego sukcesu, nauczyć je jak wieść wspaniałe życie.

Tak więc rezydencja w Nowym Orleanie stała się szkołą dla przyszłych kochanek.

Oświecenie amerykańskich kobiet i mężczyzn stanowiło dla niej prawdziwe wyzwanie. Tak łatwo można tu było dostać rozwód, powszechnie uprawiana wolna miłość, a w dodatku w Ameryce wszystko było takie nowe - nie starsze niż dwieście lat - nie istniały żadne stare rody, których honoru należałoby strzec.

Jednak Monique była pełna wiary. Pełna pasji. Uczyła wybrane przez siebie dziewczęta, przyszłe kochanki, wszystkiego, łącznie z dobrymi manierami.

A seks? O tym nigdy się nie mówiło. Jej uczennice zostały wybrane ze względu na swoją zmysłową urodę. Urzekającą kobiecość. Takim kobietom niepotrzebne są żadne instrukcje. Same wiedzą, jaką broń posiadają w swym arsenale. Poza tym otwarte rozmowy na te tematy Monique uważała za wulgarne i prostackie.

Monique tłumaczyła cierpliwie swoim uczennicom, klientom i policji, że ta elegancka rezydencja nie jest burdelem. Jedyne związki intymne, jakie mają miejsce w tym domu, to jej własne romanse.

Owszem, czas spędzony w towarzystwie jej dziewcząt, najlepszych spośród najlepszych, bardzo dużo kosztuje. Ale czyż taka przedsiębiorczość nie należy do amerykańskiego stylu życia?

Za seks nie było opłat. Nie było cennika. Zresztą seks między dwoma dorosłymi osobami jest chyba legalny w tym wolnym kraju, prawda?

Świadczone przez Monique usługi „towarzyskie”, były bardzo dochodowe. Ale poza zyskiem, który przynosiła, firma nie spełniła nadziei, jakie pokładała w niej Monique.

Jej wizja wprowadzenia do amerykańskiej kultury systemu opartego na otoczonych szacunkiem kochankach i ochronie instytucji rodziny niestety się nie sprawdziła. Żaden ze związków, jakie zostały nawiązane pod dachem jej domu, nie przetrwał długo. Ani jeden w ciągu osiemnastu lat. Owszem, zdarzały się małżeństwa. Nawet sporo. Ponieważ jednak za ich sprawą ucierpiało kilka rodzin, Monique uważała je raczej za swoją porażkę.

Ciągle szukała idealnej uczennicy, swojej następczyni.

Największe nadzieje wiązała z jedną ze swoich pierwszych dziewcząt. Aimee Trouveau.

Monique po raz pierwszy zobaczyła nastolatkę, która uciekła z domu, podczas Mardi Gras. Amy była narkomanką i prostytutką. Nieprzytomnie kiwała głową, biorąc wszystko, co wkładano jej do ręki, czy były to narkotyki, czy pieniądze, nie odrywając zamglonego wzroku od barwnego tłumu na Bourbon Street.

Była narkomanką i prostytutką. I była już w czwartym miesiącu ciąży.

Monique zabrała Amy do swojej rezydencji, dała jej dom i obietnicę lepszego życia. Bajecznego życia.

- Nie wiem, dlaczego Monique wybrała akurat moją matkę.

- Może ze względu na jej urodę? - powiedział cicho Garek.

- Tak, moja matka była piękna. Jednak w przeciwieństwie do Monique, która kochała życie, mężczyzn, a przede wszystkim samą siebie, moja matka była niepewna, smutna, wystraszona. Myślę, że jako dziecko była wykorzystywana seksualnie. Nie akceptowała samej siebie i w gruncie rzeczy bała się mężczyzn. Była też rozpaczliwie uzależniona od narkotyków. Od heroiny. Od czasu do czasu próbowała zerwać z nałogiem, ale za każdym razem ponosiła klęskę.

- Czy Monique rozumiała, jak trudne to było dla twojej matki?

- Chyba nie zawsze. Moja matka mogła mieć cały świat u stóp. Monique wiele razy dawała jej szansę. Jednak żaden z tych związków się nie udał. Mężczyźni zawsze odsyłali ją z powrotem. Armande stanowił jej ostatnią szansę. Był najstarszym synem dawnego protektora Monique. Armande doczekał się już odpowiedniej liczby synów ze swojego francuskiego małżeństwa, prawowitych spadkobierców. Monique uważała, że Armande'owi spodoba się moja matka, tak jak podobała się wszystkim mężczyznom, jacy mieli okazję ją poznać. I ten związek z pewnością przetrwa. Tym razem ja też miałam z nią jechać.

- Żeby nad nią czuwać?

- Tak. Chciałam tego. Intrygował mnie też pałac Armande'a w Wenecji. W ogóle Wenecja. Na zaproszenie Monique Armande przyleciał do Nowego Orleanu, żeby zobaczyć moją matkę.

- Ale kiedy zobaczył ciebie...

- Nie, Garek. Nie poznaliśmy się wtedy. A Armande'owi spodobała się moja matka. Miałyśmy się pojawić w czasie karnawału. Moja matka była podekscytowana, pełna nadziei. Przysięgała sobie, że tym razem wygra swoją walkę z uzależnieniem. Naprawdę chciała spróbować nowego życia w Wenecji, życia bez heroiny, z Armande'em i ze mną. Może wygrałaby tę walkę, ale trafiła się jej okazja, której nie potrafiła się oprzeć. Popelniła kradzież.

- Ukradła pieniądze Monique?

- Nie. Ukradła jej broszkę, prezent od ojca Armande'a. Broszka miała dla Monique dużą wartość sentymentalną. Była to kropla, która przepełniła czarę goryczy. Próbowałam przekonać Monique, że to moja matka chciała mieć coś od niej na pamiątkę. Że z tego samego powodu, zabrała szkic z weneckim pejzażem, nad którym pracowałam.

Ale Monique miała już dosyć Amy Louise Trent. Powiedziała, że będzie szczęśliwa, kiedy ta narkomanka i złodziejka znajdzie się wreszcie za kratkami.



Wystarczy jeden telefon, aby policjanci, których Monique czarowała przez wiele lat, zajęli się tą niewdzięcznicą. Błagałam, żeby nie dzwoniła na policję. Powiedziałam jej, że zrobię dla niej wszystko. Wszystko.

- Łącznie z zajęciem miejsca twojej matki u boku Armande'a, jako jego kochanka?

Stali nad wodą, przy bramie z kutego żelaza, na brzegu oświetlonego lampami kanału. Woda drżała lekko, a wraz z nią drżały odbicia ich postaci.

Giselle widziała w tym płynnym zwierciadle swoją własną twarz... i swojej matki.

- Nie zaproponowałam tego - powiedziała do drżących miedzianych loków, bladej twarzy i migdałowych oczu, które odziedziczyła po matce. - Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Ale natychmiast przyszło do głowy Monique. W końcu byłam jej Gigi. Chociaż w ciągu siedemnastu lat, jakie przeżyłam w jej domu, nigdy w żaden sposób nie dała mi do zrozumienia, że ja także jestem jej uczennicą, że mam w przyszłości zostać kochanką. Pewnie uważała, że to się rozumie samo przez się.

- Miałaś siedemnaście lat.

Giselle spojrzała na męską twarz, widoczną na wodzie obok jej twarzy. Gęste ciemne włosy, ciemnoniebieskie oczy, niezwykle połączenie siły i spokoju.

- Tak.

- I byłaś niewinna.

- Tak. I zdumiewająco naiwna. Nie miało to jednak znaczenia.

- Ponieważ chodziło o uratowanie życia twojej matki?

- O danie jej szansy, żeby sama je uratowała.

- I zrobiła to?

- Nie wiem. Już nigdy jej nie zobaczyłam. Nigdy nie dostałam od niej żadnej wiadomości. Myślałam, że przyjedzie do Wenecji, kiedy ponownie

przegra swoją walkę z narkotykami. Że wróci do Monique, która wszystko jej wybaczy.

- Miałaś nadzieję, że przyjedzie do Wenecji.

- Tak. Bardzo by jej się tu podobało. Byłaby tu szczęśliwa.

- A ty byłaś szczęśliwa z Armande'em?

W tej chwili coś zmaściło powierzchnię wody. Może powiew wiatru albo skrzydło ptaka. Giselle oderwała wzrok od migotliwego odbicia i przeniosła go na Gareka, który stał za nią bez ruchu.

W jego błyszczących niebieskich oczach zobaczyła siebie. Kochankę Armande'a. Lojalną córkę Aimee.

- Szczęśliwa z Armande'em? Nie. Ale byłam szczęśliwa w Wenecji, gdy w końcu wydostałam się ze swojego więzienia za murami pałacu.

- Nie byłaś szczęśliwa z Armande'em - powiedział Garek cicho - a jednak odeszłaś od niego dopiero dziewięć lat temu.

- Byłam z nim jedenaście lat. Od tego pierwszego karnawału, kiedy miałam siedemnaście lat, aż do tego ostatniego, kiedy skończyłam lat dwadzieścia osiem. Dziesięć z tych jedenastu lat spędziłam z nim dla mojej matki, żeby spłacić jej dług. Monique wyłożyła pieniądze, ale ja musiałam oddać jej wszystko, co do pensa. Monique zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, zadzwoni na policję. Nie wiedziałam nic o przepisach prawnych. Byłam taka naiwna, że zaufałam jej. Powiedziała mi, że co roku będzie dostawać od Armande'a pieniądze. Prowizję, za zaaranżowanie naszego związku. W ten sposób dług mojej matki zostanie spłacony dopiero po dziesięciu latach.

- Musiała ukraść wielką sumę.

- Wielką dla mnie i dla mojej matki, ale śmieszna dla Monique. Wtedy oczywiście nie wiedziałam, jak symboliczna jest to dla niej kwota. Nie wiedziałam też, że sama byłabym w stanie ją spłacić w ciągu jednego roku. Uwierzyłam, że muszę być z Armande'em przez dziesięć lat i robić to, czego on ode mnie chce.

- I zrobiłaś to.

Giselle odwróciła wzrok i spojrzała w mętłą wodę kanału.

- Nie było tak źle. Pewnego dnia odkryłam fabrykę szkła na Murano i cuda Wenecji. Przez pierwsze pięć lat nie było aż tak źle.

- A później?

- A później - wyszeptała - Armande przyprowadził do mnie swojego czternastoletniego syna. Powiedział, że to taka tradycja. Dar, jaki kochanki ojców ofiarowują synom swoich kochanków. Armande przeżył swoje pierwsze doświadczenie seksualne z Monique, kiedy miał dwanaście lat.

- Zgwałcił cię... - powiedział z gniewem Garek. Jego wszystko widzące oczy obejmowały ją całą.

- Nie, Garek - odparła, odwracając się do niego. - Nigdy nie zostałam zgwałcona.

- Zostałaś zgwałcona, Giselle. Już na samym początku. Przez Monique, która kazała ci wierzyć, że nie masz wyboru, a potem przez Armande'a.

- Ale ja wierzyłam, że dokonałam wyboru. I naprawdę go dokonałam. Sama nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam. To już przeszłość. Odległa, martwa, pogrzebana przeszłość.

Przeszłość zatopiona w morzu tak głębokim i błękitnym, jak jego oczy. Tylko że żadne morze nie było tak ciemne, tak piękne, tak niebezpieczne, tak wciągające. Tak błękitne.

- Opowiadasz mi o tym - powiedział Garek miękko - bo chcę to wiedzieć. Chcę wiedzieć wszystko.

- To nie jest wesoła historia. Garek uśmiechnął się słabo.

- Tak sądzę.

- Dwa lata później Armande przyprowadził do mnie swojego drugiego syna. Miał dopiero trzynaście lat. Ale to było... łatwiejsze. Wszystko wtedy wydawało mi się łatwiejsze. Byłam z Armande'em już siedem lat. Zostały mi jeszcze tylko trzy. Powiedziałam sobie, że mogę znieść wszystko.

- Łącznie z dalszymi gwałtami.

- Łącznie z kolejnymi dowodami, jakich potrzebował Armande, by mieć pewność, że kontroluje mnie całkowicie. A także wszystkich innych. Jego przyjaciele pożąдали mnie, ponieważ wyglądałam tak, a nie inaczej, byłam taka podobna do mojej matki, a także dlatego, że należałam do Armande'a. Wybranych mężczyznom dawał mnie na godzinę, na weekend, na noc, na dzień. Twierdził, że to też należy do tradycji. Kurtyzana księcia pożądana przez wszystkich, ale dawana czasem tylko nielicznym wybrańcom.

- Jest też inna tradycja - powiedział Garek. - Wenecka szpada. Myślę, że dostaniemy tu coś takiego, a potem wskażesz mi drogę do pałacu Armande'a.

Mówił tak spokojnie, lekko, o tej śmiertelnej broni. Długie, cienkie ostrze, zanurzone w ciele wroga po rękojeść i przekręcone przy wyciąganiu, powodowało rozległy krwotok wewnętrzny, choć na powierzchni skóry widoczny był zaledwie niewielki ślad po ukłuciu.

Giselle, która chciała zbyć jego słowa żartem, dostrzegła nagle w spokojnych, błękitnych oczach Gareka zimny gniew.

- On nie jest tego wart - powiedziała. - Poza tym współniczka Armande'a jest tak samo winna.

- Monique?

- Nie, Garek, ja. Zostałam z Armande'em, z własnej woli, jeszcze cały rok. Zrobiłam to dla siebie, nie dla mojej matki. Jej dług został już spłacony. Ale ja potrzebowałam pieniędzy. Nie miałam nic, ani grosza. Wenecja to małe miasto, a Armande wymyślił sobie, że będzie w nim dożą, choć najwięcej czasu spędzał w Paryżu. Był tu znany, szanowany i popularny. Ja też byłam znana, wszędzie mnie rozpoznawano. Zazwyczaj przy zakupach, wystarczał mój podpis. Armande nie dawał mi ani pieniędzy, ani prezentów. Stroje, które nosiłam, należały do niego, podobnie jak biżuteria. Ja sama byłam jego własnością. Potrzebowałam pieniędzy, żeby się od niego uniezależnić, żeby rozpocząć nowe życie. Wiedziałam, jak na nie zarobić. Powiedziałam

Armandowi, że chcę zapłaty za seks z jego przyjaciółmi. Było mi obojętne, czy to oni będą płacić, czy on. Sporo ryzykowałam. Armande mógł mnie wyrzucić na ulicę. Kazać, żebym tak zarabiała.

- Nigdy byś tego nie zrobiła.

- Przecież robiłam dokładnie to samo, tyle że nie na ulicy, lecz w eleganckich apartamentach. Byłam prostytutką. Są na to gorsze określenia, ale lepszych nie ma. Armande'owi spodobał się mój pomysł, dawało mu to poczucie absolutnej kontroli. Decydował, kto mnie dostanie, za ile, na jak długo, kiedy. Ponieważ jednak klienci płacili, uważali, że mogą wymagać ode mnie więcej niż wtedy, kiedy dostawali mnie w prezencie. Nie dbałam o to. Myślałam tylko o tym, że wkrótce będę wolna.

- Robiłaś to cały rok?

- Tak, trwało to długo. Armande nie wiedział, po co mi pieniądze, jak bardzo jestem zdeterminowana. Musiałam udawać, że to tylko gra, sposób na uatrakcyjnienie nudnego seksu z jego znajomymi. Cała ta perwersyjna sytuacja sprawiła, że Armande pragnął mnie bardziej niż kiedykolwiek i dzielił się mną niechętnie. Jednak i tak do końca karnawału tamtego roku miałam dość pieniędzy. Kupiłam już bilet do San Francisco na pierwszy lot w Środę Popielcową. W przeddzień mojego wyjazdu, we wtorek, Armande powiadomił mnie, że zaplanował dla mnie spotkanie z dwoma jego przyjaciółmi. On sam chciał się temu przyglądać. Odmówiłam i poinformowałam go o moich planach. Powiedziałam, że zamierzam nazajutrz odejść od niego i opuścić Wenecję. Był zaskoczony, wściekły. A potem nagle zrozumiał.

- Mówiłaś, że mogłaś spłacić dług swojej matki w ciągu roku.

- Z łatwością. Mimo zażyłości, jaka łączyła ją z Armande'em, Monique twardo negocjowała warunki mojego pobytu w Wenecji, no i oczywiście swoją prowizję. Jak zwykle wtedy gdy w grę wchodził związek zaaranżowany przez Monique, Armande wysyłał jej co roku całą sumę, jej część i moją. Zapytał drwiąco, czy o tym nie wiedziałam.

Armande nie mógł się doczekać, kiedy uśmieje się z tego razem z Monique. Zadzwoił do niej natychmiast. Była w Nowym Orleanie, bawiła się, już po raz trzydziesty, na Mardi Gras, jak zwykle otoczona przepychem i jeszcze bogatsza. Nie potrzebowała moich pieniędzy, ale postanowiła, że je zatrzyma. Tak właśnie powiedziała. Zasłużyła na nie. Zarobiła je. W końcu przyjęła nas, mnie i moją matkę, do swojego domu i dała nam wszystko. Zapytała, czy naprawdę mam zamiar opuścić Armande'a? Jeśli tak, to jestem najwyraźniej równie głupia i niewdzięczna, jak moja matka. Uciekłam z pałacu Armande'a. Nienawidziłam ich, nienawidziłam Wenecji, a przede wszystkim nienawidziłam siebie. Zabrałam tę nienawiść ze sobą. Żyłam z nią przez dziewięć lat.

- Ale już ją porzuciłaś.

- Tak. Nawet nie potrzebowałam tego spotkania z Armande'em.

- Ciągle mam ochotę wypróbować jedną z tych słynnych szpad.

- Nie mógłbyś tego zrobić.

- Do diabła, Giselle, wierz mi, że mógłbym...

## Rozdział 11

**G**arek McIntyre był niechcianym owocem pozamałżeńskiego romansu, szaleństwa jednej nocy, którego obie strony zaczęły żałować jeszcze przed świtem. Przyszedł na świat, tylko dlatego że jego matka nie wiedziała, czy dziecko, które nosiła w łonie, jest wynikiem niewierności, czy małżeńskiego uczucia. Wykazały to dopiero testy wykonane po jego narodzinach.

Garek spędził dzieciństwo, jeżdżąc od jednej rodziny do drugiej, z których żadna nie przepadała za widokiem żywego symbolu małżeńskiej zdrady.

- Musiało ci być bardzo ciężko - powiedziała Giselle. W powietrzu unosiła się chłodna, nocna mgła.

- Nie znałem innego życia. Poza tym podobała mi się niezależność, jaką dawała mi ta sytuacja, samodzielność, fakt, że muszę polegać na samym sobie. Traktowałem to jak wyzwanie. Sam musiałem sobie radzić.

- Sam?

- Pod wpływem impulsu w czasie jednej z moich weekendowych podróży wysiadłem z pociągu w połowie drogi. Pomyślałem sobie, że tylko pochodzę sobie kilka godzin po okolicy. Skończyło się jednak tak, że zostałem tam na noc. Podobało mi się to. Cieszyłem się każdą chwilą wolności. Byłem tylko małym chłopcem. Za którym nikt specjalnie nie tęskni, jak się okazało następnego dnia. Rodzina, do której jechałem, uznała, że nie przyjadę do nich na weekend. Nawet nie zadzwonili, żeby to sprawdzić. Wiedziałem potem, że mam wolną rękę, i często wybierałem się na takie samotne weekendy w nieznanym miejscach. Im większe niebezpieczeństwa na mnie czyhały, tym lepiej. Lubiłem balansować na krawędzi. Uwielbiałem wszelkie wyzwania. Jak długo wytrzymam bez picia, bez jedzenia, bez snu? W końcu, kiedy już wiedziałem, do czego sam jestem w stanie się zmusić, zacząłem się zastanawiać, do czego potrafią mnie zmusić inni.

- Inni?

- Na początek postanowiłem spróbować swoich sił w piechocie morskiej. Nie bardzo tam pasowałem. Nie przepadałem za grami zespołowymi, byłem indywidualistą. A tam najważniejsza była drużyna. Jednak udało mi się dostać do oddziału komandosów. Nie byłem tam jedynym indywidualistą. Było nas siedmiu - upartych i aroganckich, nieufnych. Zwierzchnicy uznali, że albo szybko się nawzajem wytłuczemy, albo zostaniemy w końcu zgranym zespołem. Byliśmy zespołem przez siedem lat. Siedmiu mężczyzn. Siedem lat.

- Słyszałam o komandosach - mruknęła Giselle do przepływającej mgły.

Garek czekał w milczeniu. W końcu Giselle odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Jest wiele rzeczy, o których nie słyszałaś, Giselle. Komandosi są szkoleni do walki. Do zabijania. Robią to, co trzeba, szybko, dokładnie. Czasem jest to brudna robota. Wredna.

- I niebezpieczna - powiedziała Giselle z drżeniem w głosie. Garek odpowiedział jej smutnym uśmiechem.

- Jasne. Niebezpieczeństwo jest w to wpisane. Jednak można nauczyć się minimalizować niebezpieczeństwo, kontrolować ryzyko, choć każde kolejne zadanie jest trudniejsze od poprzedniego.

- Tak było w przypadku twojego zespołu?

- Tak. Wyspecjalizowaliśmy się w jednym rodzaju akcji. Takich, które miały na celu uwolnienie zakładników. Wymaga to specjalnego treningu, odrzucenia wpajanej żołnierzom zasady „znajdź, zniszcz i nie bierz więźniów”. Cieszyliśmy się jednak, wiedząc efekty tej pracy.

- Uwolnionych zakładników...

- Tak - potwierdził Garek. - Tych nieprzytomnie szczęśliwych ludzi. - Wziął głęboki oddech, wciągnął w płuca morskie powietrze. - Tylko dwóch z naszej siódemki przetrwało. John i ja. Inni zginęli w dobrze zaplanowanej zasadzce. To była prawdziwa masakra z powodu błędnej informacji podanej nam przez wywiad. John i ja chcieliśmy wydostać stamtąd zabitych przyjaciół. Ale nawet tego nie mogliśmy dla nich zrobić. Ja też czułem gniew. Wściekłość. A to uczucie nie przynosi żołnierzowi pożytku, zwłaszcza jeśli jest skierowane przeciwko tym, po których stronie się walczy.

- Odszedłeś z komandosów?

- W ogóle z wojska.

- I zostałeś prawnikiem.

W jego oczach pojawił się błysk.

- To było nowe wyzwanie.

- I jako prawnik nadal uwalniasz ludzi. Nie dopuszczasz do tego, by zostali zakładnikami jakichś instytucji.



Była taka śliczna z tymi swoimi miedzianymi lokami.

- Może to właśnie tak mnie w tym pociągało. Było wyzwaniem, które chciałem podjąć. Może. Ale wiem na pewno, co sprawiło, że przeniosłem się z Nowego Jorku do Chicago. Ty.

Słowo to zatrzepotało jak wielobarwny ptak w chłodnym zimowym powietrzu.

- Ja?

- Ty. I twoje śnieżne dzwonki, twoje kuranty. Od jakiegoś czasu pracowałem już w pewnej nowojorskiej firmie. Nie myślałem o przeprowadzce. Nagle dostałem ciekawą propozycję pracy od firmy z Chicago. Opłacili mi podróż i zarezerwowali pokój w jednym z hoteli Wietrznych Kurantów. Pierwszego dnia miałem oficjalne spotkanie i nie przyjrzałem się dobrze twoim dzwonkom. Kiedy jednak wróciłem wieczorem, zatrzymałem się pod nimi i stałem tam prawie całą noc. Patrzyłem na nie, mówiłem do nich, słuchałem ich słów.

Była to niezwykła scena: dawny komandos zachwycający się dzwonkami ze szklanych płatków. Była w nich jakaś magia - równie niezwykła jak czar weneckiej nocy.

- Myślisz pewnie - powiedział Garek miękko - że to, co mówię, nie jest prawdą. Tym bardziej, że dzwonki są wyciszane na noc, milczą od północy do szóstej rano.

- To fakt.

- Ale ja je słyszałem, Giselle. Przez całą noc. Dzwoniły bardzo cicho, ale kiedy aprobowały moje decyzje rozbrzmiewały tak radośnie.

Przeprowadzić się do Chicago? Tak. Rozpocząć własną działalność? Przytakiwały, uznając, że to lepsze dla indywidualisty. A kiedy wspomniałem o tym, że mógłbym pracować i mieszkać w wieży, rozdzwoniły się jak szalone. Ich muzyka stała się wręcz ogłuszająca, jakby dołączyły do niej dzwonki z holu. Musisz mi uwierzyć, Giselle. Tak było.

Giselle uśmiechała się i kiwała głową. Tej magicznej, karnawałowej nocy była w stanie uwierzyć we wszystko.

- Trzy tygodnie później siedziałem w mieszkaniu w wieży, które kupiłem, i zastanawiałem się nad jego wystrojem. Właściwie podobał mi się, neutralne meble i pastelowe kolory nie odciągały uwagi od nieba, jeziora i miasta, widocznych za oknami. Nawet wielkie lustro na ścianach wzmagały ten efekt. Doszedłem jednak do wniosku, że potrzebuję czegoś do salonu. Czegoś tak szczególnego jak widok za oknami. Może jedna z prac Giselle Trouveau? Wtedy właśnie kupiłem *Wenecki świt*.

- *Przeznaczenie*.

- *Przeznaczenie?*

- To moja własna nazwa tej pracy. Nigdy przedtem nie wypowiedziałam jej na głos.

- Dlaczego?

- Cóż - odparła - wygląda na to, że nie mam przed tobą tajemnic.

- Ani ja przed tobą.

- Była to moja pierwsza ukończona praca, pierwsza, w której udało mi się stworzyć ze szkła to, co sobie wyobrażałam. Złoty świt nad Wenecją. To było przeznaczenie. Nadało sens latom, które spędziłam w tym mieście.

- Powiedziano mi, że jestem pierwszym właścicielem.

- Bo to prawda. *Świt* - czyli *Przeznaczenie*, zdobił moją pracownię przez długi czas. Sądziłam, że nigdy go nie sprzedam. Nie musiałam tego robić. I nie chciałam. Ale pewnego dnia wydało mi się... że powinnam to zrobić. Czułam, że tak trzeba. Że to przeznaczenie. - Giselle spojrzała na mężczyznę, który ryzykował, igrał z niebezpieczeństwem i prawie zawsze wygrywał. - Pewnie nie wierzysz w przeznaczenie. Chociaż - dodała, patrząc w błękitne oczy - wierzysz w mowę szklanych dzwonek.

- Widziałem cię, Giselle.

- Widziałeś mnie, Garek?

- Tak. Tutaj. W Wenecji. Dwadzieścia lat temu.
- Och! - szepnęła Giselle. Nagle wszystko pojęła - I ja cię widziałam.
- Nie mogłaś mnie widzieć. Ja byłem dla ciebie niewidzialny.
- Tak, ale... to było ósmego grudnia. Padał śnieg.
- Duże, skrzące się płatki.
- Odbijały najdelikatniejsze odcienie zimowego światła. Pastelowe odcienie różu, fioletu, błękitu.
- Miałaś długie włosy. Do pasa. Płomienne jak ogień. Stałaś na moście, patrzyłaś w niebo i uśmiechałaś się do płatków śniegu, które opadały na twoją twarz.
- Wyobrażałam sobie wtedy, że to sypie się pierze z poduszek, którymi walczą anioły. Że bawią się tam w niebie i zaprosiły mnie do zabawy. Byłam taka samotna w Wenecji, samotna przez całe życie. Po drugiej stronie kanału znajdował się mały pensjonat. Stałaś na drugim piętrze przy oknie.
- Patrzyłaś wprost na mnie, ale nie mogłaś mnie zobaczyć. W pokoju było ciemno.
- Nie mogłam cię zobaczyć, ale chciałam. Próbowałam.
- A potem przypomniałaś sobie Armande'a. Wyraźnie widziałem, kiedy to się stało. Widziałem twoje zakłopotanie, smutek, pośpiech.
- Uciekłam. Uciekłam jak moja matka.
- Nie, Giselle. Nie uciekłaś. Pobiegnąś dotrzymać obietnicy, którą złożyłaś. To też widziałem. Widziałem wyraźnie, że nie byłaś wtedy wolna. Jednak i tak niewiele brakowało, a pobiegłbym za tobą. Tego wieczora miałem wrócić do Florencji. Przyjechałem do Wenecji sam i zbierałem się do odjazdu, kiedy cię zobaczyłem.
- Od jak dawna wiesz?
- Że to ty byłaś tą dziewczyną na moście? Zrozumiałem to dziś wieczorem. Przyjechałem do Wenecji poznać artystkę, która nie lubi się publicznie pokazywać, obejrzeć jej prace. Nigdy nie widziałem cię na żadnym

zdjęciu. Musiałem pojechać do Genewy, a ponieważ twoja galeria wysłała mi zawiadomienie, że tu będziesz, więc... Gdybym wiedział, że to ty, na pewno nie przyjechałbym tu. Nie powinienem był przyjeżdżać.

Bo tej lutowej nocy to on miał osobiste zobowiązania, które musiał wypełnić. Musiał dotrzymać obietnic danych żonie.

- Ma na imię Kathleen - powiedział. - Poznaliśmy się w Chicago, wkrótce po tym, jak tam zamieszkałem. Ona też mieszkała i pracowała w Wieżach. Prowadziła talk-show w radiu WCHM, które zajmuje tam dziewiąte i dziesiąte piętro. Proponowano jej pracę w telewizji. Ciągłe jej to proponują, ale woli radio, bo tam liczy się tylko jej inteligencja, jej słowa. Ma wielu słuchaczy i zajmuje się najprzeróżniejszymi tematami - od kryzysów małżeńskich, przez politykę, sport aż do finansjery z Wall Street i Nowego Jorku.

- Jesteś z niej bardzo dumny.

- Bardzo. Szanuję ją i dbam o nią, ale nie kocham jej. Nigdy nie byliśmy w sobie zakochani. Łączyło nas jednak wiele wspólnych cech. Byliśmy dla siebie stworzeni. Nie spodziewaliśmy się, że będziemy mieli dzieci, ale zamierzaliśmy spędzić razem całe życie, na dobre i złe. Postanowiliśmy więc złożyć sobie tę obietnicę uroczyście, w tradycyjny sposób. Zawrzeć małżeństwo. Od pewnego czasu coś się między nami zepsuło. Cztery miesiące temu zdecydowaliśmy się na separację. To był jej pomysł, a ja się oczywiście zgodziłem. Powiedziałem jej, że nasza przyszłość zależy od niej. Jeśli będzie chciała, żebyśmy się rozstali, niech tak się stanie.

- Miałaś od niej jakieś wiadomości?

- Zadzwoiła dwa dni temu. Wydawała się bardzo pogodna. Radosna. Jak dawniej. Silna i pewna siebie.

- Nie chce już odejść.

- Chyba nie.

Garek i Giselle byli tak blisko siebie, a zarazem tak daleko. Nawet mgiełka pary z ich ust nie mieszała się ze sobą w zimnym powietrzu.

- Jest coś jeszcze, prawda? - spytała Giselle.

- Coś poza tobą? Poza przeznaczeniem? Nie mów, że nie czujesz, co nas łączy.

- Oczywiście, że czuję. Choć znamy się zaledwie od sześciu godzin...

- Od sześciu godzin i dwudziestu lat. Prawda?

- Tak - wyszeptała Giselle. - Tak.

- Mógłbym powiedzieć Kathleen, że zmieniłem zdanie. Że teraz byłbym w naszym małżeństwie tak nieszczęśliwy jak ona, kiedy postanowiliśmy się rozstać. Mógłbym nawet powiedzieć jej o tobie, Giselle. Całą prawdę. O sześciu godzinach i dwudziestu latach. Byłaby zdumiona, ale potrafiłaby to zaakceptować. Życzyłaby nam szczęścia. Powiem jej prawdę. Jeśli ona nie powie mi pierwsza, że przyczyną jej radości jest fakt, iż cztery miesiące temu zaszła w ciążę. Że będzie miała moje dziecko.

Garek całe dzieciństwo spędził, jeżdżąc między dwoma domami, w których nie był wcale oczekiwanym gościem. Jednak przetrwał samotnie, bo nie miał innego wyjścia. Był żywym dowodem na to, że zaniedbane, lekceważone dziecko nie musi wyrosnąć na złego człowieka.

Przeciwnie. Jednak sam nigdy nie skazałby na taki los żadnego dziecka. Zwłaszcza własnego.

- Kathleen nie musi się wcale o mnie dowiedzieć, Garek. Nie zrobiłeś niczego, o czym powinienes ją poinformować. Nawet mnie nie dotknąłeś.

- Nie mam odwagi cię dotknąć, Giselle. Gdybym cię dotknął, nigdy nie pozwoliłbym ci odejść. A muszę to uczynić, jeśli Kathleen spodziewa się dziecka. Jeśli jednak Kathleen nie jest w ciąży, skontaktuję się z tobą wkrótce. Jeśli naszym przeznaczeniem, Giselle, jest być razem, dam ci znać.

## Rozdział 12

*Carmel, Kalifornia*

*Czwartek, 19 lutego*

Giselle nigdy nie dostała wiadomości od człowieka, którego kochała. Jednak Garek był z nią, obserwował ją z dumą, z miłością, jak tańczyła, jak wirowała, jak sięgała księżycą.

Czy to on inspirował z daleka jej szklane dzieła? Oczywiście. Robił to przecież od samego początku, od tamtego śnieżnego dnia w Wenecji.

Giselle była ślepa aż do tego dnia pełnego płatków śniegu padających na gondole, skrzydlatych lwów, złotych mozaik. Aż do tego dnia żyła w ciemności, w pustce, uwięziona w pałacu, w którym sama się zamknęła. Żyła tylko nadzieją, że Armande nie przyjdzie, a kiedy przychodził, czuła się jeszcze bardziej jak schwytna w potrzask. Czekwała na przyjazd matki i zawsze była sama. Zawsze była samotna.

Jak delikatna, krucha wisteria, ten miejski kwiat, nie wiedziała, gdzie mogłaby rozkwitnąć, chwytając się wszystkiego, co stanowiło jakieś oparcie. I ciągle się bała, że straci to oparcie.

Aż do tego grudniowego dnia. Dnia, kiedy wyczuła z daleka obecność Gareka McIntyre'a. Od tego dnia już nie była sama. Nie była samotna. On odjechał, ale światło zostało. Giselle pojechała na Murano, tam, gdzie Garek błędził w śniegu, i odnalazła swoje przeznaczenie w ogniu i szkle.

Wiadomość od Pierce'a dotarła do Giselle zaraz po powrocie z Festiwalu Masek. Chciał, żeby zobaczyła z helikoptera wyspę, którą właśnie kupił - jeszcze zanim zrobi pierwsze szkice architektoniczne, na wypadek gdyby przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.

To była *la Serenissima*, przycupnięta wśród gór, wznosząca się ponad morzem. Giselle oprawiła w szkło tę najspokojniejszą z wysp w Górach Skalistych. Wyspę Pierce'a. Ozdobiła ją szkłem, ale też radością i miłością, których źródłem był Garek.

A teraz ten człowiek, który dotrzymał obietnic danych swojej żonie, swojemu dziecku i jej, Giselle, złożył także obietnicę Grace Alisii Quinn. Obiecał, że ją odnajdzie. Uratuje.

Giselle postanowiła mu w tym pomóc.

Dobrze wiedziała, gdzie są te zdjęcia. Chociaż właściwie ich nie potrzebowała. Była zupełnie pewna.

Zarezerwowała bilet na poranny lot do Chicago i pokój w hotelu Wietrznych Kurantów. Rozmawiając przez telefon z recepcjonistką, słyszała muzykę swoich śnieżnych dzwoneczków. Jej nazwisko nic jednak nie powiedziało dziewczynie z hotelowej obsługi. Bardzo dobrze. Tak będzie łatwiej.

A może recepcjonistka, tak jak całe Chicago, była zbyt zajęta burzą śnieżną, która miała wkrótce nadejść?

W Chicago spodziewano się największych opadów śniegu w historii miasta. Chmury nadciągały znaną prędkością, która pozwoliła dokładnie określić, kiedy w Chicago spadną pierwsze płatki śniegu. O szóstej wieczorem następnego dnia. W piątek. W godzinie szczytu.

Zapowiadał się prawdziwy kataklizm i poczyniono odpowiednie przygotowania. Urzędnicy mieli wyjść z pracy wcześniej niż zwykle, zachęcono do tego także drobnych przedsiębiorców.

Ostrzegano ludzi, że jeśli wyjadą na weekend, mogą zostać odcięci od świata nawet na trzy dni.

Główne drogi prawdopodobnie do poniedziałku będą znów przejezdne, a lotnisko O'Hare zostanie otwarte. Lepiej jednak nie ruszać się z miejsca aż do wtorku i cieszyć się zimą.

Giselle zarezerwowała więc pokój aż do wtorku i za radą recepcjonistki zamówiła hotelowy samochód, który miał ją odebrać z lotniska, ponieważ w piątek po południu trudno tam o taksówkę. Była gotowa do drogi. Do Gareka. Musiała jeszcze tylko spakować zdjęcia i ubrania odpowiednie na zimę stulecia. Teraz nadszedł czas, by zadzwonić. By ujawnić prawdę o Grace.

W Carmel była dziewiąta jedenaście. W Chicago jedenasta jedenaście.

O tej później porze w słuchawce rozległ się głos nagrany na taśmę. Kobięcy głos. Miły, pogodny, zachęcający. Radiowy. Głos Kathleen.

Po sygnale Giselle przedstawiła się i podała swój numer. Potem powiedziała:

- Wiem, kim jest Grace. Poznałam ją w Nowym Orleanie dwadzieścia trzy lata temu. Była ze mną od osiemnastego do dwudziestego czwartego stycznia. Potem, aż do ukończenia szkoły średniej dziesięć lat później, mieszkała w sierocińcu.

Giselle podała imię i nazwisko, pod jakim poznała Grace, a także nazwę, adres i numer telefonu sierocińca, w którym mieszkała Grace. Grace nie miała pojęcia, jaka jest jej prawdziwa tożsamość.

Giselle powiedziała, że ma dwie fotografie Grace.

- Przyniosę zdjęcia jutro. Jeśli nie przeszkodzi burza, powinnam być w hotelu koło południa. Zadzwonię, kiedy dotrę na miejsce.

Zaczynała się pakować, kiedy zadzwonił telefon.

- Giselle. - Usłyszała w słuchawce miękki głos.

- Garek!

- Cześć.

- Cześć.

- Nie spałem, słuchałem wiadomości, a ty...

- Wiem, kim ona jest, Garek. Jestem pewna.

- Wierzę ci - powiedział. - Posiadając takie informacje, będziemy w stanie odszukać ją bardzo szybko. Nawet już jutro.



- Mam nadzieję. Ona musi poznać prawdę. Jak najszybciej. Przez mnie żyła w kłamstwie.

- Nie przez ciebie, Giselle. Przez Troya.

- Ale ja ją w tym utwierdziłam. Powtórzyłam to kłamstwo.

- W dobrej wierze.

Dobra wiara jest jak obietnica, którą złożył jej Garek. Skontaktuje się z nią, jeśli Kathleen nie jest w ciąży. A jeśli Kathleen spodziewa się dziecka? Wówczas muszą o sobie zapomnieć.

Takie były zasady. Teraz jednak Giselle planowała spotkanie z Garekiem, choć nic między nimi nie zmieniło się.

Grace Alisia Quinn musi zostać odnaleziona. Uratowana. A zdjęcia, które ma Giselle to namacalny dowód, że jej historia jest prawdziwa.

Garek wierzył w to, co powiedziała. Wierzył jej. Nie potrzebował dowodu.

Ani jej samej.

- Może lepiej, żebym nie przyjeżdżała do Chicago? Może wolałbyś się ze mną nie widzieć?

- Nie mogę się z tobą widzieć, Giselle - powiedział, choć oddałby życie, żeby ją zobaczyć.

W jego stłumionym, schrypniętym głosie usłyszała ból. Chciał ją zobaczyć. Ale nie mógł. Nie mógł tego zrobić żonie. Dziecku. Giselle. I sobie samemu.

- Rozumiem. Nie powinnam była...

- Nie rozumiesz, Giselle. Nie mogę cię zobaczyć. Dosłownie. Jestem niewidomy.

- Niewidomy? Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego. Może to przeznaczenie? Nie powiedziałem ci wtedy w Wenecji, co się stało z tym drugim komandosem, który przeżył.

- Z Johnem?

- Tak, z Johnem. Opuścił piechotę morską, ale potem wrócił. Ja też wróciłem, Giselle. Chociaż nie tak oficjalnie jak John.

- Brałeś udział... w akcjach?

- Tylko w akcjach ratunkowych. I tylko wówczas, kiedy mogłem wnieść coś istotnego.

- Dlatego pojechałeś wtedy do Genewy?

- Tak. Ale zakładnicy byli na Bałkanach.

- Tego mi nie powiedziałeś.

- Wiedziałem, że bałabyś się o mnie, i chciałem ci tego oszczędzić.

Naprawdę nie było powodu do niepokoju. To była prosta akcja. Zakładników przetrzymywano od tygodnia. Porywacze nie spodziewali się, że ktoś spróbuje ich uwolnić. Byli jednak początkującymi terrorystami, nieprzewidywalnymi. Mogli zacząć zabijać zakładników pod wpływem jakiegoś kaprysu. To naprawdę była łatwa akcja. Nie spodziewali się nas. Zachowałem się jednak jak nowicjusz w tym fachu. Dobrze, że zostałem tylko ranny.

- Dobrze?!

- Brak ostrożności to beznadziejna głupota. Ale jeśli w dodatku ryzykuje się życie innych ludzi, jest to głupota niewybaczalna. Dostałem to, na co zasłużyłem.

- Garek... Usłyszała cichy śmiech.

- Radzę sobie, Giselle. Bywało lepiej, ale jakoś żyję. Przystosowuję się do nowej sytuacji. I jestem bardzo wdzięczny geniuszom komputerowym, dzięki którym słyszę słowa pisane. Wygląda na to, że ciągle mogę zajmować się prawem.

- I prowadzić akcję.

- Raczej nie. Chociaż John czasem się ze mną konsultuje.

- Miałam na myśli akcję ratowania Grace.

- No tak. To dług wdzięczności wobec Jace'a Coltona. Jest chirurgiem i na szczęście dla mnie pracował wtedy jako ochotnik w szpitalu na Bałkanach. Nie

mógł przywrócić mi wzroku, ale zajął się innymi ranami, które mogły być śmiertelne.

- Uratował ci życie.

- Tak.

- A teraz ty chcesz odnaleźć Grace, uratować ją dla niego.

- I dla niej. Dla każdego, kto ją kochał. Nikt nie oczekuje, że ona będzie ich pamiętać. Chcą jednak, żeby wiedziała, kim jest i jak bardzo była kochana.

- Ja też tego chcę.

- A kiedy oznajmimy światu, że Grace się odnalazła, chcesz przy tym być?

Czy chce przyjechać do Chicago? Teraz, kiedy już wie, że Garek jest niewidomy?

- Bardzo chcę.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza. Czarna jak noc i ostra jak ostrze szpady.

- Więc przyjedź tu, Giselle, tak, jak planowałaś. Rano, przed burzą. Jednak będę mógł się z tobą... zobaczyć dopiero o wpół do ósmej wieczorem. Mam kilka spraw do załatwienia, więc nie będzie mnie w biurze przez cały dzień.

- W porządku, Garek. Rozumiem. Masz obowiązki wobec dziecka. Może to jednak nie jest dobry pomysł?

- Nie mam dzieci, Giselle. Kathleen nie była jednak w ciąży.

- Ale ciągle jesteście małżeństwem.

- Nie. Nie jesteśmy małżeństwem.

- Och!

Rozumiem. A co z obietnicą, jaką mi dałeś?

## Rozdział 13

*Hotel Wietrzne Kuranty, Chicago*

*Piątek, 20 lutego*

Głos w słuchawce telefonu należał do Olympii, sekretarki Gareka. - Dzień dobry! Witamy! - Nagrana wiadomość czekała na Giselle w jej apartamencie z widokiem na jezioro. Był to pewien postęp, jednak ktoś w tym mieście rozpoznał artystkę. - Kiedy już się pani rozgości, proszę do mnie zadzwonić.

Giselle oddzwoniła natychmiast. Nie zdążyła się jeszcze rozgościć. Nie zdążyła nawet ochłonąć po podróży. Jej samolot wylądował z dwugodzinnym opóźnieniem, spowodowanym tłokiem w korytarzach powietrznych.

- Już jestem. Zaraz do pani przyjadę.

- Może jestem stara, kochanie, ale jeszcze się poruszam. A Garek chce, żebym pokazała pani, jak dostać się tam, gdzie będzie on o siódmej trzydzieści wieczorem.

Olympia pojawiła się po dziewięciu minutach. Nie była wcale stara, miała koło siedemdziesiątki, była tak pogodna, jak jej głos, chodziła zwawo, a usta jej się nie zamykały. Od czasu do czasu przystawała nagle, żeby rozejrzeć się z zachwytem po hotelowym holu. Nad ich głowami dźwięczały śnieżne dzwonki Giselle, a ponad nimi przeszklony sufit ukazywał zupełnie białe niebo.

- Nie wygląda to na razie zbyt groźnie, prawda? - powiedziała Olympia. - Mieszkam jednak w tym mieście od lat, więc wiem, że to przysłowiowa cisza przed burzą. I właśnie z powodu tej burzy muszę pani towarzyszyć. Nie wiadomo, czy portier z nocnej zmiany stawi się dziś do pracy. Nie powinien, ale to bardzo obowiązkowy człowiek. Gdyby jednak rozsądek kazał mu zostać w

domu, muszę pani pokazać, jak otwierać drzwi, które napotka pani na swojej drodze. Garek oczywiście przyszedłby po panią, ale...

- Wiem, powiedział mi, że jest niewidomy.

- To by mu w tym nie przeszkodziło. Problem w tym, że nie może teraz dużo chodzić. Nie wolno mu. Zwłaszcza dzisiaj - powiedziała Olympia tajemniczo.

Dotarły do pierwszych drzwi. Giselle wystukała kod cyfrowy, podany jej przez Olympię, po czym rozległ się szcęk zamka. Pięć minut później, na końcu korytarza, musiała znów otworzyć drzwi, ale tym razem wstukała inny kod.

Podszedł do nich portier z dziennej zmiany, a kiedy Olympia przedstawiła mu Giselle, zaczął wyrażać swój zachwyt dla prac artystki. Powiedział, że dzięki jej dzwonom uwielbia tę pracę.

Garek mieszkał na ostatnim piętrze. Giselle i Olympia dotarły tam, wstukując trzeci kod cyfrowy na panelu znajdującym się na ścianie w windzie.

Drzwi mieszkania otwierało się nie kartą magnetyczną, ale staroświeckimi kluczami.

- Garek chciał, żebym sprawdziła... - powiedziała Olympia, otwierając drzwi i spoglądając na świeżo odkurzony, nieskazitelny dywan. - Widzę, że była tu już sprzątaczką. Wejdz, Giselle.

Apartament, który zajmował Garek, był wspaniały. Giselle szła za Olympią, a ich bose stopy zostawiały na dywanie lekkie ślady, których Garek nigdy nie zobaczy.

Wspaniały. Jednak emanował atmosferą samotności, którą Giselle natychmiast wyczuła. Samotnik, który tu mieszkał, polegał tylko na sobie. Sam pokonywał wyzwania.

W apartamencie było dokładnie tak, jak to opisał. Jasne, pastelowe ściany, żeby nic nie odrywało uwagi od wspaniałego krajobrazu, rozciągającego się za oknem, odbijającego się dodatkowo w wielkim na całą ścianę lustrze.

Krajobrazu, którego nie mógł już oglądać.

A w salonie stał *Wenecki świt*.

*Przeznaczenie*. Szklana rzeźba jarzyła się migotliwym, złotawym blaskiem, jakby nieświadoma ciemności, w jakiej żył Garek McIntyre. A może rzeźba po prostu uśmiechała się w ten sposób do Olympii, tak jak przez wiele lat uśmiechała się do Giselle.

- Wie pani, co się stało tamtego dnia na Bałkanach? - spytała Giselle. Tamtego ranka, który stał się dla Gareka początkiem niekończącej się nocy. - Garek powiedział, że była to operacja wojskowa, że zamierzali uwolnić zakładników.

Uśmiech na twarzy Olympii zgasł.

- Tak, tak było. Wiem, co się wtedy stało. Kiedy jego stan ustabilizował się na tyle, by można go było przetransportować do Chicago, nie chciał mówić o przeszłości. Jednak przychodzili do niego ludzie, którzy byli z nim tego fatalnego dnia. Garek został postrzelony i upadł do tyłu, uderzając głową o skałę. Uszkodził sobie płaty potyliczne i stracił wzrok.

- Jeśli była to operacja wojskowa, Garek powinien mieć na sobie kamizelkę kuloodporną. I hełm.

- Garek był pewien, że jest tylko czterech zakładników. Dla których zresztą przygotowano hełmy i kamizelki kuloodporne. Był jednak jeszcze piąty zakładnik, a właściwie zakładniczka. Młoda dziewczyna pochodząca z tamtych stron. Została schwytałą przez wrogów po to, żeby dostarczała im rozrywki.

- Zgwałcono ją?

- Wielokrotnie. Amerykańscy zakładnicy nawet nie wiedzieli o jej obecności. Była zbyt dumna, żeby krzyczeć. Albo zbyt przerażona. Kiedy wrzucono ją do pomieszczenia, w którym przebywali inni zakładnicy, była już umierająca. Garek został tak wyszkolony, że wiedział, co należy zrobić w takim przypadku.

- Skrócić jej cierpienia?

- Nie, nie wiem. Nie wyobrażam sobie, żeby Garek... W każdym razie Garek wiedział, że powinien ją tam zostawić. Co w sumie wychodzi na jedno, prawda? Skazałby ją w ten sposób na śmierć.

- Nie zrobił tego. Nie mógł. On jest ratownikiem.

- Tak, Garek jest ratownikiem. Dał tej dziewczynie swoją kamizelkę i swój hełm, sam ją ubrał, bo była nieprzytomna, a potem zaniósł ją tam, gdzie czekał na nich helikopter. To była świetnie przeprowadzona akcja. Wszystko szło zgodnie z planem, aż do chwili, kiedy ta dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą swojego największego wroga - mężczyznę. W agonii wyrwała mu jego własny pistolet i strzeliła. A potem umarła, nie wiedząc nawet, co zrobiła.

- Została zastrzelona?

- Nie. Razem z Garekiem odtransportowano ją do najbliższego szpitala polowego. Były tam kiepskie warunki, ale za to świetny personel.

- To tam pracował chirurg Jace Colton. Garek mówił mi o tym.

- Jace zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, by uratować tę dziewczynę. Zrobiłby to bez względu na to, co powiedział mu Garek. A Garek bardzo chciał, żeby przeżyła. Strasznie mu na tym zależało. Chyba bardziej niż na własnym życiu. Nalegał też, by nikt nigdy nie powiedział jej, co zrobiła. Jednak ona i tak nigdy nie odzyskała przytomności na tyle, żeby można jej było cokolwiek powiedzieć. Umarła. Garek sam spędził następne sześć miesięcy w różnych szpitalach. Rana dobrze się zagoiła, ale uderzenie potylicą o skałę zakończyło się utratą wzroku. Czy to jest sprawiedliwe?

- Nie, to nie jest sprawiedliwe. - Garek powiedział jej, że był nieostrożny. Zasłużyłem sobie na to. Nieostrożny? Dlatego, że tak bardzo chciał uratować konającą dziewczynę, która została wielokrotnie zgwałcona? - Ma szczęście, że pani z nim jest.

- Nie, kochanie, to ja mam szczęście. Właściwie to ja też zostałam uratowana przez Gareka McIntyre'a. W poprzedniej pracy spędziłam

czterdzieści siedem lat. Kiedy zaczynałam, umiałam tylko pisać na maszynie i segregować dokumenty. Jednak w miarę upływu czasu zaznajamiałam się z różnymi nowymi metodami, jakie pojawiały się na świecie, a także liznęłam trochę prawa. Nasza firma bardzo chciała zatrudnić Gareka. Miał być u nas zaklinaczem deszczu - kimś, kogo pani określiłaby zapewne jako ratownika. Jego wizyta zbiegła się z moimi sześćdziesiątymi piątymi urodzinami. Wiedziałam, że z końcem tygodnia zostanę zwolniona. Miałam przejść na emeryturę. Mój pierwszy szef cieszył się złotą jesienią swojego życia na słonecznej Florydzie, a firmą zaczęło rządzić młodsze pokolenie. Nie byłam gotowa na to, żeby przejść na emeryturę, nie czułam się dość stara. Moje trzy córki były wtedy jeszcze niezamężne i nie cieszyła ich perspektywa matczynej kurateli, którą pewnie bym nad nimi roztoczyła gdybym miała więcej czasu.

- Na pewno nie bały się tego aż tak bardzo.

- Nie. - Olympia uśmiechnęła się. Widać było, że kocha swe córki. - Ale, wracając do rzeczy, naprawdę lubiłam swoją pracę, znałam się na tym, co robiłam, a mój mąż, który prowadzi własną firmę, skończył wtedy sześćdziesiąt osiem lat i nie myślał jeszcze o emeryturze. Siedziałam w tym dniu w pracy z tortem urodzinowym i balonikami, kiedy przyszedł Garek. Zauważył, że nie jestem w najlepszym nastroju. I wtedy wrócił i oznajmił, że rozpoczyna samodzielną praktykę, a potem zaproponował mi pracę u siebie. Było to dziewięć lat temu. Zostałam jego sekretarką i jestem z tego dumna. Jestem też teraz babcią. Mam troje wnucząt.

- W dalszym ciągu nie myśli pani o emeryturze?

- Garek napomknął coś o tym na początku sierpnia. Muszę się zastanowić ze względu na wnuki. Chcieliśmy na jakiś czas zamknąć biuro, ale dosłownie następnego dnia przyszła wiadomość, że Grace żyje. Trzeba doprowadzić tę sprawę do końca.

- Jeśli sądzi pani, że Garek pani nie potrzebuje...

- Wiem, że mnie potrzebuje. I będzie mi go brakowało.



- A jemu będzie brakowało pani. Pani jest jego oczami.

- Nie, kochanie. Garek doskonale sam sobie radzi. Zajmiemy się tymi zdjęciami? Ja też mam jedno, które muszę pani pokazać. To jej zdjęcie naturalne. Ale najpierw zobaczmy te, które pani przywiozła.

Giselle wyciągnęła z torebki dwa zdjęcia i podała je Olympii.

- Biedactwo. - Zmarszczyła brwi Olympia. - Jaka zmiana w stosunku do zdjęć zrobionych zaledwie miesiąc wcześniej. I jest taka smutna. W sierocińcu uznali, że ma osiem lat, i trudno im się dziwić.

- Jeśli przyjrzy się pani rysom jej twarzy na tych wszystkich zdjęciach, zauważy pani... - Giselle nie musiała kończyć tego zdania, bo Olympia już kiwała głową. - Równie istotne jest to, w jaki sposób doszło do zrobienia tych zdjęć. Byłyśmy na zakupach, bo Grace potrzebowała kilku rzeczy na podróż. Kiedy zobaczyła kabinę polaroidu, pociągnęła mnie w tamtą stronę. Do tej pory była taka oswiała, a tu nagle ożywiła się. Chciała, żebyśmy zrobiły sobie zdjęcia razem. Nawet uśmiechnęła się do obiektywu. Po czwartym błysku flesza wiedziała, że to już koniec i co trzeba zrobić dalej. Wzięła dwie podwójne plastikowe osłony z szufladki, a kiedy zdjęcia były gotowe, zgięła je wzdłuż brzegów, przedarła na pół i dała mi dwa.

- Tak samo jak wtedy, kiedy była z Dinah.

- I tak samo linia przedarcia nie jest całkiem prosta, ale skrzywiona w prawo.

- Mnie też się tak wydaje. Co się stało później?

- Cała jej energia i determinacja zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. Stała ze zdjęciami w ręce dziwnie zakłopotana, jakby została wyrwana z hipnotycznego transu i nie pamiętała co robiła.

- Odtworzyła swoje wspomnienie.

- Tak sądzę.

- Mogę wziąć te zdjęcia na jakiś czas?

- Oczywiście.

- Czy Grace zabrała swoje zdjęcia?

- Tak. Ale jeśli nawet ciągle je ma, świadczy to tylko o tym, że jest tą samą dziewczynką, którą poznałam w Nowym Orleanie. Nie wiem, czy można ją zidentyfikować z Grace.

- Tak. To ona.

Olympia pokazała Giselle swoją fotografię. Było to czarno-białe portretowe zdjęcie, jakie często wykonuje się po ukończeniu szkoły średniej.

Teraz Giselle zmarszczyła brwi.

- Nie sądziłam, że dziewczynka, którą poznałam, kiedy miała sześć lat, będzie tak wyglądać w wieku szesnastu lat. I nie jest podobna do swoich rodziców, prawda?

- Tak. Przynajmniej ja nie dostrzegam żadnego podobieństwa. Kiedy obejrzałam to zdjęcie na ekranie mojego komputera, pomyślałam, że mimo wszystko musi się pani mylić. Ale zrobiłam z nim to, co ze wszystkimi innymi. Przesłałam je pocztą elektroniczną do Carolyn Logan.

- Wdowy po Troyu?

- Tak. Carolyn nie była jedyną osobą, która uwierzyła w kłamstwa Troya. A teraz zaangażowała się w poszukiwania Grace jak wszyscy inni. Wprawdzie jej zaangażowanie wynikało raczej z poczucia winy niż z miłości. Dwadzieścia trzy lata temu nie miała najmniejszej ochoty adoptować osieroconej córeczki Mary Beth. Ten egoizm spowodował zapewne, że znacznie mniej interesowała się planami Troya co do Grace, niż powinna. A ja pomyślałam sobie, że może właśnie dlatego będzie bardziej obiektywna. Bardziej zdystansowana. Poza tym Carolyn Logan mieszka obecnie daleko stąd, w Palm Springs, gdzie nachodzą ją dziennikarze. Powiedzieliśmy wszystkim zainteresowanym, że nie będziemy ich o niczym informować, zanim nie uzyskamy pewności, że znaleźliśmy Grace. Nie planowaliśmy pokazywania nikomu zdjęć, ale zrobiliśmy wyjątek dla Carolyn. Kiedy dostałam pierwsze z wielu zdjęć osób podobnych do Mary Beth,

wysłałam je do niej. Jednak Carolyn nie znalazła żadnego podobieństwa do prawdziwej Mary Beth Quinn.

- Dostaliście tyle zdjęć? W ciągu tygodnia?

- Zdumiewające, prawda? Wszystkie od kobiet, które naprawdę wierzyły, że mogą być Grace.

- Carolyn powiedziała, że dziewczyna na tym starym maturalnym zdjęciu wygląda jak Mary Beth?

- Powiedziała, że to jest Mary Beth. Sposób trzymania głowy, oczy, wyraz twarzy. Znała Mary Beth bardzo dobrze. Razem chodziły do szkoły średniej i w pewnym sensie rywalizowały o względy Troya. Była strasznie przejęta, kiedy zadzwoniła. Ciekawa jestem, co powie o pani zdjęciach. Ona wie, jak Grace wyglądała po pożarze. Widywała ją codziennie przez trzy tygodnie, kiedy Grace była ukryta w domu Troya w Loganville.

- Trzeba jak najszybciej wysłać do niej te zdjęcia, żeby zdążyła pani wrócić do domu przed śnieżycą.

- Proszę się nie martwić, zdążę. - Olympia z miną eksperta spojrzała na zaciągnięte chmurami niebo. - Mamy jeszcze co najmniej półtorej godziny. Dopiero wtedy zacznie padać. Carolyn odpowie w ciągu kilku minut, a kiedy wrócą nasi detektywi, przekażę Garekowi najnowsze dane. Może nawet uda się zdobyć obecny adres Grace. Ale dowie się pani tego od Gareka. Chciałabym, żeby miał jakiś udział w tym wielkim dniu. Włożył w to tyle pracy.

- Mówił, że ma dziś do załatwienia jakieś sprawy poza biurem.

- Sprawy? Tak, chyba można to tak określić. Robią mu arteriogram mózgu. Sam arteriogram to zabieg standardowy, polegający na wprowadzeniu małych cewników do naczyń krwionośnych w mózgu. Nowością jest to, co wprowadza się przez te cewniki. Garek twierdzi, że nic go przy tym nie boli, ale to nieprawda.

- Poddaje się temu dziś nie po raz pierwszy?

- Po raz szósty. I ostatni. Przeprowadzano te zabiegi co trzydzieści dni, ale nie uzyskano zadowalającego efektu.

- Miało mu to pomóc odzyskać wzrok?

- Tak. Sześć miesięcy temu Garek był pełen nadziei. Zaczął już widzieć światło. Rozumie pani: światło tam, gdzie przedtem była tylko ciemność. Jest coraz więcej dowodów na to, że może się odnawiać uszkodzona tkanka serca. Uszkodzone mięśnie pozostają jakby w stanie hibernacji, uśpienia, czekają, aż nowo utworzone arterie obudzą je znowu do życia, dostarczając im tlenu. Specjaliści uważają że również kora mózgowa może zacząć się odtwarzać. Tak zaczęło się to doświadczenie.

- Doświadczenie?

- Odtwarzanie uszkodzonej kory mózgowej to pomysł jeszcze całkiem nowy. Wynaleziono obiecujący lek, który wprowadzany przez cewniki powoduje taki ból. Garek dostaje dużą jego dawkę co trzydzieści dni, a trzy dni po każdym takim zabiegu przeprowadzane jest badanie mózgu za pomocą kontrastu.

- I co?

- Nic poza bólem, do którego Garek się nie przyznaje, i nadzieją o której wspomniał na początku. Wszyscy zareagowali bardzo entuzjastycznie po pierwszym arteriogramie. Bardzo nieostrożny optymizm. Światło, które zaczął widzieć, stało się potem jeszcze jaśniejsze, nieprzyjemnie ostre, jakby patrzył prosto w słońce. A na tle tej jasności widział cienie, jakieś kształty. Po dwudziestu czterech godzinach jasność zaczęła znikać. Lekarze spodziewali się, że po każdym kolejnym zabiegu cienie i kształty będą coraz wyraźniejsze, aż wreszcie Garek odzyska wzrok.

- Ale tak się nie stało?

- Ciągłe pojawia się to przykre ostre światło. I znika tak szybko jak za pierwszym razem. Po trzecim zabiegu stało się jasne, że nic to nie da. Jednak

Garek zgodził się na udział w całym doświadczeniu, na sześć arteriogramów i sześć badań mózgu. Właśnie dziś jest w szpitalu.

- Jednak wraca wieczorem do domu? Nie powinien zostać tam na noc?

- Oczywiście, że powinien! Zwłaszcza że o dziesiątej nastąpi najgorsza część tego doświadczenia, które okazało się kompletnym fiaskiem.

Garek ma wtedy wziąć antidotum. Odtrutkę. Specyfik, który dostawał, jest bardzo toksyczny. Trzeba go zneutralizować osiem godzin po zakończeniu zabiegu. To nic nowego. Od dziesięcioleci stosuje się taki system leczenia w onkologii. W przypadku nowotworu komórki rakowe wchłaniają lek szybciej i w większych ilościach niż normalne komórki. W rezultacie tego dostają większą dawkę trucizny i giną. Jednak zdrowe komórki czekałby po pewnym czasie taki sam los. gdyby choremu nie podano antidotum. Nikt nie chce, żeby zaczęły ginąć komórki kory mózgowej Gareka.

- To jest gorsze niż arteriogram?

- Znacznie gorsze. Powoduje silne mdłości i bóle, przychodzące falami przez wiele godzin.

- Kto jest wtedy przy nim?

- Nikt. Garek sam wstrzykuje sobie dożylnie antidotum. Przez wenflon, który mu zakładają przed wyjściem ze szpitala. Antidotum znajduje się już w strzykawce. Garek od razu wie, czy wstrzyknął sobie lek prawidłowo, bo komórki reagują natychmiast.

- A jeśli coś się nie uda?

- Garek twierdzi, że to wykluczone.

- Jednak ktoś powinien być przy nim, pomóc mu, upewnić się, że wszystko w porządku.

Okazać mu miłość.

- On sobie tego nie życzy. A z medycznego punktu widzenia nie jest to konieczne. Oczywiście pierwszym razem został w szpitalu. Jednak jego stan był zupełnie stabilny. A ponieważ odmówił przyjmowania jakichkolwiek środków,

które mogłyby znieść skutki uboczne antidotum - nawiasem mówiąc lekarze twierdzili, że im mniej specyfików będzie znajdować się w tym czasie w jego krwi, tym lepiej - personel szpitala naprawdę niewiele mógłby dla niego zrobić. Garek woli, żeby nikt go nie widział podczas paroksyzmów bólu... Cóż, rozumiem go.

- Ja też. Będzie pani z nim rozmawiać przed wyjściem?

- Na pewno.

- Proszę mu powiedzieć, że wiem o zabiegu, więc jeśli chce przenieść nasze spotkanie, nie mam nic przeciw temu. Możemy zobaczyć się jutro albo wtedy, kiedy zechce.

- Powiem mu. Jednak on nie przenieże tego spotkania.

## Rozdział 14

Zgodnie z przewidywaniami Olympii Garek nie odwołał spotkania.

Olympia zadzwoniła tuż po piątej. Powiedziała, że już wychodzi. I że zaczęło już padać.

Garek miał wyjść ze szpitala trochę później niż zwykle z powodu krwawienia z żyły na nodze. O siódmej trzydzieści będzie już siedział, a nawet chodził - byle niezbyt daleko.

Olympia powiedziała też, nie zdradzając jednak szczegółów, że wiadomo już, gdzie mieszka Grace, i że Carolyn Logan rozplakała się ze wzruszenia, kiedy zobaczyła zdjęcia przywiezione przez Giselle.

Olympia zostawiła w apartamencie Gareka dyskietkę. Jedyne plik, jaki się na niej znajdował - GAQ, zawierał wszystkie dane na temat poszukiwań Grace Alisii Quinn, od przesłuchań, przeprowadzonych jesienią ubiegłego roku w Loganville, do informacji, zebranych w ciągu kilku ostatnich dni. Poprosiła Giselle, by poinformowała o tym Gareka.

Potem Olympia poszła do domu. Miała czas, żeby bezpiecznie tam dotrzeć. Rozpadało się na dobre koło wpół do siódmej. Anioły znowu dokazywały, sypiąc biały puch ze swoich poduszek.

Białe piórka z tysięcy miękkich poduch.

Piętnaście po siódmej, kiedy ruszyła w drogę do mieszkania Gareka, połyskliwy biały dywan pokrywał cały świat.

Giselle musiała korzystać z kodów cyfrowych, podanych jej przez Olympię, ponieważ drzwi były pozamykane. Dotarła do holu sześć minut przed czasem. Przez chwilę czytała spis lokatorów. Śnieżne dzwonki szemrały cicho nad jej głową. W spisie uwzględniono tylko firmy mieszczące się na pierwszych dwudziestu dwóch piętrach. Było wśród nich biuro Gareka oraz radio i telewizja.

Czy Kathleen ciągle tu pracuje? Czy ta powszechnie znana dziennikarka radiowa ciągle mieszka na jednym z wyższych pięter?

Czy widuje czasem Gareka, choć on nie może jej zobaczyć?

Giselle znalazła się na ostatnim piętrze o siódmej dwadzieścia dziewięć. Drzwi apartamentu otworzyły się, zanim zdążyła nacisnąć dzwonek.

A w drzwiach stał on. Mężczyzna, którego kochała. Przystojniejszy nawet niż wtedy w weneckiej mgle. Taki przystojny. Ale szczupły. I blady.

Jak na prawnika miał trochę za długie włosy. A już stanowczo za długie jak na byłego komandosa, który nie potrafił zerwać z przyzwyczajeniem ratowania ludzi - aż do chwili, kiedy spowiła go ciemność.

Pochłaniając wzrokiem mężczyznę, który jej nie widział, Giselle pomyślała, że Garek nie jest jednak przesadnie wychudzony ani chorobliwie blady.

Czy jej naprawdę nie widzi?

Przecież patrzył jej prosto w oczy. A jego oczy były takie niebieskie. Ciepłe i ciemne, czułe i niebezpieczne.

Jak bezdenny ocean kłamstwa.

Jeśli Kathleen nie jest w ciąży, skontaktuję się z tobą...

- Tak - powiedział. - Jestem całkowicie niewidomy.

A więc czytał w jej myślach, ciągle potrafił ją przejrzeć.

- Witaj, Giselle.

- Witaj, Garek.

- Wejdz, proszę.

- Dziękuję.

Weszła na miękki dywan, odkurzony specjalnie dla niej, i dalej, do apartamentu, który - także specjalnie dla niej - był jasno oświetlony.

- Olympia powiedziała mi, że nie potrzebuję cię oprowadzać.

- To prawda. Mówiła też, że nie powinieneś dużo chodzić.

- Nie będę dużo chodził. Zresztą czuję się świetnie.

Chciała dotknąć tego mężczyzny, którego nigdy jeszcze nie dotykała.

Wtedy już nigdy nie pozwoliłaby mu odejść. Również on powiedział kiedyś, że gdyby raz odważył się wziąć ją w ramiona, już nigdy nie wypuściłby jej z objęć.

Giselle nie dotknęła go. Nie odważyła się.

- Szczerze mówiąc, nie czuję się tu najlepiej - powiedziała tak lekko i pogodnie, jak tylko zdołała. - Jest tu zdecydowanie za jasno. Zupełnie jakbym patrzyła prosto w słońce. Nie wydaje ci się?

- Tak, ale to minie za kilka godzin. Widzę, że rozmawiałaś z Olympią na różne tematy.

- To cudowna osoba.

- Owszem.

- Więc mogę przygasić trochę to światło?

Ten oślepiający blask, który znosisz ze względu na mnie, choć przysparza ci takich cierpień.

- Oczywiście. Może ja to zrobię?

- Nie, Garek. Ty masz siedzieć, pamiętasz?

- Pamiętam.



Usiadł na jednej z dwóch jednakowych sof, stojących w salonie. Ale wyraźnie czekał, żeby Giselle także usiadła.

Giselle szybko przeszła po pokoju, gasząc kolejne lampy, a Garek wędrował za nią spojrzeniem błękitnych niewidzących oczu. Jakby wyczuwał jej niemal bezszelestny ruch. A może tylko jego obolałe oczy szukały wytchnienia w mroku, jaki powoli zapadał w pokoju?

Mrok. Żółte światła pogasty. Garek żyje w mroku. W ciemności. Spadające z nieba kryształowe płatki śniegu odbijały światła miasta, migoczące poniżej, a wielkie lustro wewnątrz mieszkania powielало ich blask. Blask, który zniknął dopiero wtedy, kiedy Giselle zaciągnęła grube, ciężkie zasłony.

- Zrobione - powiedziała. - Tak lepiej?

- Dla mnie, tak. Jednak dla ciebie jest chyba trochę za ciemno.

- Ale skąd! - Miała przecież zdrowe oczy. W tej ciemności była tylko gościem. W ciemności, która wydawała się teraz taka gęsta i nieprzenikniona. To była jego ciemność. Mimo doskonałego wzroku z trudem rozróżniała kształty sprzętów. - Ale tobie... musi być bardzo ciężko.

- Nienawidzę tego, Giselle.

W jego głosie nie było goryczy. Żalu. Gniewu. Tylko spokojna, prosta, a zarazem tak bardzo złożona prawda.

- Ja też tego nienawidzę, ze względu na ciebie.

- Tylko do siebie mogę mieć o to pretensje.

- Czyżby?

A ta rzeźbiarka, która opowiedziała ci o dziewczynie imieniem Gigi zaledwie kilka godzin przed twoim wyjazdem na Bałkany? Dziewczyna, która - jak to określiłeś - została wielokrotnie zgwałcona? Czy nie myślałeś o Gigi, kiedy postanowiłeś ocalić jeszcze jedną zgwałconą, naprawdę zgwałconą, niewinną istotę?

Giselle nie powiedziała tego głośno, ale Garek wiedział, co oznaczało jej lakoniczne pytanie.

- Naprawdę, Giselle - powiedział szybko i zdecydowanie. I dodał: - Wyłącznie dzięki sobie samemu widzę teraz trochę mniej, niż chciałbym widzieć. Ale daję sobie radę. I jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc w odszukaniu Grace.

Dziękował jej za światło, jakim było odnalezienie Grace, nie za ciemność, której była przyczyną. A w jego głosie Giselle usłyszała coś jeszcze: znaleźli się tu razem tej śnieżnej nocy wyłącznie z powodu Grace.

Ale przecież Garek i Giselle nadal istnieli. I oboje wiedzieli, że również innym razem będą ze sobą rozmawiać.

Te półtorej godziny, zanim Garek wstrzyknie sobie remedium, spędzą, rozmawiając o Grace.

Giselle po omacku odnalazła drugą sofę i usiadła naprzeciw niego. Nie widziała go jeszcze, ale mimo ciemności czuła się tu dziwnie bezpieczna.

- Olympia powiedziała mi, że wiesz już, gdzie mieszka Grace.

- Wiem. I powiem ci. Jednak może najpierw ty opowiesz mi o tych sześciu dniach w Nowym Orleanie?

- Oczywiście, chociaż nie sądzę, żeby ona cokolwiek z tego pamiętała.

- Fakt, że wtedy tak ciągnęło ją do kabiny polaroidu, wskazuje, iż coś zaczęła sobie przypominać.

- Pierwszy raz zobaczyłam ją, jak stała na chodniku przed wejściem do kliniki. Kilka kroków dalej stała moja matka. Wtedy w Wenecji powiedziałam ci, że moja matka była uzależniona od heroiny.

- Uzależniona i zrozpaczona.

Giselle dostrzegła teraz światło w ciemności. Światło pochodzące z dwóch źródeł. Pierwsze, bledsze, pochodziło od Weneckiego świtu. Źródłem drugiego, jaśniejszego, był on, Garek.

- Pamiętasz - wyszeptała.

W jego ciemnych, niebieskich oczach dostrzegła błysk zdumienia. Czy naprawdę sądziła, że mógłby zapomnieć choć jedno słowo?

- Ty i twoja matka miałyście wkrótce wyjechać do Wenecji. Na karnawał. Do Armande'a.

Ogień przygasł, a potem zniknął.

- Miałyśmy jechać za dziesięć dni - odparła Giselle. - Dlatego moja matka była w klinice. Miała się poddać leczeniu w Wenecji, wszystko zostało już ustalone. Sądzoneo jednak, że będzie lepiej, jeśli zacznie odwyk jeszcze w Nowym Orleanie. Personel kliniki dobrze ją znał, ale mimo wcześniejszych nieudanych prób lekarze zgodzili się znowu ją przyjąć. Tym razem była tak pełna nadziei, wierzyła, że podróż do Wenecji ją uzdrowi. Wtedy, osiemnastego stycznia, była czwarty dzień na methadonie. Dostawała duże dawki, była więc ospała i oszołomiona. Właśnie dlatego stała na chodniku i czekała, aż odprowadzę ją do domu. Podchodząc, zauważyłam Grace. Małą, samotną dziewczynkę. Pomyślałam, że na pewno ma raka. Szła na parking tak powoli, z takim wysiłkiem.

- Nie widziałaś Troya.

- Nie. Jednak na pewno znajdował się gdzieś w pobliżu. Byłam skoncentrowana na matce i na Grace. Nie wiem, kim był mężczyzna, który rozmawiał z moją matką. Powiedział, że jest rybakiem. Troy mógł go wynająć, zapłacić mu za to, żeby powiedział to wszystko, ale...

- To nie byłoby w jego stylu? Masz rację. On uwielbiał sam grać, kłamać, zmyślać. Za nic w świecie nie przepuściłby takiej okazji.

- Był potworem.

- Tak.

- I prawdopodobnie obserwował nas. Jeśli istotnie tak było, to widział, że moja matka oprzytomniała trochę, kiedy wzięłam ją pod rękę. Powiedziała bardzo zdecydowanie, że ta dziewczynka ma pójść z nami. Przez chwilę wydawała się całkiem przytomna. Wzięła neseser Grace. Ja zajęłam się samą Grace. Potem, płacząc się trochę, matka powtórzyła mi, co powiedział jej rybak. Dziewczynka straciła oboje rodziców tuż przed Bożym Narodzeniem. Najpierw

zginął jej ojciec, zadźgany nożem w knajpianej bójce, a w Wigilię jej matka targnęła się w rozpacz na swoje życie, skacząc z okna.

- Z córką na rękach?

- Tak. W ten sposób Troy wyjaśnił, dlaczego dziewczynka była niema i miała ogoloną głowę. Neurochirurdzy mieli zamiar ją operować, ale w ostatniej chwili doszli do wniosku, że nie ma takiej konieczności. Oczywiście to Troy ogolił jej włosy. Nie było to konieczne, bo wtedy nikt jeszcze nie szukał Grace Alisii Quinn. Myślę, że zrobił to z okrucieństwa. Ale jej włosy naprawdę bardzo pociemniały, prawda? Aż trudno uwierzyć.

- Włosy Grace i tak zapewne ściemniałyby z czasem. Tragiczne przeżycia, których doświadczyła, przyspieszyły ten proces. Tak jak w przypadku dorosłych ludzi, którzy pod wpływem silnego szoku mogą osiwieć w ciągu jednej nocy.

Giselle zastanawiała się, czy Garek wie, że jego włosy są nadal ciemne i lśniące?

- Troy stworzył fikcyjną przeszłość Grace i w ten sposób przesądził też o jej przyszłości. Bo ja powtórzyłam tę historię wychowawcom z sierocińca, którzy, kiedy nadszedł czas, opowiedzieli ją samej Grace.

- Musiałś to uczynić, Giselle. Podobnie jak oni.

- Wszyscy robiliśmy dokładnie to, co on chciał. Oczywiście ułatwił sobie sytuację, powierzając dziewczynkę narkomance, której dał jeszcze coś na zachętę.

- Pieniądze?

- Dwadzieścia dziewięć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów i dwadzieścia centów. Tyle było w neseserze. W starych, zniszczonych banknotach, owiniętych gumkami. A monety, dwie piątki i dziesiątka, były włożone do plastikowego pojemnika na drugie śniadanie. Czy wysokość tej kwoty ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem. Muszę sprawdzić przy użyciu odpowiedniego programu komputerowego różne daty i rocznice. Moim zdaniem niczego ważnego się nie dowiemy. Myślę, że po prostu zostało mu tyle pieniędzy z tych, które wziął ze sobą, kiedy wyjeżdżał z Grace z Loganville. Carolyn twierdzi, że zawsze trzymał w domu tysiące dolarów w gotówce.

- Niewielka kwota, nawet dwadzieścia trzy lata temu, dla kogoś takiego jak Troy, ale cała fortuna dla mojej matki. Nie wiedziała, ile pieniędzy jest w neseserze, dopóki nie otworzyła go u Monique, ale rybak obiecał jej, że będzie to duża suma.

- Jak to wyjaśnił?

- Powiedział, że rodzice Grace byli jego sąsiadami. Mieszkali w takiej samej ubogiej chałupie jak on sam. Kiedy jednak po ich śmierci wszedł do ich domu, żeby poszukać koszulki nocnej dla Grace, która znajdowała się w szpitalu, odkrył, że nie byli wcale tacy biedni. Plastikowa torba, w której znalazł pieniądze wskazywała na to, że ojciec dziewczynki handlował narkotykami. Rybak powiedział, że sam miał ochotę zatrzymać pieniądze. Odezwało się w nim jednak sumienie. Powiedział lekarzom, że jest krewnym Grace i zajmie się nią, kiedy będzie już mogła wyjść ze szpitala.

Niewiarygodne, prawda? Jak lekarze mogli tak beztrosko oddać dziecko?

- Nie wiem, czy to takie niewiarygodne. Powiedział, że przywiózł Grace do Nowego Orleanu, szukając pomocy u specjalistów.

- Tak. Właśnie wchodził do kliniki, kiedy zauważył moją matkę, według niego bardzo podobną do Grace. Co oczywiście było kłamstwem. Amy Louise Trent wyglądała dokładnie na to, kim była - na prostytutkę i narkomankę, która nigdy nie poszłaby na policję, choćby popełniono największą zbrodnię. A nam wtedy nawet nie przyszło do głowy, że popełniono zbrodnię.

- Oczywiście. Miałyście w tym neseserze dwadzieścia dziewięć tysięcy powodów, by uwierzyć w słowa Troya - powiedział Garek cicho. - A dla twojej matki było to dwadzieścia dziewięć tysięcy powodów, by uciec.

- Uciekła tej nocy, zabierając pieniądze Grace i broszkę Monique. Nawet gdyby banki były otwarte o tej porze, nie mogłybyśmy wpłacić pieniędzy na konto, bo go nie miałyśmy. Co innego Monique, która miała też sejf w rezydencji. Jednak Monique była w Savannah i miała wrócić dopiero rano.

- A ty wierzyłaś, że twoja matka chciała jechać do Wenecji?

- Naprawdę w to wierzyłam. Przez myśl mi nie przeszło, że moja matka mogła okraść sierotę... Cóż, byłam wtedy bardzo naiwna.

- Kochałaś matkę i ufałaś jej.

- Wierzyłam, że i ona mnie kocha. A dlaczego nie zabrała nas ze sobą? We trójkę mogłyśmy wszystko zacząć od nowa. Zamiast tego wzięła wszystkie pieniądze. Zostawiła tylko dwadzieścia centów. Według Monique przez przypadek.

- Ale ty wierzysz, że zrobiła to celowo. Przez sentyment. Tak jak wzięła broszkę Monique i twój szkic.

- Tak sądziłam. Nadal w to wierzę. Te monety były jedyną namacalną pamiątką, jaka została tej dziewczynce po matce i po dawnym życiu. Moja matka nie zostawiła jednak valium, które również znajdowało się w neseserze. Troy powiedział, jaką dawkę ma dostawać Grace. Cztery razy dziennie po jednej tabletki. To były dziesięciomiligramowe pigułki. Często widywałam w życiu valium, więc wiem, jak silna to dawka dla takiego dziecka.

- Duża nawet dla Carolyn Logan, która od tego straszego Bożego Narodzenia brała tyle samo valium, bo Troy na to nalegał.

- Usypiał je obie.

- Chciał też, żeby Grace nie miała żadnych nowych wspomnień z okresu, który spędziła z nim. Dostałaś więcej valium dla Grace?

- Nie. Monique mogła je dostać, ale zajęła się ważniejszymi sprawami. Miała obsesję na punkcie ukarania mojej matki. Założyła fundusz powierniczy dla Grace i umieściła ją w najlepszym prywatnym sierocińcu, jaki można było znaleźć. Ja chciałam zabrać Grace ze sobą do Wenecji. Jeśli moja matka była

podobna do jej matki, to i ja muszę być trochę podobna do niej. Jednak Monique zaprotestowała. Biorąc pod uwagę, że wszystko to było jednym wielkim kłamstwem, dobrze się stało. Czy miała bardzo ciężkie życie?

- Chyba nie. Grace lubiła się uczyć i świetnie radziła sobie w szkole. Skończyła studia. Funduszem powierniczym zarządzano bardzo rozsądnie. Do czasu, kiedy mogła sama nim rozporządzać, to znaczy pod koniec twojego dziesięcioletniego układu z Monique, było w nim dość pieniędzy, żeby starczyło jej na resztę życia. To jej majątek, Giselle. Majątek, który ty jej dałaś. Dałaś jej wolność. Grace może żyć tak, jak chce.

- Wkrótce w jej życiu zajdzie wielka zmiana. Ktoś będzie musiał tego dokonać.

- Tak. I chciałbym z tobą porozmawiać o tym, kto to mógłby być...

## Rozdział 15

*Wieże Wietrznych Kurantów, Denver*

*Piątek, 20 lutego*

**D**eszcz. Deszcz. Deszcz. Z okien swojego apartamentu na ostatnim piętrze wieży Pierce patrzył na lejące się z nieba strugi wody.

Opromienione poświatą dalekiego miasta krople wody na szybach połyskiwały jak drogocenne klejnoty.

Szmaragdowe krople. Jak te zielonkawe szklane kulki, które zdawały się spadać z cichym brzękiem, pod sufitem w hotelu Wietrznych Kurantów w Seattle. Giselle wiedziała, co robi, kiedy tworzyła szmaragdowy deszcz dla szmaragdowego miasta. Równie słuszną decyzję podjęła w przypadku hotelu z San Francisco, gdzie dziesiątki maleńkich tramwajów wspinało się gdzieś do

gwiazd, dzwoniąc, jak prawdziwe tramwaje. W Dallas natomiast Giselle stworzyła...

Pierce'owi na chwilę udało się oderwać myśli od Anastasii. Niestety tylko na krótką chwilę. Jego umysł - a może serce - nie dawał się tak łatwo zwieść. Zwłaszcza że szmaragdowy deszcz skojarzył mu się z pracami Giselle, która miała stworzyć jego samotną łyżwiarkę. Jego Anastasię.

Co mogłoby mu pomóc zapomnieć o Anastasii? Nic. Wszystkie tematy, nawet najbardziej odległe, prowadziły do niej.

Nie zadzwoniła. Nie odpowiedziała na jego telefon. A z całą pewnością dostała jego wiadomość. Pani Holt przekazała ją Anastasii tego ranka, tak jak obiecała.

Kiedy Pierce zadzwonił do szkoły, pani Holt powiedziała, że Ana czuje się już lepiej. Nie, nie przyjdzie dzisiaj. Nie ma sensu ryzykować nawrotu choroby, która zaczęła właśnie ustępować.

Poza tym, zauważyła pani Holt między dziewiątą a dziesiątą ma być nadany w telewizji program poświęcony zaginionej Grace. Ana chce go obejrzeć, a ponadto koło południa spodziewa się bardzo ważnej przesyłki.

Owszem, ktoś mógłby odebrać przesyłkę i zanieść Anastasii do mieszkania.

Sama pani Holt nie będzie oglądała programu. Jako ranny ptaszek wczesnie chodzi spać. Ale nagra go. Takie nagrania porobią też pewnie wszystkie dziewczynki ze szkoły.

Pierce poprzedniego wieczora rozmawiał z Val. Opowiedziała mu o nowożeńcach, o miesiącu miodowym w Maui, o zachwycających wielorybach, tropikalnej roślinności. Bardzo często dzwonią do domu, żeby o tym wszystkim opowiedzieć i podzielić się radością.

Pierce też dostarczył Val najnowszych wiadomości. Ekipa budowlana wróciła na Carillon Square, co oznacza, że problem, nie istniejący dla nikogo poza architektem, został wreszcie rozwiązany.



Pierce podzielił się z siostrą swoim pomysłem, choć nie zdradził jego pochodzenia. Val wpadła w zachwyty. Nie może się już doczekać chwili, kiedy sama założy łyżwy na nogi. Jazda na łyżwach i zakupy - fantastyczne połączenie!

W końcu, zgodnie z jego przewidywaniami, rozmowa zeszła na Grace. Val należała do organizatorów ogólnoszkolnego spotkania Klubu Książki, poświęconego tej sprawie. Postanowiono, że nie będzie żadnych gości. Żadnych kamer telewizyjnych. Tylko dziewczynki, ich ukochana pani bibliotekarka i ci rodzice, którzy wyrażą chęć uczestnictwa w spotkaniu.

Zaproszenie dostanie też Pierce, zwłaszcza że jest już zaangażowany w tę sprawę.

„Zaangażowany”.

Było to określenie, jakiego z żartobliwą ironią używano w odniesieniu do Pierce'a dość często - zanim poznał Anastasię. Kobiety, które znał przed Anastasią, szczegółowo opowiadały dziennikarzom magazynu „High Mile” o tym, jak to kawaler uznany za najlepszą partię w mieście nie chce się angażować uczuciowo. Pierce Rourke woli pozostać emocjonalnie niezaangażowany.

A ta Walentynkowa noc na Wyspie Marzeń?

Zapytał ją wtedy, czy uważa, że nie powinni się angażować. Że byłoby to nierozsądne. Bo jeśli tak, to już jest za późno. On się zaangażował. Chciał tego.

Odparła, że ona tego nie chce.

- Zaangażowany, Val?

- Czyż nie wysłałeś pocztą elektroniczną listu do Gareka McIntyre'a? Nie zaoferowałeś mu swojej pomocy?

Owszem, zrobił to. I tą samą drogą dostał od Gareka podziękowanie i zapewnienie, że chętnie skorzysta z jego pomocy.

Pierce nie powiedział jednak Val, jak szybko nadeszła odpowiedź Gareka.

Teraz, patrząc na spływające po szybie krople deszczu, zaczął to analizować.

Odpowiedź Gareka dostał pocztą elektroniczną w ciągu kilku minut. To zbyt mało czasu, by sprawdzić, czy Pierce istotnie jest prawnikiem, za którego się podał.

Teraz Pierce zaczął się zastanawiać, czy dlatego otrzymał tak szybko odpowiedź, że znany był jako wybitny architekt.

Prawnik Wietrznego Miasta osobiście mógł się przekonać o talencie i solidności Pierce'a, skoro pracował i mieszkał w Wietrznych Kurantach.

Myśli Pierce'a, jak krople deszczu na szybie, znowu ześlizgnęły się w stronę Anastasii.

Kiedy zadzwonił telefon, w jego serce wstąpiła nadzieja. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Pierce? Mówi Giselle.

- Giselle. - A więc nie Anastasia. Jednak na pewno dzwoni w sprawie Anastasii. Dzwoni, żeby mu powiedzieć... - Masz jakieś wątpliwości, co do mojej łyżwiarki?

- Nie. Widzę ją bardzo wyraźnie. Dokładnie tak, jak mi ją opisałeś. Prawdę mówiąc, dzwonię w zupełnie innej sprawie. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Od początku, Giselle.

- Dobrze. Jestem właśnie w Chicago z Garekiem McIntyre'em.

- Z tym prawnikiem, który zajmuje się poszukiwaniami Grace?

- Tak.

- Sądzymy, że ją odnaleźliśmy - powiedziała.

- Jesteśmy pewni, że ją odnaleźliśmy - wtrącił się Garek. - Dzięki Giselle.

- Ty ją znasz, Giselle?

- Znałam ją, Pierce, ale bardzo krótko. Poznałam ją wtedy, w styczniu, kiedy Troy się jej pozbył. Była u mojej matki w Nowym Orleanie tylko sześć dni, ale wiem, gdzie przebywała w ciągu następnych dziesięciu lat, a ponieważ

pozostała przy nazwisku nadanym jej przez Troya odnalezienie Grace zabrało pracownikom Gareka niecały dzień. Jest teraz w Denver.

W Denver, w mieście, po którym on sam włóczył się wiele lat temu, szukając jej zabójcy i modląc się za nią. W mieście, w którym otrzymał dar łaski. Grace jest w Denver.

- To cudowne - powiedział Pierce. - Niesamowite. Wydawało się, że trudno będzie ją znaleźć. Czy mogę w czymś pomóc?

Pomóc dziewczynce, która wówczas gdy błąkał się po zaśnieżonych ulicach, odmieniła jego życie.

- Jeśli chcesz.

- Bardzo chcę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- To wspaniale - powiedziała Giselle. - Dziękujemy. Pomyśleliśmy, że zechcesz się w to włączyć. Byliśmy tego pewni do tego stopnia, że już posłaliśmy do ciebie pocztą elektroniczną wszystko, czego Garek i jego informatorzy zdążyli się dowiedzieć o jej dzieciństwie w Loganville i dalszym życiu. Mamy nadzieję, że kiedy to przejrzysz, sam zadecydujesz, w jaki sposób przekazać jej tę wiadomość. Ona nie wie, że jest tamtą zaginioną dziewczynką. Spędziła większość swojego życia, wierząc w historię, która jest wierutnym kłamstwem.

- Przeczytam wszystko, co mi przyślecie. Kiedy mam do was zadzwonić?

- Może rano?

- Dobrze. Chcecie, żeby to ktoś ze znajomych z Denver powiedział jej prawdę? Nie bierzecie pod uwagę nikogo z Loganville?

- Sądzymy, że tak będzie najlepiej. Chociaż zastanawialiśmy się, czy to nie powinnam być ja. Może mnie pamiętać, chociaż bardzo mgliście. Tylko że wtedy nazywałam się Gigi, a nie Giselle. Mam zdjęcia, na których jesteśmy razem. Może i ona ma jeszcze takie zdjęcia. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że to ja rozpowszechniłam kłamliwą historię Troya. Gdy Grace dowie się prawdy, może to zmienić jej życie, zniszczyć je. Boję się tego.

- Warto przedyskutować tę kwestię z psychiatrą. Mogę porozmawiać z Thomasem, dowiedzieć się, co on by w takiej sytuacji zalecił.

- Doskonale. Są powody, żeby włączyć w to Thomasa, a może także Val.

- Val?

- Val ją zna. Czy też raczej wie o jej istnieniu. Val ją zna.

Są powody, by włączyć w to Thomasa.

Ona żyje w kłamstwie.

Została przy imieniu i nazwisku nadanym jej przez Troya.

Słowa te huczały w uszach Pierce'a.

- Anastasia... - wyszeptał. - Mówisz o Anastasii.

- Ty ją znasz, Pierce? Znasz Anastasię Finch? Znam ją, tęsknię za nią, pragnę jej, kocham ją.

- Tak.

- I sądzisz, że to naprawdę jest Grace?

- Wiem, że nią jest. I jeszcze dzisiaj dowie się prawdy. Zaraz. Jak tylko zdołam do niej dotrzeć.

Po raz drugi Giselle usłyszała w głosie Pierce'a niezłomne postanowienie.

- To ona jest twoją łyżwiarką, prawda? - spytała. - Anastasia, Grace, jest twoją samotną tancerką na lodzie, która sięga księżyca?

- Tak, to ona. Czy jako mała dziewczynka jeździła na łyżwach?

- Każdego roku - odparł Garek, bo tylko on znał odpowiedź.

- Gdzie?

- W Loganville jest jezioro.

- A czy śpiewała?

- Tak, ale tylko w domu, przy matce. Jednak przed tym ostatnim Bożym Narodzeniem śpiewała też kolędy Mary Beth i Jace'owi. Jace twierdzi, że miała wyjątkowy głos.

Została przy imieniu, które nadał jej Troy. Ten psychopata wybrał dla niej imię bardzo starannie: staroświeckie, dziwne, a jednocześnie urocze, pełne ukrytych znaczeń.

Anastasia Finch. Zaginiona księżniczka, o której nikt nie wie, czy umarła, czy żyje. I śpiewający ptak.

- Troy musiał wiedzieć, że ona śpiewa - powiedział Pierce. - Musiał o tym wiedzieć.

- Tak - potwierdził Garek. - Wiedział o tym. Chciał, aby Grace zaśpiewała na jego ślubie z Carolyn, który miał się odbyć dwa dni po świętach Bożego Narodzenia. Grace zgodziła się zostać jedną z druhen, ale kiedy poproszono ją, żeby zaśpiewała, stanowczo odmówiła. To wszystko znajdziesz w przesłanych ci informacjach.

- Zjrzę do komputera, kiedy będę u niej. Natychmiast tam jadę.

- Pierce! - powiedział Garek rozkazująco. - Zanim pojedziesz, muszę poprosić cię o jeszcze jedno.

Pierce wziął teczkę i kluczyki do samochodu. Przełączył rozmowę na telefon komórkowy i ruszył do drzwi.

- Słucham cię.

- Grace miała przy sobie trzy monety, kiedy Troy zostawił ją z Giselle. Może je zachowała? Chcielibyśmy sprawdzić, czy nie ma na nich odcisków palców. Miała też neseser. Nie będzie żadnych wątpliwości, jeśli na tych monetach albo na neseserze odnajdziemy odciski palców Troya lub Carolyn.

- Zapytam ją o to. Potem skontaktuję się z wami.

- Nie spiesz się. Daj jej czas. Minęło wiele lat. Nie poinformujemy o tym nikogo, dopóki Grace nie wyrazi na to zgody.

- On ją kocha.

- Tak - odparł Garek ciepłym głosem. - On ją kocha.

Znajdowali się w biurze Gareka, gdzie panował półmrok. Przez wychodzące na jezioro okna wpadało tak niewiele światła, że Giselle nie zaciągnęła zasłon.

Giselle czekała, ociągała się z odejściem. Teraz, kiedy ich misja została zakończona i Grace znalazła się pod opieką mężczyzny, który ją kochał, ona i Garek mieli mnóstwo czasu dla siebie.

Ściśle biorąc, to Giselle miała mnóstwo czasu. Garek go nie miał. Choć gdy tak siedział, spokojnie i nieruchomo, nic nie wskazywało na to, że całe jego ciało umiera, umrze wkrótce, jeśli w porę nie ocali go zbawczy lek.

- Garek! Dochodzi dziewiąta...

- Kilka minut temu wibrator mojego zegarka sygnalizował ósmą pięćdziesiąt pięć - powiedział Garek uspokajająco.

- Lepiej już pójdę.

Garek nawet się nie poruszył.

- Porozmawiamy jutro, Giselle. Dobrze?

- Mogłabym zostać, Garek. Jeśli chcesz. Jeszcze chwilę.

- Nie. Dziękuję. Odprowadzę cię do drzwi.

- Sama wyjdę. Na pewno musisz się jakoś przygotować... Jakby się zawahał.

Kiedy się odezwał, usłyszała w jego głosie uśmiech.

- Dobrze.

- Zadzwońisz do mnie, gdybyś mnie... potrzebował?

- Tak, Giselle. Ale dam sobie radę sam. Zadzwonię do ciebie rano, jak tylko dostanę jakąś wiadomość od Pierce'a.

## Rozdział 16

Jest taka sztuczka, którą łatwo zastosować wobec niewidomego: można otworzyć drzwi, a potem je zamknąć, wcale nie wychodząc. Giselle nie planowała tego, kiedy powiedziała, że wychodzi.

Otworzyła drzwi, już miała opuścić ten świat ciemności, ale zawahała się. Chciała być razem z tym człowiekiem.

Jednak Garek jej nie potrzebował. Ani teraz, ani nigdy w minionych trzech latach. Może jutro?

Garek nigdy się nie dowie, że nie posłuchała jego prośby, że go oszukała. Nie zostanie na całą noc, tylko kilka minut, na tyle długo, by się upewnić, że Garek bez komplikacji wprowadził sobie do żyły lek.

A jeśli nastąpi coś nieprzewidzianego? Jeśli Garek przez roztargnienie zrobi coś nie tak, jak trzeba? Z powodu śnieżycy nie dojedzie tu żadna karetka pogotowia, żadna taksówka.

Tylko ona będzie mogła go uratować.

Giselle zamknęła drzwi apartamentu i na palcach wróciła do ciemnego salonu. I zaczęła nasłuchiwać głosu przeznaczenia.

Panowała kompletna cisza.

Lek trafił już do krwioobiegu Gareka. Nie było potrzeby nigdzie dzwonić. Garek McIntyre nacisnął tłoczek strzykawki tak zdecydowanie, jak tamta zmaltretowana dziewczyna nacisnęła spust naładowanego rewolweru.

Teraz Giselle mogła wyjść.

Powinna była wyjść, ale nie mogła tego uczynić.

Z pewnością istniało niebezpieczeństwo jakiejś opóźnionej reakcji, o której Olympia mogła nie wiedzieć.

Z sypialni dobiegł przytłumiony i słaby dźwięk.

Cichy jęk rannego zwierzęcia, które sądzi, że jest samo. Wtedy, gdy w pobliżu nie ma drapieżników, a nad głową sępów, można okazać słabość.

Ten stłumiony krzyk instynktownie uwalniał z udręczonego ciała ból, by zrobić w nim miejsce na dalsze cierpienia.

Każdego komandosa uczono, by schwytany przez wroga obnażył kły, walczył do końca.

Jednak w tym bezpiecznym legowisku, wśród szalejącej wokół śnieżycy, ranne zwierzę mogło cicho skomleć.

W samotności.

Giselle nie mogła znieść tego dźwięku, tego bólu. Żałowała, że tu wtargnęła. Ale czuła też ulgę, bo ten jęk był dowodem na to, że lek zaczął działać.

Jęk ucichł nagle, jak nożem uciął.

Olympia wspominała o paroksyzmach bólu, po których następuje chwila wytchnienia. A potem wszystko zaczyna się od nowa.

Giselle chciała, żeby te chwile wytchnienia trwały jak najdłużej. Żeby Garek mógł się uspokoić, odpocząć i przygotować na kolejny atak.

Cisza. Dziwnie złowieszczą cisza.

Głęboka i ciemna.

A jeśli jego serce nie wytrzymało tego szaleńczego bólu? Jeśli przestało nagle bić?

- Nie mam ci tego za złe, Giselle.

- Garek! - Stał tuż obok. Ten nocny wojownik, władający wenecką szpadą, za pomocą której pewną ręką zada śmierć wrogowi. Czyli jej. - Ja... przepraszam. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. Bo ta śnieżycy... Wiem, że nie powinnam była zostawać.

- Chciałem przez to powiedzieć - przerwał jej Garek miękko - że nie winię cię za moją ślepotę.



- Ale chyba jednak to moja wina, prawda? Ona była umierająca...  
Należało ją tam zostawić. Wiedziałeś o tym, prawda? Wiedziałeś, że nie ma już dla niej nadziei?

- Tak. Wiedziałem. - Zaciśnął zęby, jakby znowu zaatakował go ból. Kiedy w końcu odetchnął, usłyszała w jego głosie uśmiech. - Nie winię cię za moją ślepotę. Ale to twoja wina. To przez ciebie jej tam nie zostawiłem, nie mogłem jej zostawić, żeby umierała samotnie w tym piekle. Tego ranka, Giselle, byłem lepszym człowiekiem. Dzięki tobie.

- Och, Garek - wyszeptała Giselle z ulgą. I z bólem. - Jednak obiecałeś mi, obiecałeś, że jeśli Kathleen nie jest w ciąży...

- Jestem niewidomy.

Jego niewidzące oczy lśniły jasnym błękitem jak niebieskie płomyki ognia. Były to oczy wojownika, surowe i zimne. Odpowiadało im spojrzenie oczu Giselle, gorące i namiętne.

- Czy naprawdę sądzisz, że miałoby to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Poza tym, że cierpiałabym razem z tobą?

- Nie. - Błękitny chłód stał się nagle czułą pieśczęcią. - Wierzyłem, że to nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Chociaż powinno mieć. Nasza miłość dopiero się wtedy rozpoczynała.

- Rozpoczynała. Znaliśmy się wtedy od sześciu godzin i dwudziestu lat. Sam tak mówiłeś.

- Wiem, i wtedy w to wierzyłem. Wtedy wierzyłem we wszystko, Giselle. Ale mieliśmy tylko magię i mgłę, pragnienie i przeznaczenie, i te sześć godzin - tylko sześć godzin, które się naprawdę liczyły. W ciemności nie byłem już tym samym człowiekiem, którego poznałaś.

- Stałeś się lepszym człowiekiem, jak sam powiedziałeś.

- Zanim wypisali mnie ze szpitala, minęło osiem miesięcy. Osiem miesięcy. Dopiero dużo później zrozumiałem, jak bardzo będę teraz uzależniony od innych. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby tego uniknąć.

Samotnik podjął to wyzwanie i znowu polegał tylko na sobie. Jak zwykle świetnie sobie radził.

- Czy kiedykolwiek pomyślałeś o nas?

- Cały czas. Wiedziałem, że dojdiesz do wniosku, iż Kathleen jednak spodziewała się dziecka.

- A gdybym do ciebie zadzwoniła, żeby zapytać, co słyhać?

- Potwierdziłbym twoje przypuszczenia.

- Nie zrobiłeś tego ostatniej nocy. Nie skłamałeś. A mogłeś. Nigdy nie dowiedziałabym się prawdy. Jednak nie zrobiłeś tego.

Garek nie odpowiedział od razu, błękitny ogień w jego oczach zgasł. Giselle zrozumiała, że walczy z bólem. Zamknął oczy, koncentrując się na tym, by przetrzymać kolejny atak. Nawet nie jęknął. Kiedy się w końcu odezwał, miał ciągle zamknięte oczy, jakby walka jeszcze trwała.

- W sierpniu ubiegłego roku postanowiłem na pewien czas zawiesić praktykę. Pomyślałem sobie, że znajdę jakiś hotelik w Carmel i spotkam się z tobą. Wtedy już wiedziałem, co będę w stanie robić, a czego nie. Oczywiście najpierw zadzwoniłbym do ciebie, żeby sprawdzić, czy ciągle jesteś mną zainteresowana. Zanim jednak zdążyłem to zrobić, zadzwonił do mnie Jace. Dowiedziałem się, że Troy zginął, a Grace żyje. Kiedy zaczęliśmy jej szukać, pojawiła się możliwość terapii, dzięki której mógłbym cię zobaczyć...

- Garek?

- Tak?

- Jestem tobą zainteresowana. Ciągle.

Jego oczy otworzyły się, zalśniły uśmiechem... i uśmiechały się nawet wtedy, kiedy jego ciało przeszył znowu ból. W końcu jednak uśmiech znikł.

- Muszę cię teraz opuścić, Giselle.

- Opuścić?

- Jest coś, przez co muszę przejść sam. - Ból stawał się wyraźnie nie do zniesienia, ale jego głos pozostał silny, spokojny i czuły. - Przyjdę do ciebie jutro, jeśli pozwolisz. O świcie.

## Rozdział 17

*Denver*

*Piątek, 20 lutego*

**D**eszcz. Deszcz. Deszcz. Wielkie szmaragdowe krople zamarzały w chwili zetknięcia się z ziemią. Ulice pokryła warstwa zdradzieckiego lodu. Warunki drogowe wymagały największej ostrożności od wszystkich kierowców, nawet tych najlepszych. Nawet tych, którym się bardzo spieszyło.

Pierce, uchodzący za bardzo dobrego kierowcę, zawsze jeździł ostrożnie. I nigdy nie używał w samochodzie telefonu, który zwiększał ryzyko wypadku, ryzyko pozbawienia kogoś życia.

A podczas tej zimowej nocy?

Po raz pierwszy zadzwonił do Anastasii, zanim jeszcze wyjechał z garażu. Nie podniosła słuchawki. Kiedy znalazł się na ulicy, zobaczył, że Denver zmieniło się w niebezpieczne lodowisko.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, spróbował dodzwonić się do niej kilometr dalej. I jeszcze kilometr dalej.

Jego niepokój wzrastał.

Pewnie Anastasia wyciszyła dzwonek swojego telefonu, chcąc spokojnie odpocząć, pozbyć się tego okropnego przeziębienia, tego okropnego zimna.

Wyobrażenia zaczęła mu podsuwać obrazy, których nie chciał oglądać, wizje z filmów grozy, w których pozaziemska istota zostaje uwięziona w ciele

nie podejrzewającego niczego człowieka. Anastasia i Grace. Zagubiona księżniczka i jej cień.

Pierce znajdował się już w drodze ponad godzinę, choć w normalnych warunkach podróż zajęłaby mu pół godziny. Był już prawie na miejscu. Przed nim w niewielkiej odległości lśniły światła Canterbury.

Nagle jego komórka zadzwoniła. W pierwszej chwili Pierce postanowił, że nie odbierze. Jednak w tę najeżoną niebezpieczeństwami zimową noc ktoś mógł go potrzebować. Val, Callie, Edward albo Lilah.

Istotnie, ktoś go potrzebował. Ktoś potrzebował Liama. Wyczuł to, mimo że w telefonie panowała cisza. Wyczuł jej drzenie, jej strach.

- Anastasia - powitał ją ciepło. - Dobry wieczór. Jest ci zimno, prawda? Zbyt zimno, żeby mówić? W porządku. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. I wierz mi, że to nie jest szaleństwo. Wkrótce wszystkiego się dowiesz. Jestem tu, Anastasio, koło twojego domu. Na parkingu jest ślisko, lód jak na jeziorze, jak w twoim śnie. Ty jeździsz na łyżwach dużo lepiej niż ja. Ale wiesz co? Radzę tu sobie całkiem nieźle, chociaż nie mam łyżew. O, już jestem przy drzwiach. Zadzwonię. Dobrze. Teraz ty musisz nacisnąć guziczek, żeby mnie wpuścić. No, Anastasio, naciśnij... dobrze. Bardzo dobrze.

Ale nie było dobrze. W oczach Anastasii czaiła się groza.

Jej usta były sine i drżące. Twarz popielata. A jej długie włosy były jasne, nie ciemne, jakby wróciła do tamtego straszego poranka bożonarodzeniowego i obudziła się, zdumiona i skostniała, po długiej nocy, spędzonej pod pokrywą śniegu.

Jej oczy były szare jak dym wypełniający pokój, kiedy Grace wyskoczyła przez okno. Szare i pełne strasznych obrazów, które tylko ona mogła zobaczyć. Ale czy widziała i jego? Czy go rozpoznała? Czy wiedziała, kim jest?

Anastasia nie opierała się jego uściskom. Nie odsunęła się, przeciwnie, wpadła mu w ramiona, może zbyt słaba, zbyt bezradna, by walczyć. A jednak

Pierce wierzył, że się go nie bała. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że nie musi się go bać.

Przyciągnął ją, drżącą, do siebie, przytulił ją mocno, jeszcze mocniej, ogrzewając ją ciepłem własnego ciała.

- Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Już jest ci cieplej. Czuję to. Dużo cieplej. Zostań tak, dobrze? Zostań ze mną. Wszyscy cię kochają. Wszyscy tak bardzo cię kochają.

Szeptał, kołysał ją i głaskał. Ale nie wypowiedział najważniejszych słów: kocham cię, Anastasio, kocham cię.

Nie wypowiedział nawet jej imienia. Żadnego z jej imion.

Które z nich ona pamięta? Które może pomóc? A które jeszcze bardziej nasili uczucie zimna? Jak przyjmie jego wyznanie miłości?

Doznanie jeszcze większego zimna mogłoby ją zabić. Pierce trzymał w ramionach bryłę lodu, w której serce prawie nie biło.

Konające serce.

Cudowne serce, które zegnało się ze światem.

Wtedy Liam Rourke zaczął śpiewać.

Śpiewał pieśni o Irlandii, tęskne, pełne magii.

Liam śpiewał dla Anastasii, tak jak Gabriel śpiewał dla swojej Eileen. A cień Liama, ten zagubiony syn, śpiewał dla drżącego cienia, którym była Grace.

Obie słuchały pieśni Liama. Obie - Anastasia i Grace. A ich wspólne serce zaczęło bić w takt, coraz mocniej i szybciej. Ogrzane i wolne.

A kiedy Anastasia podniosła na niego wzrok, nie dostrzegł w jej oczach strachu.

- Liam! - wyszeptała - Liam!

Jej usta, już nie tak sine, odszukały jego wargi. A jego wargi, które przestały już śpiewać, wyszły na spotkanie jej pocałunkom.

- Kochaj się ze mną, Liam. Kochaj się ze mną.

- Zawsze będę kochał. Anastasia odsunęła się trochę.

- Dla mnie nie istnieje „zawsze”. Ja mam tylko tę chwilę. I to tylko dlatego, że zdążyłeś na czas.

Pierce nie wiedział, co miała na myśli. Nie chciał wiedzieć. Chciał wierzyć, że Anastasia przeżyje wspomnienie tej strasznej nocy pod śniegiem w Loganville, tak jak Grace przeżyła tamtą noc.

- To, co zdarzyło się dzisiaj, nigdy już ci się nie przytrafi.

- Nie możesz tego wiedzieć!

- Mogę, Anastasio. I ty też to zrozumiesz. Wkrótce. Jednak najpierw muszę ci zadać kilka pytań, zanim powiem ci, co wiem.

- Ale...

- Zaufasz mi?

- Tak, Liam. Zaufam ci.

Anastasia, ten piękny śpiewający ptak, już uwiła sobie gniazdo z poduszek i koców na kanapie w salonie. Pierce ułożył ją tam wygodnie. Kiedy odsunął się na chwilę, żeby podnieść koc, który zsunął się na podłogę, ciałem Anastasii natychmiast znowu zaczęły wstrząsać dreszcze. Mimo okrycia i termostatu nastawionego na temperaturę odpowiednią dla cieplarnianych fiołków.

Pierce był dla niej jedynym łącznikiem ze światem, jedynym ratunkiem.

Przestała drzeć, kiedy jej dotknął, kiedy na nowo zbliżył ją do źródła ciepła, jakim było jego własne ciało.

Obiecał, że zawsze będzie się z nią kochał. Zawsze. Ale jeszcze nie teraz. Anastasia musi uchwycić się mocno tej liny, jaką jest prawda, i przyjść do niego sama, z własnej woli, z radością - nie ze smutkiem, nie z rozpaczą, w przekonaniu, że czeka ją ostatnia krótka chwila szczęścia przed otchłanią szaleństwa lub śmierci.

Czując, jak jej zimne policzki rozgrzewają się pod dotknięciem jego palców, Pierce utwierdził się w tym, by czekać. Ujął ręce Anastasii.

- Pamiętasz swoich rodziców?

- Rodziców? Wiem tylko to, co mi powiedziano. Mój ojciec został zabity w jakiejś tawernie, kiedy miałam osiem lat. Kilka tygodni później moja matka, oszalała z bólu i rozpacz, skoczyła razem ze mną z mostu. Zginęła na miejscu. Ja odniosłam tylko obrażenia głowy, które spowodowały utratę pamięci. Nie pamiętam niczego sprzed tego skoku. Może matka w swoim szaleństwie sądziła, że nie spadniemy, lecz zaczniemy latać?

- Tego dnia, kiedy poznaliśmy się, powiedziałaś, że nigdy przedtem nie byłaś w Denver.

- Tak. To prawda. Nigdy wcześniej nie byłam w Denver.

- Dlaczego przeprowadziłaś się tutaj?

- Po tym incydencie z lemoniadą nie czułam się już bezpiecznie w Bostonie. A kiedyś było mi tam tak dobrze.

- Ale dlaczego postanowiłaś przyjechać do Denver?

- Nie wiem... Wydawało mi się, że właśnie tu powinnam się udać.

- Wydawało ci się, że tu będzie bezpiecznie? Jak w domu? Jak w Loganville?

- Wyspa kojarzyła mi się z domem. O co ci chodzi, Liam?

- Jeszcze tylko kilka pytań i wszystko ci wyjaśnię. Czy masz zdjęcie z dzieciństwa, na którym jesteś razem ze swoją rówieśniczką?

- Tak, ale nie wiem, kim była... Gigi. - Anastasia zmarszczyła brwi. - Dziwne, nigdy dotąd nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia.

- Tak, Anastasio, ta dziewczyna nazywała się Gigi. Kiedy ją poznałaś, miałaś przy sobie trzy monety. Dziesiątkę i dwie piątki.

- Tak, należały do mojej matki. Ciągle je mam.

- A neseser?

- Tak. Liam...

- Pamiętasz swoje imię?

- Swoje imię?

- Imię, którym nazywali cię ci, którzy cię kochali przez pierwsze sześć lat twojego życia. Miałaś sześć lat, a nie osiem, kiedy doznałaś tych obrażeń głowy. Myślę, że myślałaś dużo o tym imieniu. Prawda?

- Tak - wyszeptała. - Chciałam... jak zapewne wiele kobiet, ale... -  
Wskazała stos gazet, leżący na podłodze, egzemplarz magazynu „People” i kolorowe karteczki z notatkami na kolejne spotkanie Klubu Książki. -  
Przeczytałam wszystkie artykuły, przestudiowałam zdjęcia. Nic nie wskazuje na to, że to mogłabym być ja. Nic, poza tym, że Grace również doznała obrażeń głowy.

- Musisz jeszcze wiele przeczytać, Anastasio. Całą dokumentację z Loganville. Nie przeczytałem tego jeszcze, ale wiem, co tam jest. Wiem, na przykład, że Grace śpiewała jako mała dziewczynka. Już wtedy miała niezwykle piękny głos. Śpiewała tylko w domu, dla tych, których kochała. Troy Logan chciał, żeby zaśpiewała na jego ślubie, ale odmówiła.

- A po latach zaczęła śpiewać na ślubach innych ludzi? Żeby zrobić mu na złość?

- To niepodobne do Grace. Ani do ciebie. Grace utraciła tych, których kochała, ale postanowiła dzielić się swoim darem z innymi ludźmi w dniu święta ich miłości. - Pierce urwał na chwilę. - Grace była też świetną łyżwiarką. W Loganville jest jezioro, na którym się zimą ślizgała. Ciekaw jestem, czy jest podobne do jeziora na Wyspie.

- Wcale nie jest podobne. Ani trochę. W internecie zamieszczono zdjęcia z Loganville. Żadne z nich niczego mi nie przypomina.

- A jednak myślałaś o tym, marzyłaś...

- Wyobrażałam sobie - sprecyzowała Anastasia. - Fantazjowałam. Trwało to od jakiegoś czasu. Od sierpnia...

- Chyba od lipca?

- Nie. W lipcu wypiliśmy tę lemoniadę i aż do tego tygodnia wydawało mi się, że już następnego ranka obudziłam się skostniała i z bólem głowy. Jednak



wszystko było takie pogmatwane, mgliste, że musiałam się pogubić w chronologii objawów. Tak naprawdę wystąpiły dopiero kilka tygodni później, w sierpniu, po tym, jak przeczytałam w gazetach o Troyu, Loganville i Grace. W lemoniadzie prawdopodobnie było także LSD, które wywołało wizje, pasujące do historii, którą sobie wymyśliłam. Chciałam być Grace, chciałam uciec od mojej przeszłości i żyć jej życiem. Ty też chcesz, żebym nią była.

- Ja chcę prawdy, Anastasio.

- Jednak wierzysz, że to ja mogę być Grace.

- Wierzę, że nią jesteś. Łatwo będzie sprawdzić, kiedy wystąpiły u ciebie te objawy. To kwestia jednego telefonu. Zwróciłaś się po pomoc do lekarza wkrótce po tym, jak odzyskałaś przytomność. Jestem pewny, że wszystko to zaczęło się już w lipcu. Jestem też przekonany, że odcięłaś się od świata jeszcze przed tym, jak w prasie i telewizji zaczęto mówić o Troyu. Według Callie nie miałaś pojęcia, że historia opowiedziana przez Erin jest prawdziwa, dopóki nie zobaczyłaś tego artykułu w „People”.

- Tego dnia okropnie bolała mnie głowa. Pewnie nie słuchałam dość uważnie.

- Słuchałaś bardzo uważnie wszystkiego, co mówiły dziewczynki. Jak zawsze, choćby nie wiem jak bolała cię głowa. A nieco później, mimo zimna i bólu, jakie odczuwałaś, postanowiłaś ostrzec moją siostrzenicę.

Byłem tam, pamiętasz? W telewizji nie było niczego, co mogłoby cię skłonić do myślenia, że jesteś Grace. Ani w lipcu, ani w sierpniu, ani nigdy - aż do tego tygodnia. Zaledwie kilkoro ludzi wiedziało, że Grace Alisia Quinn przeżyła tamten pożar. Wiedział Garek McIntyre. I Grace. Czyli ty.

Powiedział jej w końcu tę prawdę, która brzmiała jak baśń.

Anastasia przyłożyła obie dłonie do policzków, zaróżowionych i ciepłych, mimo że Pierce już jej nie dotykał.

- Zaczęłaś szukać Grace na długo przed lipcem - ciągnął Pierce. - Szukałaś jej, wspominałaś ją przez lata.

- Przez lata?

- Od czasu, kiedy skończyłaś piętnaście lat, a może nawet wcześniej. Na pewno pomyślałaś o tym wtedy, kiedy w piętnaste urodziny dowiedziałaś się o tej dziedzicznej chorobie umysłowej. Grace, która żyła ukryta w głębi twojej duszy, nie uwierzyła w to i zaczęła się przed tym bronić swoim głosem. Śpiewem. Jedno jest sprzężone z drugim. Ujawnienie diagnozy i twoje odkrycie, że potrafisz śpiewać.

- Tak - mruknęła. - Tak było. Powiedziała mi na Wyspie, że musi śpiewać. Była to pasja Grace Alisii Quinn.

Teraz Grace Alisia Quinn nie wydawała się już tak nieufna, choć ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w prawdę.

Myślała, zastanawiała się, chciała - ale nie była pewna.

- Zostałaś zidentyfikowana jako Grace przez jedynego człowieka na tej planecie, który mógł to zrobić.

- Przez Gareka McIntyre'a?

- Tak. Przez Gareka McIntyre'a.

- Czy ma on na to jakiś dowód?

- Jestem pewien, że wszystkie szczegóły znajdziemy w dokumentacji, o której wspominałem. Wiem, że Gareka całkowicie to przekonało.

- To tylko poszlaki, a nie dowody?

- Takie poszlaki mogą stanowić niezbity materiał dowodowy. - Jako były prokurator znał się na tym. Na takiej podstawie można wsadzić człowieka na całe życie do więzienia albo nawet skazać na śmierć. Czy jednak wystarczy to, by przekonać zagubioną księżniczkę, że została odnaleziona? - Na monetach albo na neseserze mogły zachować się odciski palców. Odciski palców Troya lub Carolyn. To byłby dowód.

- Jeśli nawet na tych monetach były jakieś odciski palców, już dawno zostały starte. Tak często trzymałam je w rękach, bo było to tak, jakbym dotykała mojej matki... A w lipcu czy też w sierpniu wypolerowałam je, bo

nagle zapragnęłam, żeby były znowu czyste i lśniące. Neseser także wyprałam, wyszorowałam na zewnątrz i od środka. To wygląda jak zacieranie śladów, prawda? Jakbym wiedziała, że Grace to ja.

- To wygląda - odparł Pierce - na zachowanie człowieka, który nie musi niczego udowadniać, Anastasio. Dowody zdobył Garek i nie ma cienia wątpliwości. - Pierce widział, że księżniczka ciągle się waha. - Teraz powinnaś przeczytać dokumentację.

Pierce włączył komputer Anastasii. Na ekranie pojawiła się nagle jego własna twarz, zdjęcie z „Mile High”. Musiała ściągnąć te z Internetu.

- W tym tygodniu - wyznała cicho - kiedy ciągle czytałam o Grace i tak strasznie bolała mnie głowa, pomagało mi patrzeć na ciebie. Było mi wtedy lepiej, cieplej, bezpieczniej.

- Ciszę się - powiedział Pierce z uśmiechem.

A jednak to on w pewien sposób sprawił, że poczuła się lepiej, cieplej, bezpieczniej, to on był tego przyczyną.

- Garek i tak by cię odnalazł, Anastasio - powiedział Pierce spokojnie, wystukując polecenia na klawiaturze komputera. - Nawet gdybyś nie wypila tamtej lemoniady, nie przeprowadziła się do Denver, nie śniła o Wyspie. Giselle, którą znałaś jako Gigi, przeczytałaby artykuł w „People”, zadzwoniłaby do Gareka i dziś wieczorem ktoś zapukałby do drzwi twojego mieszkania w Bostonie, żeby ci powiedzieć, że Grace została odnaleziona. To by się zdarzyło, Anastasio, także beze mnie, bez bólów głowy, zimna, snów i odcięcia od świata.

- Ale...

- No, mam już ten plik - odwrócił się do niej. - Pozwolisz, że też to przeczytam?

- Oczywiście. Nie rozumiem jednak, co właściwie chciałaś mi teraz powiedzieć...

- Dla mnie nic się nie zmieniło, Anastasio. Chcę ciebie, chcę żebyśmy byli razem, kimkolwiek jesteś. - Liam Pierce Rourke bez wahania natychmiast by ją poślubił. - Jednak w twoim życiu wszystko się teraz zmieni.

- Ja nie...

- Nie spiesz się, Anastasio. I uważaj na siebie.

Chwilę później Pierce wyszedł na deszcz. Ciepłe krople roztopiły pokrywę lodu na asfalcie.

Dojechał do domu bez żadnych przeszkód. Było cieplej i bezpieczniej. Ale nie lepiej.

## Rozdział 18

*Hotel Wietrzne Kuranty, Chicago*

*Sobota, 21 lutego, o świcie*

Giselle spędziła noc, wyobrażając sobie chwilę, kiedy Garek wejdzie do jej pokoju i zostaną sami. Razem. Tylko ze swoim przeznaczeniem.

Wiedziała, że świt, ten świt, będzie srebrzysty, a nie czarny. Zasłony w jej apartamencie nie były tak grube jak w jego. Jednak to delikatne światło nie wyrządzi żadnej krzywdy jego niewidzącym oczom, ostry blask zblednie, a różowawa poświata, opromieniająca padające płatki śniegu, będzie przypominać mgłę i magię Wenecji.

Giselle wiedziała, że będzie miał wilgotne włosy, tak samo jak ona, długie, lśniące, czyste. I że będzie się wydawał jeszcze bledszy, jeszcze szczuplejszy po tej nocy pełnej bólu. Pod oczami, tak samo jak ona, będzie miał głębokie cienie z braku snu. Te piękne błękitne oczy będą błyszczały miłością.

Giselle nie pomyślała jednak o lasce, tej cienkiej białej antenie, która pozwoliła znaleźć Garekowi drogę do niej. Ostatniej nocy nie potrzebował laski. W domu radził sobie bez niej. Podobnie jak wtedy, kiedy jechał windą do pracy.

Jednak gdzie indziej zawsze używał laski, która zastępowała mu oczy.

Garek potrzebowałby jej przez całą drogę do Carmel. A kiedy przybyłby już do tego słicznego nadmorskiego miasteczka, musiałby z jej pomocą nauczyć się tej nowej ciemności, musiałby się do niej przystosować... Żeby spotykać się z Giselle, gdyby ciągle była nim zainteresowana.

- Powiedz, o czym myślisz - wyszeptał w srebrzystym półmroku. - Nie widzę cię, a boję się zgadywać.

- Myślę, jak bardzo cię kocham.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niewysłowionej ulgi. Ulgi i radości.

- Kocham cię, Giselle. Nawet, nie sądziłem, że potrafię kogokolwiek tak kochać.

Jego oczy, niewidzące i błyszczące, nigdy jeszcze nie wydawały się tak błękitne. Patrzyły na nią, jakby widziały, jakby chciały jej powiedzieć, że nigdy jeszcze nie była tak piękna, jak tego srebrzystego, śnieżnego poranka.

Byli kochankami, którzy nigdy się nie dotknęli. Garek nie śmiał dotknąć jej w Wenecji, bo nie pozwoliłby jej odejść. A ostatniej nocy ważyły się losy Grace...

Jednak teraz, kiedy odstawił laskę, bez wahania odnalazł dłonie Giselle. Dotknął ich. Ucałował. Najpierw tylko czubki jej palców, ze zdumieniem, jakby odkrywał nieznaną ląd. Potem dotknęły się ich palce, a w końcu całe dłonie. Wtedy Garek delikatnie, ale zdecydowanie zacisnął swoje palce na jej dłoniach.

To powinno być im wystarczyć - ten milczący dotyk, cicha radość, ulga.

Jednak srebrzyste światło pozwalało na więcej.

Ich usta się spotkały i zaczęły się nawzajem poznawać.

Smakować.

Dla niej Garek miał smak ognia o północy i księżycą o świcie. Dla niego Giselle miała smak blasku gwiazd, tęczy i radośnie wirujących w powietrzu płatków śniegu.

- Boisz się?

- Dlaczego miałabym się bać?

- Z powodu Armande'a. Możesz mieć złe wspomnienia, ukryte lęki.

Giselle zdała sobie sprawę, że te wątpliwości musiały go nękać przez całą noc, nie dając mu zasnąć nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy ustawał ból.

- To, co robiłam z Armande'em, nie miało nic wspólnego z miłością. Nigdy nikogo nie kochałam. Więc może powinnam się teraz bać? Ale się nie boję.

- Ja także nigdy nie kochałem.

- Boisz się?

- Jestem przerażony - uśmiechnął się czule.

Znowu zaczęli się całować w tym srebrzystym półmroku, pełnym magii i miłości, w którym pragnienie i przeznaczenie wreszcie się ze sobą spotkały.

- Możesz to robić? Zaraz po zabiegu? Po tym krwotoku? Garek zaśmiał się i jęknął cicho.

- Giselle, nie zacznę znowu krwawić i nie mogę już bardziej oślepnąć. Czekałem na ciebie, ukochana. Bardzo cierpliwie. Ale teraz nadszedł mój czas. Nasz czas.

Ten śnieżny świt stał się ich przeznaczeniem.

Był to czas kochania. Miłości. Ich czas. Nareszcie.

## Rozdział 19

*Hotel Wietrzne Kuranty, Chicago*

*Sobota, 21 lutego*

Mogliby tak kochać się do końca świata, do końca świata nie wychodzić z sypialni Giselle. Z jej łóżka.

Kochali się gwałtownie, namiętnie, dziko. Ale nie desperacko.

Obiecali sobie tego ranka, że tak będzie zawsze.

W środku nocy Garek otrzymał wiadomość od Pierce'a. Anastasia już wie o wszystkim, zaakceptowała to, przyjęła ze spokojem. Była to dobra wiadomość. Trudno o lepszą.

Giselle i Garek cały czas oczekiwali nowych informacji, jednak pager Gareka nie zadzwonił ani razu do ósmej wieczorem, kiedy wrócili razem do apartamentu Gareka. On niósł walizkę Giselle, ona jego laskę.

Cztery godziny później, o północy, przyszła wiadomość od Anastasii.

Giselle odczytała ją na głos, zaczynając od podziękowań skierowanych do nich obojga. Anastasia dziękowała Gigi za to, że zaopiekowała się zagubioną małą dziewczynką, a Garekowi za jego pełne poświęcenia poszukiwania.

Wyznała, że ciągle nie wie, czy istotnie jest tą Grace.

Pamięta Gigi, ale nie pamięta niczego sprzed spotkania z nią? Ani pożaru, ani kochających rodziców.

Ani potwora Troya, ani Mary Beth.

A jak mogłaby zapomnieć matkę, którą tak kochała?

Anastasia zamieszkała w Denver, ponieważ coś jej mówiło, że powinna to uczynić.

Śpiewa na ślubach, bo uwielbia to robić. Zawsze się upewnia, że nikt jej wówczas nie będzie mógł zobaczyć. Nie chce zwracać na siebie uwagi.

Dowiedziała się teraz, że Grace spędzała popołudniowe godziny w bibliotece z panią Bearce, słuchając czytanych przez nią baśni. Nie

obudziło to w niej jednak żadnych wspomnień. Jednak w prowadzonym przez siebie Klubie Książki przy omawianiu nowych pozycji zawsze zaczynała od słów: „dawno, dawno temu...”

A wspomnienie Jace'a Coltona o tym, jak Grace skrobała marchewki dla reniferów Świętego Mikołaja, przypomniało jej, że Rudolf zawsze dostawał trzy marchewki, ponieważ to on przecierał szlak na ciemnym zimowym niebie. Pozostałe renifery dostawały po dwie marchewki.

Odkąd pamięta, fascynowały ją renifery. W ubiegłym roku przed świętami kupiła nawet komplet kubków ze ślicznymi reniferami, namalowanymi przez Julię Colton, żonę Jace'a.

To oczywiście nic nie znaczy. Zwykły tylko zbieg okoliczności.

Anastasia przyjęła do wiadomości, że Carolyn Logan zidentyfikowała ją jako Grace, i zgodziła się, że zdjęcia z polaroidu dają do myślenia. Tak, przyznała, to możliwe, że ma dwadzieścia dziewięć, a nie trzydzieści jeden lat. Dopiero na studiach przestała się wydawać młodsza od swoich rówieśników, mniej od nich dojrzała - ale tylko fizycznie, nie emocjonalnie.

Przyznała też, że imię i nazwisko, które nosi, mogłoby być nadane przez Troya, biorąc pod uwagę jego okrucieństwo i megalomanię. Niestety zniszczyła to, co stanowiłoby niezbity dowód - odciski palców na monetach i neseserze.

Czy może być jakiś inny sposób, by zyskać pewność?

Anastasia obiecała, że postara się coś sobie przypomnieć.

- Jest jeszcze jedna szansa, by zyskać pewność - powiedział Garek, kiedy Giselle skończyła czytać list od Anastasii.

- Naprawdę?

- Jest szansa, choć niewielka. Zadzwoń w kilka miejsc.



Jutro, w poniedziałek, drogi znowu będą przejezdne. Przynajmniej te główne. Chociaż w telewizji radzono, żeby ci, którzy nie muszą, nie ruszali się ze swoich domów aż do wtorku.

- Jutro idziesz na swoje ostatnie badanie.

- Tak, na badanie i mnóstwo różnych testów końcowych. Więc mogą mnie trzymać w szpitalu cały dzień.

- Będą z tobą.

- Nie, Giselle. - Garek uśmiechnął się. - Pójdę sam. Twoją misją będzie...

## Rozdział 20

*Wyspa*

*Niedziela, 22 lutego*

**K**iedy zadzwoniła o czwartej nad ranem był w domku nad jeziorem. - To ja, Liam. Anastasia... a może Grace.

- Witaj Anastasio.

- Wysłałam do ciebie kopię listu, który napisałam do Gareka McIntyre'a i Giselle. Nie wiem, czy...

- Przeczytałem go. Dostałaś już odpowiedź?

- Giselle zadzwoniła do mnie. Właściwie po to, żeby się przywitać. Jest bardzo miła. Ale ty oczywiście o tym wiesz. Powiedziała, że Garek próbuje znaleźć jakiś inny sposób na zdobycie dowodu. Jednak nie powinnam zbytnio na to liczyć.

- A co ty o tym sądzisz?

- Cóż, zgadzam się.

- Wydaje mi się, że czujesz się lepiej.

- Tak, znacznie lepiej. Bóle głowy i zimno ustąpiły.

- Już sam ten fakt stanowi dowód, nie sądzisz?

- Być może.

- A twój sen, Anastasio?

- Nie wiem, co będzie mi się śnić. Nie spałam od naszego spotkania.

Nawet nie próbowałam. Dlatego właśnie dzwonię. Zaraz idę do łóżka i mam nadzieję, że będę spać do rana, a potem mam zamiar pojechać do Loganville. Jeśli naprawdę byłam tam kiedyś szczęśliwa i kochana, to może mimo amnezji coś sobie przypomnę.

- Ponieważ wierzę, że to ty jesteś Grace, jestem pewny, że coś tam znajdziesz.

Po tych łagodnych, dodających otuchy słowach zapadła cisza. Pierce pomyślał z bólem, że Anastasia zaraz pożegna się z nim i pójdzie spać. Śpij spokojnie, Anastasio. I śnij...

- Będiesz przy mnie, kiedy znajdę tam ślad swojego serca? Albo też, kiedy go nie znajdę?

- Chcesz, żebym pojechał z tobą do Loganville?

- Tak. Jeśli nie możesz jutro, wybierzemy się tam innego dnia. Architekt Pierce Rourke zaplanował na następny dzień kilka rozmów na temat lodowiska Carillon Square. Bardzo ważnych rozmów z inżynierami i elektrykami, którym miał cierpliwie wytłumaczyć, że ozdobiona fiołkami fontanna ma się obracać nie wraz z postacią samotnej łyżwiarki, ale osobno, że otwory wylotowe fontanny także powinny się poruszać, a pod lodem trzeba zamontować oświetlenie...

- Możemy pojechać jutro.

- Poślizgamy się na jeziorze w Loganville. Kupiłam dzisiaj łyżwy dla nas obojga. Zmierzyłam odcisk twojej stopy na dywanie.

Pierce uśmiechnął się.

- Chętnie się z tobą poślizgam, Anastasio.

Będzie jeździł z nią na łyżwach, będzie z nią śpiewał. Będzie ją kochał.

Telefon w apartamencie Gareka zadzwonił właśnie w chwili, kiedy Giselle przygotowywała się już do wyjścia. Miała ratować Anastasię. Grace.

Był poniedziałek, dziesiąta rano. Trzy godziny temu Garek zadzwonił ze szpitala, do którego dotarł bez przeszkód dzięki doświadczonemu szoferowi. Może między badaniami zrobiono przerwę i postanowił jeszcze raz zadzwonić?

- Halo?

- Giselle?

- Tak.

- Nazywam się Kathleen. Nie znasz mnie. Może nawet nie wiesz, kim jestem. Byłam kiedyś żoną Gareka.

- Tak, wiem o tym.

- To dobrze. W takim razie przejdę od razu do rzeczy. Gareka nie ma w domu, prawda? Portier powiedział mi, że wyjechał wczesnym rankiem i jeszcze nie wrócił.

- Zgadza się. Nie ma go.

- Muszę z tobą porozmawiać, Giselle. Nie obawiaj się, nie jestem zazdrosną byłą żoną. Chcę ci powiedzieć coś, co powinnaś wiedzieć o Gareku. To bardzo ważne. Mogę wejść na górę?

- Właśnie wychodziłam. Mam kilka spraw do załatwienia, ale nie powinno mi to zabrać dużo czasu. Miałam zamiar iść tam pieszo, ale może wezmę taksówkę.

- Może przeszłabym się z tobą?

- Dobrze.

Kathleen była naprawdę piękną kobietą. Giselle od razu ją polubiła.

Na śliskich, oblodzonych chodnikach panował straszny tłok i trudno było rozmawiać.

Kiedy Giselle załatwiła swoją sprawę, usiadły w małej kafejce, przy stoliku w kącie sali, i zamówiły gorącą czekoladę.

- Naprawdę nie jestem zazdrosną byłą żoną - powtórzyła Kathleen. - A to, co muszę ci powiedzieć, dotyczy chwili obecnej. Muszę jednak cofnąć się trochę w czasie, żebyś zrozumiała, dlaczego dzisiaj do ciebie zadzwoniłam. Od czego by tu zacząć... myślę, że od Genewy. Nie pojechałam tam z Garekiem. Byliśmy wtedy w separacji. Kiedy jednak dowiedziałam się, co zaszło na Bałkanach, poleciałam do Szwajcarii. Siedziałam w hotelu i czekałam, aż jego stan ustabilizuje się na tyle, żeby można go było zabrać ze szpitala polowego. Modliłam się, żeby ta chwila w ogóle nadeszła. W którymś momencie tego straszego oczekiwania postanowiłam spakować jego rzeczy. Znalazłam wśród nich bilet na samolot do Wenecji i folder z Festiwalu Masek. A więc podczas pobytu w Genewie przyszło mu do głowy, żeby skorzystać z okazji i wybrać się do Wenecji, obejrzeć twoje maski.

W końcu Garek opuścił tamten szpital. Ciągłe walczył ze śmiercią, ale jego interesowało inne życie. Nowe życie. Zapytał, czy nie spodziewam się dziecka. Wydawało się to dla niego tak ważne, że omal nie skłamałam. Jednak nie zrobiłam tego. Może w jakiś sposób wyczułam, że czekał na przeczącą odpowiedź. A prawda była taka, że nie spodziewałam się dziecka. Właściwie nie wiem, skąd przyszło mu do głowy, że mogę być w ciąży.

- Kiedy rozmawiałś z nim tuż przed jego wyjazdem do Genewy wydałaś mu się znowu taka szczęśliwa, radosna, jak dawniej.

- Byłam szczęśliwa i radosna, ponieważ uświadomiłam sobie, że się w nim zakochałam. Nigdy nie sądziłam, że jestem do tego zdolna. Powiedziałam mu o tym. Nie musiał odwzajemniać moich uczuć, a chciałam, żeby był ze mną. To by mi wystarczyło do szczęścia. Jednak on powiedział, że już za późno. Zanim jeszcze został ranny i stracił wzrok, postanowił, że chce rozwodu. Moje wyznanie tylko przyspieszyło jego działania w tym kierunku. Powiedział, że nigdy nie będzie mnie kochał tak, jak na to zasługuję. Zastanawiałam się, czy kogoś poznał. Czy on też się zakochał. Ale przecież musiałabym o tym wiedzieć. Ta kobieta czuwałaby przy jego łóżku w Szwajcarii, a potem tutaj.

Spotkałybyśmy się. Ja byłam przy nim cały czas razem z Olympią. Nawet po rozwodzie.

- Widujesz się z nim teraz?

- Czasami. Choć pracujemy i mieszkamy w jednym budynku każde z nas prowadzi swoje własne, odrębne życie. Dzwonię do niego od czasu do czasu, a on dzwoni do mnie. Zawsze dobrze się nam rozmawiało. Był wściekły, kiedy trzy miesiące temu powiedziałam mu o anonimowym liście, który dostałam.

- Dostałaś anonim?

- Tak, przyszedł do radia. List od słuchacza, który wiedział, że kiedyś byliśmy małżeństwem. Według autora listu Garek planował poddać się operacji neurologicznej. Miał zaledwie dziesięć procent szans na to, że operacja się uda. W innym wypadku oznaczałoby to śmierć. Zdaniem autora listu Garek nie miał niemal żadnych szans na przeżycie. Poddając się tej operacji, właściwie popełniłby samobójstwo. Czy ja, jako jego była żona, nie mogłabym odwieść go od tego zamiaru?

- Mogłaś to zrobić, i zrobiłaś.

- Nie mogłam, i nie zrobiłam. Garek wpadł we wściekłość, nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Powiedział, że to wyłącznie jego sprawa. Nikt nie może mu dyktować, jak ma żyć? Zabronił komukolwiek wspominać o tym, czego się dowiedziałam. Olympia ma w szpitalu swojego informatora, który najwyraźniej nie słyszał o planowanej operacji mózgu. Gdyby powiedział o tym Olympii, ja też bym o tym wiedziała. A Garek nie chciał, żebyśmy się martwili. Miał zamiar poddać się tej operacji, nic nikomu nie mówiąc. Gdyby jej nie przeżył, nikt nie czułby się za to odpowiedzialny, nie wyrzucałby sobie, że go nie powstrzymał. Ani ja, ani Olympia.

- Ale ty go powstrzymałaś - powiedziała Giselle. - Przekonałaś go.

- Nie, Giselle. Właśnie dlatego teraz ci o tym mówię. Powiedziałabym ci to wszystko już trzy miesiące temu, gdybym wiedziała wtedy o twoim istnieniu. A mogłam wiedzieć. Mogłam się domyślić. Ten bilet na samolot... to była

pamiątka, kawałek papieru o wartości sentymentalnej, coś, czego Garek, jakiego ja znałam, nigdy by nie zachował. A potem dzień, kiedy powiedziałam mu o tym anonimie... Siedzieliśmy u niego w salonie i Garek patrzył na *Wenecki świt*, patrzył tak intensywnie, jakby naprawdę go widział. To było dziwne, przerażające. Zrozumiałam, jak bardzo chce odzyskać wzrok. Jednak dopiero teraz dotarło do mnie, że przede wszystkim chciał widzieć ciebie. Dziś rano wszystko stało się dla mnie jasne. Portier powiedział, że widział cię w piątek, kiedy Olympia pokazywała ci, jak wejść do apartamentu Gareka. Garek poznał cię w Wenecji, a potem wyjechał i został ranny. Wiedziałaś o tym?

- Nie. Dowiedziałam się dopiero w czwartek wieczorem.

- Bardzo żałuję, że nie domyśliłam się wcześniej. Zadzwoiłabym do ciebie. Mogłaś z nim być przez cały ten czas.

- Dziękuję - powiedziała cicho Giselle do kobiety, która zaakceptowała ich miłość, mimo że sama zakochała się w Gareku.

- To ja ci dziękuję, Giselle. Dobrze, że tu jesteś. Kochasz go, prawda? I on kocha ciebie?

- Tak. Dobrze, że tu jestem?

- Możesz go powstrzymać. Może zresztą już to zrobiłaś, przez samą swoją obecność. Tylko że... Garek tak bardzo pragnie cię widzieć.

Giselle pomyślała, że Garek widzi ją, czyta jej w myślach, w jej sercu.

- Minęły już trzy miesiące, Kathleen, odkąd dowiedziałas się o tej operacji. Najwyraźniej zmienił plany.

- Nie. Nie mam co do tego pewności. Ta operacja miała się odbyć dopiero po zakończeniu serii zabiegów, jakim poddawał się od pół roku. Trzy miesiące temu było już jasne, że infuzje nie przywrócą mu wzroku. Zwiększyły jednak szanse powodzenia operacji. Neurochirurg chciał operować po zakończeniu zabiegów, co nastąpi już wkrótce, lada dzień. Dzięki Bogu jest jeszcze sprawa Grace Alisii Quinn. Podobno Garek postanowił, że nie podda się operacji,

dopóki nie odnajdzie Grace. Miałam nadzieję, że ta dziewczyna nigdy nie zostanie odnaleziona. Ale teraz ty tu jesteś, Giselle.

Tak była tu, a Grace odnalazła się i przestało się liczyć to, co sobie obiecali. Garek ciągle ma przed nią tajemnice, ciągle żyje samotnie. Jak zawsze.

## Rozdział 21

*Loganville, Kolorado*

*Poniedziałek, 23 lutego*

Naprawdę bałabym się zdecydować na dzieci. Słowa Anastasii przerwały milczenie, które panowało w samochodzie od chwili, kiedy Pierce przyjechał po nią do Canterbury o ósmej czterdzieści pięć. Całą godzinę temu.

Było to milczenie pełne nadziei, uśmiechów i czułych spojrzeń; cisza pachnąca fiołkami.

A teraz, trzy kilometry przed Loganville, Anastasia spokojnie oznajmiła, że bałaby się zdecydować na dzieci - jakby rozmawiała już z Pierce'em o tej ważnej kwestii, jakby to z nim już kiedyś omawiała... jakby w tej pełnej nadziei ciszy śpiewali najpiękniejszy duet świata, pieśń miłości o spragnionym kochanku i jego odważnej oblubienicy.

- Chyba że - powiedział cicho Pierce - byłabyś pewna, że jesteś Grace.

- Tak. To nie byłoby w porządku skazać córkę na powolne popadanie w obłąd. Albo syna na patrzanie, jak jego matka zapada na chorobę psychiczną i umiera. Nawet adopcja nie byłaby dopuszczalna. A jednak...

- Co?

- Byłbyś takim cudownym... Nie, nie mogę uwierzyć, że... - Anastasia urwała nagle. Gwałtownie. Z przerażeniem, które wyparło nadzieję.

Pierce ostrożnie zjechał na pobocze.

Spojrzał na nią z uśmiechem, zmusił się do tego uśmiechu. Dla niej.

- Nie możesz uwierzyć, że byłbym cudownym ojcem? Czy to właśnie chciałaś powiedzieć?

- Nie! Na pewno byłbyś cudownym ojcem. Tylko że...

- Co? Powiedz mi, Anastasio. Mów do mnie. Śpiewaj ze mną.

- To był sen. Sen, który wydawał się taki realny. Obudziłam się tego ranka przekonana, że to prawda. Jeśli to nie obłąd...

- Byliśmy na Wyspie.

- Tak.

- Rozmawialiśmy o naszej przyszłości,

- Tak!

- To nie wygląda na obłąd. Chyba że w świetle dnia sen stracił swój urok. Jej niebieskie oczy, zamglone i zdesperowane, rozjaśniły się nagle.

- Nie, nie stracił uroku.

Jej oczy, takie jasne, patrzyły w błyszczące oczy Pierce'a, w ich leśną zieleń. Prawda. A jednak...

- Powiedz mi, Anastasio.

- We śnie wszystko było takie proste. Nie miało znaczenia, czy jestem Anastasią, czy Grace.

- Bo to nie ma znaczenia. Nigdy nie miało. W tym śnie czułaś się szczęśliwa?

- Bardzo.

- Pobraliśmy się?

- Planowaliśmy to uczynić.

- Pobierzemy się, Anastasio, na Wyspie. Przy ludziach, których kochamy.

Ale chciałbym najpierw zrobić to bardziej kameralnie. Tutaj. Teraz. Przed Loganville.

Przed Loganville. Póki ona jest jeszcze Anastasią, nie stała się Grace.

- Wyjdź za mnie, Anastasio. Wyjdź za mnie teraz.



Nie dotknął jej. Ani ona jego. Jednak Pierce ze swoich dłoni zrobił ciepłe gniazdo dla jej rąk. To było nowe gniazdo, nowy dom, który śpiewał, inny niż ten, który dla niej zrobił w tamtą piątkową noc. Ten piękny, śpiewający ptak nie potrzebował już tamtego sanktuarium. Anastasia potrafiła teraz latać sama.

Jednak gniazdo było tuż obok, na wypadek gdyby go potrzebowała. Był dom, gdzie mogła śnić, jeśli zechce, gdzie już zawsze będzie mogła śpiewać.

Anastasia chciała tego domu, który dla niej zrobił.

Ujęła jego dłonie, a kiedy Pierce przemówił - kiedy już był w stanie mówić - w jego głosie brzmiała radość.

- Ja, Liam Pierce, biorę cię, Anastasię Grace, za żonę, na całe życie, na zawsze.

- Liam! - wyszeptała Anastasia. - Pierce! Ja, Anastasia Grace, biorę cię, Liama Pierce'a, za męża, na całe życie, na zawsze.

Pocałowali się powoli, delikatnie. Będą się kochać później, na Wyspie, w ich domu z widokiem na jej sen.

Później. Potem. Kiedy już odnajdą w Loganville ślady jej serca, ślady cienia... zatarte cienie jej serca.

Garek McIntyre leżał na intensywnej terapii oddziału neurochirurgii.

W końcu wolontariusz w różowym kitlu poinformował zdyszana Giselle, gdzie jest jego łóżko. Nie wiedział jednak, gdzie Garek znajduje się w tej chwili. Prawdopodobnie na neuroradiologii. Na sali operacyjnej.

A jeśli jest w kostnicy?

Giselle nie mogła pozbyć się tej myśli, kiedy biegła bez tchu do szpitala po śniegu, jeszcze niedawno takim puszystym i tęczowym.

Garek nienawidził swojej ślepoty. Powiedział jej to. Bardziej nienawidził ciemności, w jakiej musiał żyć, niż cenił światło ich miłości.

Nie wspomniał o tym tego ranka.

Wymyślił dla Giselle zajęcie, żeby móc bez przeszkód zrealizować swój plan.

Bo miał do tego prawo. Chodziło przecież - jak powiedział w gniewie Kathleen - o jego życie, jego wybór.

A co powiedział Giselle o swoim błędzie, który popełnił na Bałkanach? Każda nieostrożność to głupota. Kiedy jednak ryzykuje się życie innych osób, jest to głupota niewybaczalna...

Giselle biegła po zszarzałym śniegu, a jej serce wołało, że jeśli Garek umrze, pociągnie ją za sobą.

Oddział neurochirurgii znajdował się na siódmym piętrze. Recepcjonistka powiedziała, że pan McIntyre znajduje się w swoim pokoju. Zajrzała do komputera i po chwili dodała, że Giselle może do niego wejść.

Pielęgniarski o imieniu Brian poprowadził Giselle do Gareka. Droga dłużyła jej się strasznie. Oddział był bardzo duży, a Garek leżał w jego najdalszej części. Wszędzie panował półmrok. Światła zostały przyciemnione, jakby dla stworzenia nastroju odpowiedniego dla kochanków. Albo dla pacjentów nie znoszących ostrego światła.

Kiedy dotarli na miejsce, Brian poinformował Giselle, że chciałyby z nią porozmawiać doktor Clayton. Lepiej, żeby tymczasem Giselle nie wchodziła do pokoju Gareka.

Tak więc Giselle zobaczyła swojego kochanka, swojego Gareka, przez szybę.

Garek.

Leżał nieruchomo, tylko klatka piersiowa podnosiła mu się i opadała w rytmie respiratora. Głowę miał zabandażowaną, owiniętą wieloma warstwami białej gazy, z której wystawały jakieś druciki - wbite w jego mózg? - umieszczoną w wielkich srebrnych kleszczach.

Już sam ten widok był dla Giselle torturą.

A dla niego? Wyteńczyła słuch, czekając na najcichszy choćby jęk. Na dowód tego, że Garek coś czuje... że żyje, walczy, cierpi, modli się i płacze.

Jednak nie usłyszała żadnego dźwięku. Tylko miarowy szum respiratora i rytmiczne pikanie aparatury monitorującej pracę serca.

- Giselle? Tak mi przykro, nie chciałam cię przestraszyć. Dobrze się czujesz?

Giselle drgnęła gwałtownie na dźwięk tego cichego, kobiecego głosu. Wydawał się taki donośny w tym półmroku, w którym wyteńczyła słuch. Czy dobrze się czuła? Nie. Jednak patrząc na tę pełną współczucia kobietę w szeleszczącym białym kitlu, powiedziała „tak”.

- To dobrze. Jestem Lucy Clayton. Właśnie miałam do ciebie dzwonić, kiedy dostałam wiadomość na pager. Garek powiedział, że powinnaś wrócić do jego apartamentu mniej więcej o tej porze. Domyślałam się, że sam zdołał się z tobą skontaktować.

Skontaktować?

- Jak on się czuje?

- Chyba kiepsko. Paraliż i intubacja, kiedy jest się przytomnym, powoduje...

- Już odzyskał przytomność?

- Cały czas był przytomny.

- Nie rozumiem. Był operowany bez narkozy?

- Nie był operowany. Widzę, że jednak się z tobą nie skontaktował.

- Nie.

- Więc pozwól, że wszystko ci wyjaśnię. Paraliż, o którym wspomniałam, celowo został wywołany przez leki i minie bez śladu. Garekowi nic nie jest. Kiepsko się czuje, ale poza tym wszystko w porządku.

- Dziękuję - wyszeptała Giselle.

- Ja nic nie zrobiłam. Nikt nic nie zrobił. To raczej twoja zasługa.

- Moja?

- Byłaś z nim przez cały weekend. - Uśmiechnęła się doktor Clayton. -  
Chociaż nie znam szczegółów. Jednak w czasie tego weekendu Garek zaczął  
widzieć zarysy przedmiotów.

- Naprawdę?

- Tak. Nie powiedział ci o tym, bo sądził, że to chwilowa poprawa. Jednak  
dziś rano badanie jego mózgu wykazało ogromną zmianę. Byłam zdecydowanie  
przeciwna operacji, o której Garek rozmawiał z neurochirurgami. Wydawało mi  
się to bardzo ryzykowne i skazane na niepowodzenie.

- Więc wysłałaś list...

- Do Kathleen? Nie. To nie ja, ale byłam tego samego zdania, co autor  
anonimu. Dziś rano uznałam jednak, że warto przeprowadzić tę operację. Jej  
zakres byłby obecnie dużo bardziej ograniczony, co zmniejszyłoby ryzyko. Nie  
miałam wątpliwości, że Garek zdecyduje się na tę operację w ułamku sekundy. I  
rzeczywiście natychmiast podjął decyzję, ale powiedział „nie”. Znam go od  
trzech lat i nie pamiętam, żeby w tym czasie choć przez chwilę zależało mu na  
życiu. Dlatego uważam, że zmienił się z twojego powodu. - Doktor Clayton  
uśmiechnęła się. - Zamiast operacji zrobiliśmy siódmą infuzję, po której za kilka  
godzin trzeba będzie podać mu antidotum. To była selektywna infuzja, dobrana  
na podstawie wyników badania mózgu. Doszliśmy do wniosku, że będzie  
najlepiej, najbezpieczniej, jeśli Garek dostanie lek zwiotczający i zostanie  
zaintubowany na czas zabiegu. I rzeczywiście była to dobra decyzja.  
Kontrolując jego oddech, jesteśmy w stanie manipulować poziomem dwutlenku  
węgla, a to z kolei pozwala nam odpowiednio rozszerzyć naczynia krwionośne  
kory mózgowej. Musieliśmy spowodować paraliż, żeby nie walczył z  
respiratorem, co robiłby odruchowo. Jest to fizjologiczna reakcja organizmu na  
zmieniony poziom dwutlenku węgla we krwi.

- Czy to normalna procedura?

- Zwiotczenie i intubacja? Tak. Zwłaszcza na naszym oddziale. Dlatego  
właśnie Garek został tu przyjęty. Zazwyczaj nasi pacjenci nie są tak przytomni.

Ponieważ jednak chcieliśmy podnieść, a nie obniżyć ciśnienie krwi w jego mózgu, zdecydowaliśmy się go nie usypiać. I nadal nie mamy zamiaru tego robić, o czym Garek wiedział i wyraził na to zgodę. Czuje się źle i nie ma na to rady. Jestem jednak pewna, że teraz, kiedy tu jesteś, poczuje się lepiej. Chciał porozmawiać z tobą przed zabiegiem. Wyniki badania mózgu były jednak tak dobre, że należało jak najszybciej skorzystać z sytuacji.

- Ale te szczypce, te druty...

- Te druty to elektrody encefalografu, a kleszcze, choć wyglądają jak narzędzie tortur, są konieczne, by utrzymać jego głowę w odpowiedniej pozycji. Owinęliśmy mu jednak głowę bardzo dużą ilością gazy, żeby zminimalizować dyskomfort.

- Czy on czuje, co się z nim dzieje?

- Tak. Na pewno masz jeszcze wiele pytań?

- Mogę z nim zostać?

- Nawet powinnaś.

## Rozdział 22

*Szpital Grace Memorial, Chicago, Illinois*

*Poniedziałek, 23 lutego*

**C**ześć - wyszeptała Giselle. - Właśnie usłyszałam, że czujesz się kiepsko, ale jesteś przytomny. Kocham cię. Och, to chyba zabrzmiało trochę sentymentalnie, prawda? Trochę łzawo. A postanowiłam utrzymać cię w świetnym nastroju przez jakieś osiemnaście godzin. Z przerwami, w czasie których - mam nadzieję - uda ci się trochę zdrzemnąć. Kocham cię.

Giselle wzięła głęboki oddech. Widok leżącego Gareka był przerażający. Nawet nie drgnęły mu powieki.

- Wiesz, byłam ślepa przed naszym spotkaniem. To ty sprawiłeś, że zaczęłam widzieć. Dzięki tobie zobaczyłam Wenecję i ogień Murano, zobaczyłam marzenie i nadzieję. A trzy lata temu dzięki tobie zobaczyłam miłość. I teraz żyję tą miłością. Dzięki tobie! Dziękuję ci za tę miłość, mój ukochany, za to, że chcesz być ze mną, za to, że nie zaryzykowałeś naszej miłości. Dziękuję.

Wtedy w jego twarzy nastąpiła jakaś ledwie dostrzegalna zmiana, pod nieruchomymi powiekami pojawiło się światło, światło miłości, idące od serca do serca.

Giselle ucałowała te powieki, te łzy samotnika, który już nie był samotny; został uratowany, ocalony przez miłość, zawsze będzie widział tęczowe płatki śniegu... i złote światło świtu.

Loganville to urocze, ciche miasteczko. Łatwo było sobie wyobrazić złotowłosą dziewczynkę, która tu dorastała otoczona miłością swoich bliskich. Łatwo było sobie wyobrazić wszystkie te miejsca, gdzie spędziła najszczęśliwsze lata swojego życia. Ale ci, którzy weszli na stronę internetową poświęconą Grace, nie musieli sobie niczego wyobrażać. Były tam zdjęcia wszystkich miejsc z nią związanych. Zadanie ułatwiała mapka, przysłana i opisana przez panią Bearce.

Pierce i Anastasia podążali szlakiem zaznaczonym na mapce, zaczynając od Loganville General, gdzie znajdował się polaroid, przez przedszkole na South Cherry, do którego chodziła Grace, dom Dinah na Sycamore, bibliotekę na Ponderosa, aż do Blubird Lane, gdzie Grace mieszkała ze swoją matką... Tam, na miejscu domu, który doszczętnie spłonął w pożarze, był teraz piękny park.

Anastasia i Pierce podążali śladem Grace Alisii Quinn. Powoli. Uważnie. Nie tracąc nadziei.

- Nic... - wyszeptała Anastasia. - Niczego tutaj nie poznaję.

- Jeszcze nie byliśmy nad jeziorem.

- Nie.

- Pójdziemy tam?

- Sama nie wiem. To już ostatnie miejsce, ostatnia szansa, więc jeśli i tam niczego sobie nie przypomnę...

- Doktor Kline przewidział, że twoja amnezja będzie barierą nie do pokonania.

- Wiem - uśmiechnęła się słabo. - I wiem, że doktor Kline jest jednym z najlepszych specjalistów.

- Tak, to mistrz Thomasa. Chodźmy nad jezioro, Anastasio. Nawet jeśli nic ci się nie przypomni, zawsze możemy chociaż pojeździć na łyżwach.

Pierce sądził, że jezioro Loganville będzie wyglądało jak jezioro ze snu Anastasii. Że zdjęcia w Internecie nie oddały jego prawdziwego charakteru.

Mylił się.

Jezioro wyglądało dokładnie tak, jak na stronie poświęconej Grace -z tym że nie było na nim roześmianych dzieci, jeżdżących na łyżwach. Lśniąca pokrywa lodu sprawiała wrażenie smutnej, opuszczonej.

Pierce dostrzegł rozczarowanie Anastasii i poczuł ból w sercu. Jednak zdobył się na uśmiech.

- Chodź, pojeździmy na łyżwach.

- Nie musimy.

- Owszem - odparł - musimy.

Liam Pierce Rourke był doskonałym sportowcem, śpiewakiem, kochankiem. Na pewno okaże się też doskonałym mężem i ojcem. Ale nie umiał jeździć na łyżwach. Zrobił na lodzie kilka chwiejnych kroków i puścił jej rękę.

Anastasia doskonale radziła sobie sama.

Pierce nie miał pojęcia o postaci drugiego łyżwiarza, którą zaplanowała Giselle do fontanny znajdującej się na Carillon Square. Daleki łyżwiarz miał patrzeć na swoją tancerkę, która wirowała wśród fiołków, sięgając księżyca.

Teraz Pierce był tym łyżwiarzem, a jego zagubiona księżniczka wirowała, tańczyła wraz ze swoim cieniem. I wreszcie księżniczka i jej cień odnaleźli ślad swojego serce w Loganville.

Ta wirująca łyżwiarka mogła sięgnąć nieba, ale nie była już sama.

Wyciągnęła do niego rękę w milczącym zaproszeniu do tańca na migotliwej tafli lodu.

Chodź do mnie. Tańcz ze mną. Bądź ze mną zawsze.

Trzymając się za ręce i uśmiechając się do siebie, zaczęli razem wirować na środku jeziora.

Nagle Pierce potknął się i oboje znaleźli się dokładnie tam, stąd można było zobaczyć w oddali pokrytą białym puchem łąkę ze snu.

Anastasia nie potrzebowała innego dowodu poza tym śladem swojego serca, który odnalazła na jeziorze.

Pojawiły się jednak również nowe dowody.

Giselle pokazała swoje zdjęcia z polaroidu biegłemu sądowemu, który wcześniej zbadał odciski palców, pozostawione na zdjęciach Dinah.

Na fotografiach Dinah było mnóstwo odcisków, nowych i starych, dużych i małych. Niemal wszystkie zostały zidentyfikowane.

Nie można jednak było stwierdzić, które z nich należały do Grace. Zbyt wiele rąk trzymało te zdjęcia na przestrzeni lat.

Garek nie chciał prosić Anastasii o odciski palców. Ona i tak miała mnóstwo wątpliwości. Jednak zdjęcia Giselle pozwoliły zbadać odciski bez jej wiedzy. Gdyby nie pasowały do tych na zdjęciach Dinah...

Była to żmudna praca. Trwała dziewięć dni. W końcu biegli sądowi pokazali Garekowi wyniki swoich badań, niezbity dowód w postaci idealnie do siebie pasujących maleńkich kawałków odcisków opuszek, fragmentów kolistych linii papilarnych.

Garek McIntyre z kolei pokazał to Giselle.



Następnego dnia Giselle i Garek - oraz Olympia z mężem - polecili do Denver na ślub.

Ślub odbył się na ośnieżonej Wyspie, pełnej marzeń, szkła i muzyki.

Byli tam też bliscy Grace z Loganville, ze Szmaragdowego Miasta, Jace i Julia Colton z córką Rosie. Została także zaproszona Carolyn Logan.

Byli tam wszyscy bliscy z Denver. Lilah i Edward, Thomas i Val, Melissa, Callie i Dough. A także doktor Kline z żoną. No i oczywiście uczennice szkoły Hazel Traphagen.

Wszystkie Peggy zostały zaproszone na ślub ich ukochanej bibliotekarki panny Finch i wspaniałego wuja Callie, Pierce'a. Zaproszono też rodziny dziewczynek.

Tak więc pobrali się na swojej Wyspie Marzeń. Tam, gdzie Anastasia widziała we śnie pokrytą śniegiem łąkę pod rozgwieżdżonym niebem, teraz migotała biała ślubna suknia, a kryształowe góry promieniały dumą na tle aksamitu nieba.

Tej nocy, kiedy pobrali się przy muzyce gwiazd i księżyca, ich rodzice spoglądali na nich z góry... i uśmiechali się radośnie.